

<p>Logotyp</p> 	<p>Nazwa instytucji</p> <p>Muzeum Ustrońskie</p>	
<p>Tytuł jednostki / publikacji / fotografii „Pamiętnik Dra Andrzeja Cinciała, notariusza w Cieszynie (1825-1898)”</p>		
<p>Ilość stron oryginału 211</p>	<p>Ilość skanów 212</p>	<p>Liczba plików publikacji 212</p>
<p>Autor Andrzej Cinciała</p>	<p>Wydawnictwo / zakład fotograficzny Wydawnictwa Muzeum Śląskiego w</p>	<p>Skan okładki</p> 
<p>Miejsce wydania Katowice</p>	<p>Rok wydania / Data powstania 1931 r.</p>	
<p>Sygnatura ---</p>	<p>Rodzaj zasobu (np. zdjęcie, czasopismo itp.) książka</p>	
<p>Wymiary (wys x szer) 24 x 15,6 cm</p>	<p>Stan zachowania ---</p>	<p>Charakterystyka skanowanego obiektu pamiętniki dr Andrzeja Cinciała (1825-1898), dra praw, notariusza, działacza narodowościowego, ludoznawcy, autora słownika gwarowego Śląska Cieszyńskiego; obejmują całokształt spraw politycznych i kulturalnych, jakie rozgrywały się na Śląsku Cieszyńskim w XIX stuleciu; wydane nakładem Muzeum Śląskiego w Katowicach; wstępem opatrzył Jan Stanisław Bystroń (1892-1964), profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, wnuk dra Andrzeja Cinciała; autor poprzez małżonkę, Matyldę zd. Klug, spokrewniony był z rodziną ks. Jerzego Janika, proboszcza parafii ewangelickiej w Ustrońiu, stąd w pamiętnikach pojawiają się również ustrońskie wątki</p>
<p>Hasła przedmiotowe (okres historyczny, postacie, miejsce) lata 1825-1898, Andrzej Cinciała junior, Andrzej Cinciała senior, Anna Cinciała zd. Rańda, Jan Cinciała, Jerzy Cinciała, Marjanna Baranowska zd. Cinciała, Anna Krupa zd. Cinciała, ks. Jerzy Janik, Matylda Cinciała zd. Klug, Paweł Stalmach, Ludwik Klucki, Jan Bujak, Jan Stanisław Bystroń, Jan von Elswehr Demel, Eduard Feitzinger, ks. Teodor Haase, ks. Jerzy Heczko, Andrzej Kotula, ks. Franciszek Michejda, ks. Leopold Otto, Karol Prochaska, ks. bp Alojzy Pukalski, Adam Sikora, Jan Śliwka, ks. Jan Świeży, ks. Jerzy Trzanowski, ks. Adam Żliak, Paweł Kajzar, Cieszyn, Ustroń, Kozakowice Górne, Goleiszów, Frysztat, Kraków, Schildberg na Morawach</p>		
<p>Hasła tematyczne (np. miasto, przemysł, kuznia, letnicy itp.) pamiętnikarstwo cieszyńskie, pamiętniki cieszyńskich z XIX w., ruch narodowy na Śląsku Cieszyńskim, działalność narodowa, polskość Śląska Cieszyńskiego, prawnicy cieszyńscy, notariusze cieszyńscy, ludoznawcy cieszyńscy, „Gwiazdka Cieszyńska”, „Tygodnik Cieszyński”, szkolnictwo powszechne na Śląsku Cieszyńskim, szkolnictwo średnie na Śląsku Cieszyńskim, filozofowie cieszyńscy, Towarzystwo Uczących się Języka Polskiego w Ewangelickim Gimnazjum w Cieszynie, ewangelicyzm na Śląsku Cieszyńskim, Towarzystwo Rolnicze w Cieszynie, zbiór ewangelicki w Cieszynie, Dom Narodowy w Cieszynie, odrodzenie narodowe na Śląsku Cieszyńskim</p>		
<p>Prawa autorskie ---</p>		

R

G

B

Grey Scale #13

C

M

Y

K

DANES
PICTA
COM

A

1

2

3

4

5

6

M

8

9

10

11

12

13

14

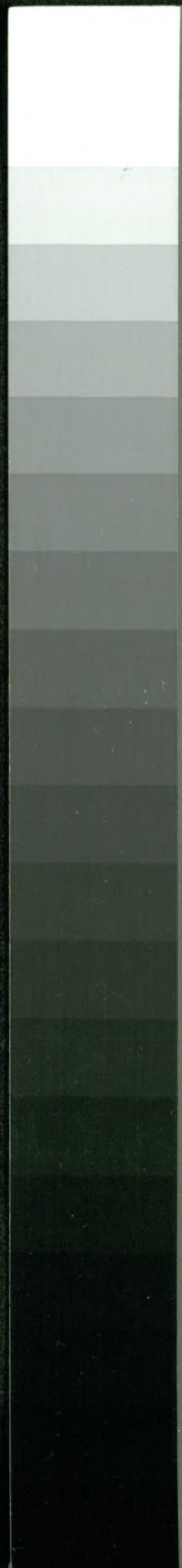
15

B

17

18

19



Inches

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

Centimetres

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

Colour Chart #13

Blue

Cyan

Green

Yellow

Red

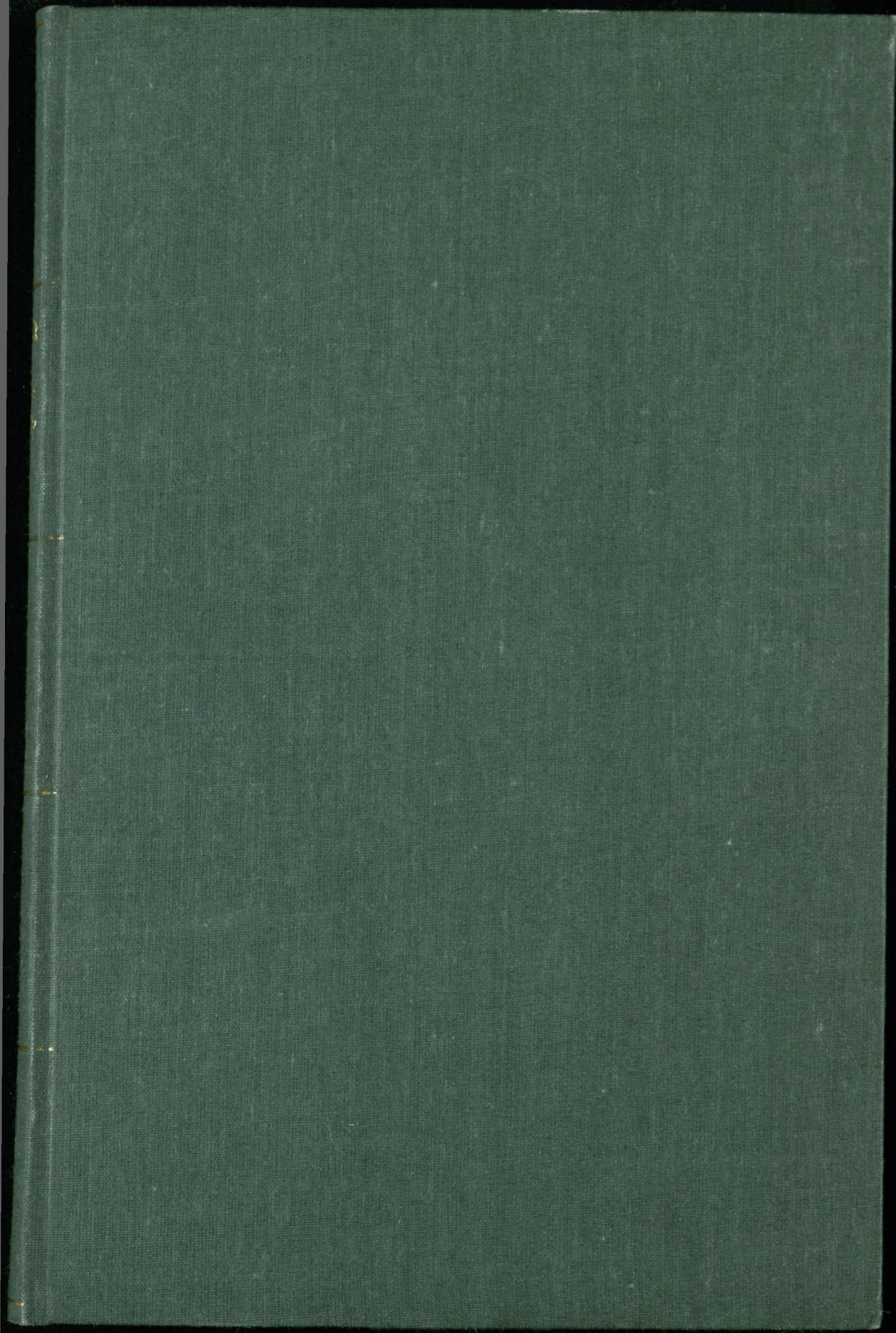
Magenta

White

3/Color

Black

DANES
PICTA
COM





WYDAWNICTWA MUZEUM ŚLĄSKIEGO W KATOWICACH
DZIAŁ II — NR. 3

PAMIĘTNIK
DRA ANDRZEJA CINCIAŁY
NOTARJUSZA W CIESZYNIE
(1825—1898)

WYDAŁ I WSTĘPEM ZAOPATRZYŁ

JAN ST. BYSTRONŃ
PROF. UNIW. JAGIELLOŃSKIEGO

KATOWICE — MCMXXXI
NAKŁADEM MUZEUM ŚLĄSKIEGO W KATOWICACH

Własność

Jana Krawczyki

PAMIĘTNIK D^{RA} ANDRZEJA CINCIAŁY

Jana Krawczyki

WYDAWNICTWA MUZEUM ŚLĄSKIEGO W KATOWICACH
DZIAŁ II — NR. 3

PAMIĘTNIK
DRA ANDRZEJA CINCIAŁY
NOTARJUSZA W CIESZYNIE
(1825—1898)

WYDAŁ I WSTĘPEM ZAOPATRYŁ

JAN ST. BYSTRON
PROF. UNIW. JAGIELLOŃSKIEGO

KATOWICE — MCMXXXI
NAKŁADEM MUZEUM ŚLĄSKIEGO W KATOWICACH

WYDAWCA: PAWEŁ MITRĘGA W CIESZYNIE

PAWEŁ MITRĘGA

DRUKARZ I WYDAWCA

W CIESZYNIE

1910

Drukiem Pawła Mitręgi w Cieszynie.



Dr. Andrew Comstock

OD WYDAWCY.

Jako wnukowi śp. Andrzeja Cinciały przypadł mi obowiązek poprzedzenia niniejszego wydania kilku zdaniami wstępu.

Ktokolwiek orjentuje się w warunkach politycznych i kulturalnych Śląska Cieszyńskiego w ostatnich stu latach, nie potrzebuje wstępu. Wobec tych jednak, którym stosunki te są obce, należy się wytłómaczyć, dlaczego z funduszów publicznych wydaje się pamiętnik prowincjonalnego rejenta, nie mający większej wartości literackiej, nie opisujący zdarzeń nadzwyczajnych, pisany, wedle własnych słów autora „dla moich dzieci, aby widziały, jak trudne i mozolne jest to życie i jak trudno dorobić się chleba“.

Pamiętnik jest treściwy, rzeczowy, czasem przypominać może styl protokołu, zwłaszcza, że często omawia sprawy urzędowe: notarialne, administracyjne, szkolne, kościelne. Najważniejszymi zdarzeniami są tu takie, jak zorganizowanie wśród gimnazjastów Koła uczących się po polsku, przyniesienie kilkunastu książek polskich z Krakowa, wydanie pierwszej odezwy politycznej czy pisemka popularnego, napisanie polskiego protokołu z obrad starszyzny zborowej, a poza niemi przesuwa się cały szereg faktów życia organizacyjnego, wśród których nietylko uroczystość czy przedstawienie amatorskie, ale nawet i zakupno bilardu dla czytelnicy występują jako coś ważnego. Niema tu żadnego zdarzenia bardziej efektownego; niema wojen, rewolucyj, konspiracyj, niema nadzwyczajnych przygód, niema wreszcie deklamacyj, dyskusji programowej, patosu czy degresyj lirycznych.

Z tem wszystkiem odbieramy ogólne wrażenie sprawozdania sumiennego, rzetelnego, prawdziwego, i życia pra-

cowitego, niełatwego, o jasnych i prostych wytycznych. Jeżeli teraz obejmujemy myślą całość trudu życiowego Andrzeja Cinciały i uświadomimy sobie ten ogromny przewrót, który dokonał się w ciągu lat i składał się właśnie z takich pierwszych polskich protokołów i pierwszych śpiewników polskich, to jaskrawo uwypukli się znaczenie historyczne jego postaci dla dziejów odrodzenia narodowego Śląska Cieszyńskiego.

Nie jest to przesada, nie jest to superlatyw wydawcy ani też pietyzm rodzinny. Zestawiamy obrazowo stan narodowy Cieszyńskiego w odstepie kilkudziesięciu lat. Oto początek artykułu Cinciały *Pierwsi szermierze na kresach śląskich*, umieszczonego w dodatku do pamiętnika:

„Było nas pięciu Ślązaków. Wszyscy kamizolkarze, wszyscy synowie chłopscy, wszyscy ewangelicy, gimnazjaści cieszyńscy w jednym wieku i w jednej klasie, wszyscy kostgängerzy, wszyscy Niemcy, chociaż rodzice nasi ani słówka po niemiecku nie umieli.

Tak wyglądaliśmy w roku 1842.“

W ciągu najbliższego dziesięciolecia ci młodzi Niemcy wrócili do mowy rodziców, poczuli się Polakami i zaczęli pracę nad uświadamianiem kolegów; w pięćdziesiąt lat później (gdy Cinciała spisywał niniejszy pamiętnik), obóz narodowy na Śląsku przedstawiał zwartą, poważną siłę, a w ciągu dalszych trzydziestu lat polala się ofiarna krew Ślązaków w walce o granice Rzeczypospolitej i sztandar polski ukazał się na starej wieży Piastowskiej w Cieszynie, kończąc symbolicznie ten okres ciężkiego wysiłku w walce o prawa gospodarza na własnej ziemi, który zaczynał się właśnie pierwszym polskim protokołem, pierwszym polskim aktem notarialnym, pierwszym polskim przedstawieniem amatorskim.

* * *

Warunki pracy polskiej na Śląsku Cieszyńskim kształtowały się zupełnie odrębnie od innych dzielnic, i to najniekorzystniej. Lud polski, od szeregu wieków oddzielony granicą polityczną od dawnych ziem Rzeczypospolitej, złą-

czony z krajami św. Wacława w wiekowej niewoli austrjackiej, bez tradycji historycznej polskiej, bez polskiej tradycji kulturalnej, bez przywódców, pozostał wierny językowi i obyczajowi ojczystemu; ale skoro tylko ktoś zdolniejszy czy bardziej ambitny chciał wyjść poza granice wsi i jąć się miejskich zajęć, z nieuchronną koniecznością zostawał Niemcem. Ktokolwiek chciał wyjść poza tradycjonalizm śląskiej wsi, przechodził do świata niemieckiego (częściowo czeskiego); polskiego świata jeszcze podówczas nie było. Niemiecką była szkoła, niemieckie były urzędy, niemieckie było wyższe towarzystwo, po niemiecku się czytało i rozmawiało; kto z polskiej wsi wyszedł, nie wracał już do niej, a już w żadnym wypadku nie wracał doń Polakiem. Do Polski odnoszono się niechętnie wraz z całą opinią austrjacką; związków bliższych z ziemiami polskimi nie było nawet po zaborze, zwłaszcza, że Kraków dopiero w połowie XIX w. został włączony do Austrii. Jest więc rzeczą zupełnie zrozumiałą, że młodzi Ślązacy, wstępując z początkami niemczyzny do gimnazjum, w ciągu kilku lat stawali się Niemcami z języka, z kultury, z przekonania. Na tem tle decyzja paru gimnazjastów cieszyńskich co do porzucenia utartej drogi kariery życiowej i powrotu do polskości występuje jako coś nowego, niespodziewanego, niemal rewolucyjnego.

Dziwne są drogi tego powrotu. Niema żadnych związków z innymi ziemiemi polskimi, niema piśmiennictwa polskiego poza garścią starych druków polsko-ewangelickich, przechowywanych troskliwie przez włościan, niema wspólnej tradycji historycznej. Są to lata czterdzieste ubiegłego wieku; wszędzie warunki pracy polskiej układają się niekorzystnie, ale gdzieindziej jest żywa tradycja, jest dorobek kulturalny, jest literatura, będąca przemożnym czynnikiem kształtowania dusz — na Śląsku nie było niczego, a więc i rozwój ideologii narodowej musiał iść innymi torami.

Ruch narodowy na Śląsku Cieszyńskim rodzi się w sferze wpływów ideologii słowiańskiej. Rzecz charakterystyczna: w czasach, gdy po powstaniu listopadowem społeczeństwo polskie odwraca się od idei słowiańskich, które zaczynają służyć coraz to wyraźniej imperjalistycznemu

panslawizmowi rosyjskiemu, na Śląsku ideologia odrębności słowiańskiej wobec zalewu niemczyzny była na tyle silna, że zdołała wpłynąć na powstanie świadomości narodowej wśród ludności polskiej. Wpływ ten widzimy wyraźnie chociażby w faktach, przez Cinciałę opisywanych: śląscy studenci wyższych uczelni w Wiedniu czy na Węgrzech spotykają się z kolegami Słowakami, Czechami, Chorwatami i zaczynają rozumieć ideę narodowości; w pierwszej bibliotece polskiej, z takim trudem tworzonej przez cieszyńskich gimnazjastów znajdowały się książki czeskie, słowackie i serbskie, gdyż łatwiej o nie było, niż o polskie. Nad całym ruchem wyzwolenicznym Śląska Cieszyńskiego góruje (przez pamiętnikarza odpowiednio uwydatniona) postać dra Ludwika Kluckiego, Morawianina, który słabo po polsku mówił, a jednak akcentował polskość Śląska, przeciwdziałał jego germanizacji, uświadamiał narodowo młodzież i był gorliwym członkiem polskich organizacji.

Oczywiście, to pierwotne podłoże słowianofilskie niknie szybko. Z jednej strony oddziaływa tutaj zaostrenie się stosunków narodowościowych polsko-czeskich, z drugiej strony z chwilą wejścia w kontakt z innymi ziemiami polskimi i kulturą narodową oparcie o ideologię słowiańską stało się zbędne.

Łącznikiem, który stanowił o zespoleniu Śląska z resztą Polski, był język, rodzimy, szczery, czasem dostojnie archaiczny. Program narodowy pierwszego okresu pracy jest przede wszystkim programem językowym. W pamiętniku widzimy to doskonale. Chodzi najpierw o utrzymanie języka polskiego, o wytworzenie inteligencji, mówiącej po polsku, o zapewnienie polszczyźnie odpowiednich praw w urzędach, w kościele i szkole; jednym z naczelných punktów programu jest stworzenie piśmiennictwa polskiego na Śląsku, a więc gazety perjodycznej, wydawnictw politycznych i popularnych, śpiewników kościelnych. Cinciała idzie jeszcze dalej; obok walki o prawa języka prowadzi jeszcze pracę nad dialektem śląskim, układa obszerny słownik, drukuje zbiory pieśni ludowych i przysłów, a w młodości swej musiał mieć jeszcze inne ambicje, skoro uczył się sztuki rytmotwórczej u Lenartowicza (zre-

szłą bez powodzenia). U podstaw całej tyloletniej działalności Cinciały było przywiązanie do języka; jest on mężem sztandarowym programu językowego.

Przyszły potem programy inne, ściśle polityczne, w tym czy innym kierunku idące, ale wtedy już sędziwy autor niniejszego pamiętnika, strudzony walką życiową i schorowany, usuwał się zwolna od pracy publicznej († 18 II 1898). Podkreślić należy, że w całym swem życiu nie sformułował Cinciała żadnego programu ściśle politycznego, nie rozsnuł pomysłów ideologicznych; wystarczał mu ów program językowy, miłość mowy rodzimej i walka w jej obronie. Nie był aktywnym działaczem politycznym, nie kandydował do sejmu śląskiego czy do parlamentu wiedeńskiego, nie był redaktorem politycznym, nie był mówcą wiecowym. Zapomniano o nim szybko; chwila bieżąca rodziła coraz to nowe programy i nowe zagadnienia, tak, że ów pierwotny program okazał się niewystarczający. Ale zapomniano także i o tem, o czem godziło się pamiętać, a mianowicie, że wszystkie późniejsze programy powstawały na solidnym gruncie uświadomienia narodowego, które zaczęło się walką o prawa językowe. Historia zapomnienia te usunie; w tym właśnie celu wydaje się niniejszy pamiętnik, by dał świadectwo prawdzie.

* * *

Andrzej Cinciała był polskim działaczem narodowym, ale równocześnie był także i działaczem ewangelickim; w pamiętniku oboczność ta występuje bardzo wyraźnie.

Dla czytelników, nieobeznanych ze stosunkami Śląska Cieszyńskiego, wypada dodać kilka słów informacji.

Księstwo Cieszyńskie zamieszkałe jest przez ludność katolicką i ewangelicką, przyczem ta ostatnia stanowi wcale poważną mniejszość. Ewangelicy śląscy nie są bynajmniej ludnością napływową, jaką widzimy w innych dzielnicach; jest to rdzenna, rodzima ludność polska. Niedgdyś było ich znacznie więcej; w szesnastym wieku prawie cały kraj (za wyjątkiem okolic Frydka) był ewangelicki.

Dzieje reformacji na Śląsku Cieszyńskim są proste i twarde. Książę cieszyński Wacław II (1528—1579), poto-

mek Piastów śląskich; przystaje do reformacji, a za jego przykładem idzie prawie cały kraj. W połowie wieku Cieszyn jest miastem o większości ewangelickiej, kościół parafjalny przechodzi w ręce zwolenników nowej wiary; na wsi powstaje kilkadziesiąt kościołów luteranckich. Przez szereg lat protestantyzm jest naczelną religią księstwa, ale już z początkiem XVII wieku czynniki oficjalne odmawiają protekcji, a niedługo zwracają się z coraz to ostrzejszą walką przeciwka „akatolikom“. Książę Adam Waclaw, syn Waclawa, przyjął w r. 1610 katolicyzm i zaczął ograniczać przywileje ewangelików. Niedługo potem bitwa na Białej Górze (1620) rozstrzygnęła los reformacji w krajach austriackich; edykt restytucyjny cesarza Ferdynanda II (1629) nakazywał zwrot kościołów i majątków katolikom. Zaczęła się era prześladowań; odbierano kościoły i szkoły, wypędzano kaznodziejów, wywierano presję na ludność. W najtrudniejszych warunkach znalazła się ludność miejska, i tutaj też dość znaczna ilość mieszczan po bezskutecznej obronie przechodzi do obozu katolickiego; na wsi ludność była bardziej oporna, bardziej wytrwała, silniej do ewangelji przywiązana i przetrwała czasy najcięższych prześladowań, pomimo braku pastorów, niemożności odprawiania publicznych nabożeństw i poddania pod władzę proboszczów katolickich. Czynnikiem, który umożliwił przetrzymanie długich lat ucisku, była biblja, której lektura stanowiła istotną część domowych nabożeństw, były stare reformacyjne postyle polskie. I oto tutaj zadzierżga się ścisły węzeł łączności pomiędzy protestantyzmem cieszyńskim a polskością. Wiara ewangelicka utrzymuje się i utwierdza dzięki książkom polskim, a z drugiej strony polskość utrzymuje się przez religijną lekturę ewangelików.

Otóż z takiego to środowiska wyszedł Cinciała, wychowany na biblji; przywiązanie do wiary łączy się u niego najściślej z przywiązaniem do języka. Jest on godnym spadkobiercą tych chłopów cieszyńskich, którzy w okresie najgorszych prześladowań religijnych krzepili się lekturą biblijną, czerpali z niej ufność i uczyli się prowadzić życie proste i twarde.

cały kraj (za wyjątkiem okolic Bytowa) ...
... Daje reformację na Śląsku Cieszyńskim za proste ...
... i twarde. Książę cieszyński Waclaw II (1628—1679) ...

Życie proste i twarde! Oto najistotniejsza treść niniejszego pamiętnika. Całe życie Andrzeja Cinciały jest jasne i proste, zmierzające wytrwale ku jednemu celowi, bez rozważań, bez wewnętrznych załamaniań, bez wahań. Jest ono również niełatwe w przejściu z chaty włościańskiej do wyniesionej sytuacji socjalnej, w przejściu od niemczyzny do polskości, którą należało stwarzać. Autor jest twardy w stosunku do siebie samego w codziennej walce wymagającej ciągłego pogotowia; bywa on też twardy w stosunku do przeciwników.

Pamiętnik jest wiernym obrazem życia, rzetelnym, bezpretensjonalnym. Można by powiedzieć, używając znanego przysłowia śląskiego, że jest i on „twardy, jak luterska wiara pod Cieszynem“.

Pamiętnik ten oddajemy obecnie do rąk czytelników bez zmian, z zachowaniem właściwości wyrażania i stylu autora. Jest on dokumentem historycznym i świadczy o początkach pracy narodowej na Śląsku Cieszyńskim, a zarazem jest portretem psychicznym człowieka, który urodził się i pracował w polsko-ewangelickim środowisku cieszyńskim. Nie uważaliśmy za stosowne wprowadzać skrótów, ani też usuwać partyj bardziej bojowych, bardziej ostrych, zwróconych ku przeciwnikom politycznym czy religijnym. Kiedy przed trzydziestu laty ojciec mój wydawał skrót *Z Pamiętnika Dra Andrzeja Cinciały*, Cieszyn 1900, nakładem Politycznego Towarzystwa Ludowego, wydanie to mogło służyć aktualnym potrzebom politycznym, wobec czego należało pominąć szereg ustępów, zbyt aktualnych i zbyt polemicznych. Dzisiaj, kiedy stosunki uległy zasadniczej zmianie, gdy programy i zagadnienia tamtych lat mają już tylko historyczną wartość, także i niniejszy pamiętnik staje się jedynie źródłem historycznym do poznania minionego okresu. Zresztą wszyscy wymienieni w pamiętniku, z tego czy tamtego obozu, leżą od lat na cmentarzach śląskich.

Kraków, w lutym 1931.

Jan St. Bystron

LATA SZKOLNE.

Zakopane, d. 8. czerwca 1891.

RODZINA. Urodziłem się w roku 1825 dnia 8-go czerwca, w wiosce Górnych Kozakowicach, pod nr. 38 starym, z ojca Andrzeja i matki Anny z domu Rańdów z Końskiej. Mój ojciec posiadał w Kozakowicach na nowej osadzie kawałek gruntu, gdzie się w roku 1818 wybudował, wysłużywszy wprzód w wojsku lat czternaście. Było nas rodzeństwa dziewięcioro. Czterech młodszych odemnie umarło w dzieciństwie, a 5 pozostało przy życiu. Najstarszy Jan ukończył szkoły gimnazjalne w Cieszynie a w preparandzie przygotował się na nauczyciela. Był nim w Dobce (ad Wisła), ale jakoś mu się to niepodobało i poszedł z saletrarzami do Węgier, i tam już pozostał aż do śmierci. Jerzy objął po ojcu chałupę z rolą. Marjanna poszła za Baranowskiego, cieślę w Skoczowie, a Anna za gajowego Kropa w Górnej Lesznej.

Ponieważ ziemia nie wystarczała na wyżywienie tak licznej familji, trudnili się rodzice moi tkactwem, wyrabianiem cienkiego i grubego płótna, a matka szczególnie wyrabianiem fartuchów z harasu i sukien wełnianych dla kobiet, słynnych w całej okolicy.

SZKOŁA LUDOWA. Gdy miałem sześć lat, tj. w r. 1831, zaprowadziła mnie matka do szkoły w Golezowie; wzięła ona tam coś do ręki dla nauczyciela (rektora), ja zaś wzięłem ślabikarz, który mi matka niedawno za sprzedaną kurę była kupiła, i małe zawiniątko, w którym się znajdował kawałek chleba z serem i masłem na obiad. Matka wstąpiła ze mną do klasy, a nauczyciel spostrzegłszy nas, pomówił nieco z matką, odesłał ją z węzełkiem do rektorki, a mnie posadził do ławki między chłopców równego ze mną wieku, nie dalej nie mówiąc. Miałem ślabikarz przed sobą, alem nie patrzył do niego, bo mnie bardzo

zajmował ten gwar szkolny, tyle chłopców i dziewcząt i głos rektora, o czym wszystkim dotąd nie miałem pojęcia. Gdy się tak temu wszystkiemu dosyć długo na przyglądał, przypomniał mi się naraz dom rodzicielski, i wszystko to, co mi tam otaczało, i zacząłem z żalu nagłós płakać, tak że w szkole śmiech powstał, ale nauczyciel nic mi nie mówił, i nie lajał mię, bo wiedział z praktyki, że pierwsze dni dzieci za domem tęsknią. Na drugi dzień pytał mię nauczyciel o litery ze ślabikarza, a gdy mu je wszystkie dobrze wymieniłem — bo już w domu u matki z niemalym mozołem a często ze łzami się ich nauczyłem, przesadził mię nauczyciel do innej, wyższej ławki. Zrobiłem więc w krótkim czasie postęp, bo przeniesiony zostałem z pomiędzy poznawaczy — co się uczą litery poznawać — do składaczy — co literę do litery dodawają, zgłoskują. Tu już to nieco dłużej potrwało, nimem się dorobił 3-go stopnia, tj. czytających. Ślabikarz (groszówka) był cały czeski, a to utrudniało bardzo naukę czytania, bo w nim przychodziły wyrazy, których nie rozumiałem. Następnie brano się do pisania na tabliczce łupkowej, którą sobie każdy uczeń do szkoły przynosił. Nauczyciel przepisywał pierwszy rząd, czyli wzór na tabliczce, a uczeń według tego wzoru całą tabliczkę zapisał, a po obejrzeniu przez nauczyciela pisaninę zmasał i na nowo pisał, tak długo, aż pismo zgadzało się potroszę z przepisaniem rzędkiem, poczem nauczyciel nowe pismo napisał. Z tabliczki przechodziło się na papier, i tu już pisano według wzorów (*Vorschriften*), które nauczyciel pomiędzy piszących rozdelał. Naprzód pisano niemieckie słowa, potem polskie, dalej *Kanzlei* a nareszcie *Fraktur*. Nim tych czterech gatunków pisma się kto nauczył, potrzebował do tego dłuższego czasu, a fraktura była koroną pisarską. Były też dwa razy na tydzień godziny rachunkowe przy tablicy czyli przy tabuli i uczono się tam adyrować, subtrahyrować, multiplycyrować i dywidyrować, wszystko z sprawdzaniem rachunku czyli próbą. Śpiewano godzinę raz na tydzień całą klasą pieśni kościelne, a raz na tydzień uczono poznawać cyfry na tablicy. Ci co skończyli ślabikarz, dostawali do czytania i uczenia się na pamięć „naukę“ Pauliniego a do czytania później Nowy Testament. Oby-

dwie książki drukowane są szwabachem, chociaż polskie; książek z polskim czyli łacińskim drukiem nie było we szkole. Raz do tygodnia było ogólne czytanie z Nowego Testamentu; nieumiejący jeszcze biegle czytać przysłuchiwali się podczas czytania. Gdy chłopak nauczył się czytać i pisać, pytał się nauczyciel ojca, czy sobie życzy, aby jego synek uczył się także po niemiecku. Twierdzić można, że podobne życzenia były wyjątkowymi, i że tylko ci żądali nauki niemieckiej, którzy mieli zamiar oddać chłopców swoich do wyższych szkół, lub jeżeli należeli do zamożniejszych rolników. Warunkiem było, aby chłopiec okazywał wogóle zdolności i chęć do nauki.

NIEMCZYŻNA. Nauka języka niemieckiego rozpoczynała się uczeniem się słów niemieckich. Chłopak musiał się postarać o *Wokabule*, co się w ten sposób działo, że sobie od swego sąsiada pożyczał zeszytu, zawierającego wokabule niemieckie, na mały palec grubego, i sam go dla siebie przepisał. Gdy się tak nauczył słów w tym zeszycie zawartych, przesadzony został do *Deklinacyj*, które zawierały pokrótce gramatykę niemiecką; po ukończeniu uczył się *Małych lekcyj* a potem *Wielkich lekcyj*, zawierających konwersację pomniejszą i obszerniejszą, aż nareszcie przychodziło się do *Dziesiątek!* Dziesiątki zawierały trudniejszą konwersację, a nazywały się dziesiątkami dlatego, ponieważ każdy oddział dziesiątek zawierał dziesięć rozdziałów czyli rozmów. Wszystkie wymienione powyżej książki były pisane, każdy uczeń je dla siebie przepisywał czy w szkole, czy w domu. „Wokabule“ były w 8-ce, inne zaś w 4-ce. A gdy uczeń wszystkiego dobrze się nauczył, a był nibyto protegowany przez nauczyciela, tedy jeszcze jedna, ale już ostateczna czekała go niespodzianka. Nauczyciel wyjmował ze „szranku“ Rylpsa. Rylps była to powiastka o magdeburkim chłopie — o ile sobie jeszcze przypominam — który był pijakiem, potem się do piekła dostał i t. p. Tego Rylpsa dawał nauczyciel po kawałku uczniowi do tłumaczenia na niemieckie, a pracę korygował atramentem czerwonym, zupełnie według niemieckiego oryginału, i nieprzepuścił przy korekturze najmniejszego odstępku od oryginału; dlatego te korektury najdziwniej się na papierze przedstawiały. Była to dosyć długa i żmudna praca,

a człowiek się przytem niewiele nauczył. Nad Ryłpsa już większej mądrości niemieckiej nie było. Nie zobaczyło go też nigdy oko ucznia, mającego przy roli zostać; było to wyłącznym przywilejem tych, którzy mieli się poświęcić naukom w szkołach wyższych. Gdy był nauczyciel w dobrym humorze, tedy nam przyniósł kilkanaście listów, a z pomiędzy nich wybrał najnieczytelniejsze, i rozdał pomiędzy nas, abyśmy je sobie przeczytali a te listy potem przed nim głośnośmy czytać musieli. Był to dobry sposób, aby się przyzwyczaić do różnych charakterów pisma. Były też pewne przez nauczyciela oznaczone czasy, gdzieśmy musieli mówić po niemiecku. Każde powiedziane w zapomnieniu się słowo polskie było na sygnie zanotowane, którą albo jeden z nas przez cały tydzień przy sobie miał, albo też każdy ostatni tak długo nosić musiał, dopóki znów się komu nie przytrafiło powiedzieć polskie słowo, w którym to razie tenże sygnę odebrać musiał. Każdą sobotę była wypłata, i każdy z nas otrzymywał tyle „haltek“, tj. cięć prętem na dłoń, ile na sygnie miał kresek. Pamiętam, że jeden z nas miał ich 17, i nie wiem, czy przy wypłacie wytrzymał. Po niedługim jednak czasie, gdy się sprawa ta przytarła, zapomniano pomału o sygnie, aby ją znów kiedyś odnowić.

Nauki religji udzielał nauczyciel; nie wdawał on się w różne wykłady, zadał tyle a tyleśmy się na pamięć nauczyć musieli. Nauka religji, dla konfirmandów przeznaczona, odbywała się co tydzień i przychodził, aby jej udzielać, ksiądz ustroński Karol Kotschy, niekiedy zaś zastąpił go jego syn, ukończony teolog Herman Kotschy, obecnie ksiądz w Jaworzu; a ponieważ obaj byli ciężcy, nabyli sobie wierzchowego konia, na którym w czas pogody z Ustronia przybywali. Gdy zaś żaden nie przybył, nauczyciel odbył naukę z konfirmandami. Zapisy na tę naukę odbywały się w Ustroniu, bo też każdy zapisujący coś przyniósł, a przewóz tych podarków z Goleszowa do Ustronia byłby wymagał furi, którą się tym sposobem oszczędziło.

Podczas zimy trwała nauka w szkole od 9—12 a od 1—3 godziny, tedy pięć godzin dziennie. Podczas robót polnych zaś przychodziły dzieci o różnych godzinach. Przez po-

ludnie graliśmy na placu kościelnym różne gry dzieciinne: na ptaki, na kowala, ślepią babkę, kota i myszkę itd., a na wiosnę, gdy kwitły lipy i jabłecznik, zbieraliśmy kwiat lipowy a z jabłeczniaka główki dla X. Kotschego w Ustroniu, który miał wielkie wzięcie u ludzi jako dobry lekarz. Bawiliśmy się także w pim, pam, pum, w młynek, pisaniem słów i zdań, które wprost lub wstecz tak samo brzmią, np. *kobyła ma mały bok*, lub

S A T O R
A R E P O
T E N E T
O P E R A
R O T A S.

Wakacje były dwa razy do roku; pierwsze na żniwa trwały trzy czy cztery tygodnie i nazywały się „psi dni“, drugie na kopaczki i trwały dwa tygodnie. Zadań przez wakacje było bardzo mało, tylko starsi uczniowie otrzymali niekiedy do domu małą robotę. Ja dostałem raz do domu zadanie przez wakacje nauczyć się na pamięć z „deklinacji“:

der, die, das,
des, der, des,
dem, der, dem...

i t. d. w liczbie pojedynczej i mnogiej, naturalnie bez wszelkiego objaśnienia, co to wszystko ma znaczyć. Nie rozumiejąc tego namęczyłem się dosyć przez wakacje, aby się nauczyć, a gdy przyszło odpowiadać pomyliłem się i odebrałem za to nagrodę ośm haltek. To było przywitaniem ucznia po wakacjach do szkoły. Poskarżyłem się ojcu, a ojciec musiał w tym względzie coś uczynić, bo ten *Volksbildner* niedługo wyniósł się z Goleszowa. Nazywał się Cichy, nie był on nauczycielem, ale tylko pomocnikiem, przybyłem właśnie ze szkół.

EGZAMINA. Corocznie odbywały się egzamina, zwane prywunki, na które zwykle przychodził ksiądz i kilku obywateli, mających dzieci w szkole. Na miesiąc przed takim egzaminem rozdał nauczyciel po ćwierć arkusza papieru, większego formatu, celem pisania probszryftów. Pierwszy wiersz zawierał frakturę, drugi kancelaj, a reszta pismo polskie i niemieckie, nareszcie podpis ucznia i data.

Kto zrobił błąd, musiał drugi raz pisać, potem uporządkował nauczyciel wszystkie kartki według piękności pisma i oprowił w książkę, którą przy egzaminie przedłożył. Zresztą słuchał ksiądz z przedmiotów szkolnych dziatwę, przyczem kładł nacisk na język niemiecki — i rozmawiał z nauczycielem tylko po niemiecku. Niekiedy była też wizytacja szkolna, na którą przyjeżdżał także senior, a raz nawet przyjechał superintendent Lumnitzer z Berna, co było wielką rzeczą. Szkoła też musiała coś nadzwyczajnego przedstawić i z czym niesłychanem się popisać. Otóż czy z własnej inicjatywy nauczyciela, czy też z polecenia księdza, miała być deklamacja niemiecka przy egzaminie. Nie wiem, dlaczego mnie nauczyciel do tego przeznaczył, boć wtedy jeszcze bardzo mało umiałem po niemiecku, zaledwie kilkadziesiąt słów z wokabuli. Wręczył mi książkę, wskazał na bajkę „podróżny i żołędź“ i powiedział: tego się musisz na pamięć nauczyć. Uczyłem się bardzo, bardzo długo, nauczyciel co dzień mię słuchał, aż przecie nauczyłem się, nie rozumiejąc ze wszystkiego ani słowa. A gdy nadszedł ten dzień ważny, wystąpiłem przed tak świetnem audytorjum i musiałem to jakoś dobrze powiedzieć, bo superintendent zawołał: dobrze, dobrze, a sięgnąwszy wyjął woreczek z kieszeni a z niego nowusieńkiego piętaka — $5 \times mk.$ — którego mi jako nagrodę pilności w niemieckim wręczył. I senior Schimko z Bielska nie chciał pozostać w tyle i wyjął dla mnie z kieszeni nowiuteńskiego trojaka ($3 \times mk.$). Były to jedyne premje podczas mojego uczęszczania do szkoły goleszowskiej, premja nie za naukę, ale za język niemiecki. Szkoda było tego czasu, bo nikt z takiego popisu nie miał korzyści a ja miałem szkodę, bo czas straciłem.

Wtedy nie było tyle szkół, co dziś. I do szkoły goleszowskiej należało dużo wiosek, które obecnie mają własne szkoły, lub do nowo założonych szkół dzieci posyłają. Gdyby też wszystkie dzieci były do szkoły uczęszczały, to by nie były w niej miały miejsca, a nauczyciel nie byłby sobie dał rady. Boć już z dziećmi, które rzeczywiście do szkoły uczęszczały, nie mało miał nauczyciel pracy. Ale pomimo tego znalazł jeszcze nauczyciel wiele czasu do innych zatrudnień, chociaż rzeczywiście ze szkodą dla szkoły.

POGRZEBY. Przedewszystkiem zabierały mu pogrzeby dużo czasu. W tak wielkiej gminie szkolnej było też dużo pogrzebów. Nauczyciel wybierał z pomiędzy najstarszych uczniów około dziesięciu, którzy mu na pogrzeb towarzyszyli, wzięwszy krzyż i kancjonał z sobą. Działo się to zwykle o godzinie 9 lub 10 przed południem, stosownie do tego, jak daleko trzeba było iść. Przyszedłszy w dom zmarłego, zasiedliśmy około stołu, nakrytego białym obrusem. Zmarły zwykle leżał w sieni w trumnie, na której się świeca paliła. Pogrzeb rozpoczął się śpiewem z Trzanoskiego kancjonału i śpiewali z nami wszyscy pogrzebnicy. Po pierwszej piosnce przynoszono na stół chleb, ser, niekiedy też i masło, noże, plecionkę (flaszkę oplataną) z wódką i kieliszki. Nauczyciel pokrajał chleb na kromki dla każdego szkolnika, a ci jedli wspólnie z nauczycielem, poczem otrzymali po kieliszku wódki. Nie pijano tu rozolek ani likierów, ale prostą wódkę, pyrculą zwaną. Po posileniu się śpiewano drugą pieśń a potem i trzecią, aż się wszyscy pogrzebnicy zebrali. Potem przyniesiono nauczycielowi Kazania Dombrowskiego (Dombrówkę), a on, wyszukawszy odpowiednie kazanie, przeczytał je od początku aż do końca. Jeżeli był zmarły szczególniejszym człowiekiem, tedy wplątał nauczyciel jakiś odnośny dodatek do kazania w właściwem miejscu, opisujący jego dobre przymioty, zasługi i t. p., który to dodatek był zwykle naprzdłożony. Po kazaniu zaś jedzono, pito i śpiewano. Między pogrzebnikami obchodzono z chlebem, z którego każdy kromkę dla siebie skroił, i nalewano im po kieliszku wódki. Kiedy już tak było około drugiej lub trzeciej godziny, wybrali się wszyscy pogrzebnicy z domu na cmentarz i śpiewano całą drogę pieśni, które jeden ze szkolników przedpowiadał. Na cmentarzu już tylko śpiewano parę wierszy i pogrzeb był skończony. Nam szkolnikom dano w domu lub na cmentarzu wynagrodzenie za śpiew 2, 3, 4 kr. szajnów, czasem, ale bardzo rzadko, dwa czeskie (6 kr.). Po pogrzebie poszli pogrzebnicy do karczmy, a nauczyciel, odprowadziwszy nas do szkoły, także zazwyczaj do karczmy poszedł, bo go zawsze zaproszono. A tak dzień cały dla szkoły był stracony. Zwykle pozostawał jeden ze starszych szkolników w szkole, który to niby zastępował nau-

czyciela, a rektorka zaglądała niekiedy do klasy, aby się przekonać, czy dzieci się cicho i spokojnie zachowują.

KOLEĐY. Nauczyciele za moich czasów chodzili także po kołędzie. Przed godami napieczono opłatków, co było zwykle zadaniem rektorki, a nauczyciel, nabrawszy ich węzeł, i zawiesiwszy płaszcz na się, poszedł z kościelnym lub innym obywatelem po kołędzie od chałupy do chałupy, od wioski do wioski. Przyszedłszy do domostwa, posiedział trochę i pogawędził, potem powstał, zdjął kapełusz i zaczął recytować wiersz dość spory, poczem znów usiadł, a gospodarz lub gospodyni wyszedłszy z izby, przynieśli kołędę, składającą się ze zboża, t. j. rży lub pszenicy, czy na słomiance czy też w pudle, którą wsypali do worków, przyniesionych przez kościelnego. Po powinszowaniu rozwiązał nauczyciel swój węzeł a wyjąwszy z niego kilka opłatków dał je gospodarzowi na święta. Taka kołęda była częścią salary nauczycielskiej, co później się zmieniło, gdyż młodsi nauczyciele oświadczyli, iż to jest niegodnym stanu nauczycielskiego zbierać po trosze zboża po chłopach, i dano im za to inne wynagrodzenie. Takie kołędy trwały kilka i kilkanaście dni i przynosiły także uszczerbek nauce szkolnej.

WYCHOWANIE DOMOWE. Pomimo tego dzieci nauczyły się wszystkiego, co im do życia było potrzebne, a czego się nie douczyły w szkole, tego się douczyły w domu. Wychowanie domowe było nietylko przygotowaniem do nauki szkolnej, ale też i dalszym ciągiem szkoły, a przede wszystkim było religijne, a do tego nie było trzeba wiele słów, bo sam przykład wystarczył. Gdym widział, jak ojciec rano i wieczór klęka i modli się, a tak samo i matka i starsze dzieci, to i ja bez kazowania, bez rozkazu ukląknęłam także i zmawiałem modlitwę z matką, która mnie jej nauczyła, a te wrażenia z lat dzieciennych pozostały mi przez całe życie, tak że nigdy modlitwy nie opuściłem. W niedzielę, ta część familji, która do kościoła nie mogła pójść, odprawiła nabożeństwo w domu śpiewem, odczytaniem kazania odnośnego z Dąbrówki, potem zaś śpiewem, a nareszcie modlitwą. Po południu zaś każdy sobie wybierał książkę według swego upodobania i czytał, i ci, co byli w kościele, też czytali po południu. Przy każdej spo-

sobności, a mianowicie wieczorami, zimową porą czytano biblię, najulubieńszą książkę ze wszystkich, przy zwykłej robocie, a ponieważ ja byłem najmłodszy, tedy ja najczęściej czytać musiałem, co zawsze chętnie czyniłem i już z samego czytania nauczyłem się historii biblijnej. Nie rozumiałem wprawdzie wielu rzeczy, mianowicie, gdym czytał księgi apokryficzne, ale czasem ojciec wdał się w tłumaczenie miejsc sprzecznych. Wogóle, co i teraz wyznaję, było czytanie biblii dla mnie wielką korzyścią i teraz jeszcze czasem biorą ją chętnie do ręki. Podobnie czytano w wielu innych domach. Wogóle wielu było bardzo ludzi, którzy byli odcytani i tych zwano pismarzami, i pismakami. Gdy taki pismak słyszał o jakiej książce — naturalnie starej, bo nowych nie było — to tak długo chodził od wioski do wioski i dopytywał się o nią, aż ją nareszcie znalazł. Mój ojciec posiadał książkę, którąśmy pokrótce Dykurssem zwali; ta książka nie zagrzała się w domu, i szła z rąk do rąk pomimo, iż jest dosyć gruba. Jeden pożyczał ją drugiemu, i czasem ojciec musiał długo dopytywać się o nią, niż ją odszukał, bo już była w dziesiątych rękach.

BIBLIJOTECZKI. U każdego ewangelika była biblijoteczka, składająca się po większej części z książek treści religijnej: śpiewniki polskie (rzadkie) i czeskie, biblje, postyle (Dąbrowski i wiele bardzo czeskich), książki modlitewne, czasem też i wielkiej rzadkości np. biblja radziwiłowska, — mało zaś treści świeckiej. Książki te były w wielkiem poszanowaniu u każdego, mianowicie zaś właściciel ich miał nad niemi szczególną opiekę i przy śmierci — jeżeli nie wcześniej — rozporządził niemi, jak innym swoim majątkiem, rozdzieliwszy je ciepłą ręką lub ustanowiwszy w swoim testamencie podział, jaki ma nastąpić.

Po Śląsku chodzi dużo miłośników starych książek, mianowicie z Morawy, którzy je wykupują i z kraju wynoszą, a nawet niejedna polska książka poszła tą drogą do Polski. Tak sprzedane, a niekiedy i drogą zamiany pozbyte książki nie wrócą już nigdy na Śląsk, i żalować wypada, że się tak dzieje.

BIBLIJOTEKA KOŚCIELNA. Dziwić się i ubolewać należy, że biblijoteka kościoła ewangelickiego w Cieszynie, mająca fundusze na pomnażanie tejże biblijoteki, nie zajęła

się dotąd zebraniem po jednym egzemplarzu książek nabożnych i religijnych polskich i czeskich, znajdujących się na Śląsku, z czego powstała znaczna biblioteczka, która by się bardzo kiedyś przydała, mianowicie pisarzom książek religijnych. A gdy jest fundusz na podobne zakupy (choćby każdy chętnie darował żadaną książkę do biblioteczki cieszyńskiej) — a gdy jest czterech obecnie księży przy zborze ewangelickim w Cieszynie, a więc dosyć rąk do pracy, tedy nie można pojąć, że się tem nikt zająć nie chce, przez którą to obojętność na sprawy religijne pójdzie dużo książek wyborych w zapomnienie i zaturę, a nie będziemy mieć w bibliotece kościelnej może nawet śpiewnika Trzanowskiego, którego nasz lud blisko trzysta lat w domu i w kościele używał.

LITERATURA ŚWIECKA. Książek świeckiej treści było mało, prawie żadnych. Jeżeli się kto dowiedział o jakiej książce polskiej, to czasem długo chodził za nią i dopytywał się, nim ją znalazł. Co się więcej podobało, to zostało przepisane, np. prorocstwa różne, obrzędy weselne, dni szczęśliwe i nieszczęśliwe. Nawet pewien gospodarz z Godziszowa, dostawszy starą książkę polską, dosyć grubą, o hodowaniu koni, kazał ją sobie przepisać, i zapłacił pisarzowi pięć złr., na one czasy i dla rolnika bardzo znaczną sumę, kiedy książka drukowana ani połowy tej kwoty kosztować nie mogła.

Literatura świecka składała się wyłącznie ze świstków sprzedawanych na jarmarkach i odpustach, treści religijnej, niekiedy też opisy jakich nieszczęść, życie i koniec zbójców, niekiedy jakaś powiastka, np. o broncwiku — wszystko po czesku z morawska, drukowane szwabachem. Coś polskiego, tj. w polskim języku drukowanego, daremnieby tam był człowiek szukał.

STRÓJ NAUCZYCIELI. Nauczycielem, czyli rektorem, jak dawniej nauczycieli zwano, był na on czas w Goleszowie Jan Lieberda. W ubiorze nie różnił on się niczem od chłopca, tylko, że miał przy kamizoli i brucleku trochę inaksze guziki, jak nasi chłopcy nosili, a wierzch kapelusza był nieco szerszy od innych kapeluszy. Jego żona, rektorka, nosiła się zupełnie tak, jak naówczas nasze kobiety; jadali wspólnie z jednej miski i żyli wogóle tak, jak nasi

rolnicy. Ponieważ już wówczas był dosyć podstarzały, dodano mu „pomocnika“ w osobie Pawła Heczki, rodem z Łyżbic. Ten należał już do ludzi inteligentniejszych, bo skończył był gimnazjum, i garnął się więcej do nauki jak inni. On to przyjął na siebie obowiązek przygotować mię do gimnazjum, a ponieważ brat jego, Jerzy Heczko, obecnie ksiądz w Ligołce, również zamyslał udać się na „wysokie szkoły“ do Cieszyna, tedyśmy się razem uczyli. Heczko przybył do Golezowa jako pomocnik nie w kamizoli, ale w szpencerze. Szpencer w tym czasie wyrugował u młodzieży męskiej i żeńskiej kamizelę, od której się tylko tem różnił, że miał kołnierz wykładany. Szpencerzyści nosili też spodnie na butach, kamizolkarze zaś w butach. Aleć niezadługo uznali nauczyciele za potrzebne odróżnić się od zwykłych parobków i sprawić sobie kaboty (surdut), chociaż ten wymagał większego nakładu. Pierwszym był Śniegoń, nauczyciel w Puńcowie, który się w kabocie pokazał i powstał stąd szmer między obywatelami puńcowskimi i pomiędzy nauczycielami, a gdy i Kaleta z Międzyrzecza i Kuczera z Nawisia przybyli do Heczki w kabotach, tedy i on sprawił sobie kabot. Ludzie na te rektorskie kaboty niechętnem okiem patrzali, bo uczuwali, że się nauczyciele chcą od nich odróżnić i oddzielić, co też z czasem faktycznie się stało.

PRZYGOTOWANIE DO GIMNAZJUM. Aby moje przygotowanie do gimnazjum tem skuteczniejsze było, oddał mię ojciec do ks. Terlitzy, który właśnie na księdza goleszowskiego wybrany został. Ks. Terlitza pochodził z Wsetina na Morawie; nie umiał on polskiego języka, ale ponieważ przyobiegał, że się go wkrótce nauczy, tedy go obrano. Oprócz niego był jeszcze kandydatem profesor Kajzar z Cieszyna, ale ten, choć umiał po polsku, nie znalazł miru u ludu. Ks. Terlitza nauczył się dobrze po polsku, czytał wiele, ja sam dostarczałem mu wiele książek polskich; był to człowiek niepospolitej nauki, miły w obejściu i był wszędzie dobrze widziany. Przebył on w Golezowie lat pięćdziesiąt. Otóż u niego miałem się przygotowywać do gimnazjum, a u nauczyciela Heczki także. Ale jakoś to nie szło, bo ks. Terlitza chciał mię używać do zwykłych robót i posług domowych i gospodarskich, a co do nauki, dał mi tylko książkę niemiecką z wielką rybą na wstępie, do czy-

tania, której naturalnie nie rozumiałem i nie czytałem. Powróciłem znów na dobre do Heczki, a ten po szkole nas obydwóch, tj. brata Jerzego i mnie, w łacinie i niemieckiem uczył. A gdyśmy już to niby dojrzeli, zakończyliśmy nasze nauki w szkole ludowej goleszowskiej, aby się udać na „wysokie szkoły“ do Cieszyna.

PRZYJĘCIE DO GIMNAZJUM. Było to w lecie 1839 r., kiedy się udałem z ojcem do Cieszyna, aby zdać egzamin i być przyjętym do gimnazjum. Stawiliśmy się przed księdza Żlika, który był także z Kozakowic rodem; był on w tym roku eforem, i do niego należało przyjmowanie uczni do gimnazjum. Ojciec mój mu tłumaczył, gdzie chodziłem do szkoły, kto mnie uczył i żeby sobie życzył, abym był do trzeciej klasy gimnazjalnej przyjęty, bo tym sposobem oszczędziłby sobie wiele wydatków podczas nauki w pierwszej i drugiej klasie. Mnie się zapytał ks. Żlik, czem się uczył. Odpowiedziałem mu, że łaciny i niemieckiego i innych przedmiotów, na co on rzekł do ojca: Nie wiem, jak wiele synek wasz umie, ale przychodzi tu, aby się uczył, jeżeli będzie się uczył, to tu pójdzie z trzecią klasą. I zapisał mnie jako ucznia trzeciej klasy i powiedział, kiedy się szkoły rozpoczynają.

WYPRAWA Z DOMU. W wyznaczonym dniu stanęła jednokonka przed naszą chatą, ojciec zapakował na wózek łóżko, słomę, do łóżka potrzebną i skrzynkę, w której znajdowały się różne potrawy, chleb, ser, masło itp., bielizna, ubiór; nareszcie zapakowano jeszcze na wózek pierzyny i worek ziemniaków świeżo nakopanych. Gdy mię matka żegnała, rozbeczałem się i siadłem z ojcem na wózek i pojechaliśmy do Cieszyna na gimnazjum. Miałem już przedtem zamówiony kwater u prof. Glatza, to jest nie w jego pomieszkaniu, ale w osobnym pokoju, w którym studentów trzymał. Odezwał się dzwonek szkolny, zgromadziła się dzia-twa przed gimnazjum i poszliśmy stąd do kościoła. Tu po przemowie od ołtarza, zasiadł ks. Żlik do katedry, z której odbywały się zwykle nauki religji, i zaczął nam czytać i wykladać ustawy i przepisy szkolne, których się mamy trzymać, a po skończeniu mieliśmy cały dzień wolny.

Ojciec, pokupiwszy mi najpotrzebniejsze książki i rekwizyta, wręczył mi na nieprzewidziane wydatki 10 × mk.

= 17½ centa, i pojechał do domu, przykazawszy mi ostro, abym się uczył.

Oprócz kolegi z Goleszowa nie miałem w Cieszynie nikogo znajomego, ale nie trwało długo, to się zaznajomiłem z większą częścią studentów, co nie było trudno, bo ci znajomi to byli wszyscy kamizolkarze.

PIERWSZE NAUKI W GIMNAZJUM. Profesorem w III klasie, do której wstąpiłem, był Fukala z Błędowic czy z Szumbarku rodem. Nauka szła dosyć trudno i musiałem być bardzo pilny, aby wszystkiemu podołać. W niemieckiem byłem jeszcze słaby, tak, że profesora nie zawsze zrozumieć mogłem, a z konwersacją bardzo słabo stało, z łaciny zaledwo deklinację i nieco z konjugacji umiałem; a do tego przybyły nowe przedmioty: język grecki i język francuski obowiązkowy. Miałem wtedy wprawdzie ukończony rok 14 życia mego, a w tym wieku może człowiek już nieco więcej jak w 12 znieść, ale wadą było, że do trzeciej klasy nie miałem przygotowania a wstąpiłem do niej. Pierwszy raz byłem wywołany z geografji; mieliśmy Portugalję. Nauczyłem się tylko tej części, która była grubszym drukiem wydrukowana, zaś części z drobnym drukiem (miasta) nie uczyłem się, bom sądził, że to niepotrzebne. A prawie miałem opowiedzieć o miastach, a gdy nic nie umiałem, kazał mi profesor całą lekcję raz odpisać. Jakie zmartwienie dla mnie!

Otóż tak mało jeszcze miałem poglądu na rzeczy. Aleć z końcem półrocza miałem dosyć dobre postępy, w rachunkach *eminenz*, dwa *ademinenz*, a resztę jedyńki. A była w gimnazjum zaprowadzona następująca: *eminenz* = celująco; *ademinenz* = bardzo dobrze; *prima* = dobrze; *secunda* = średnio, wystarczająco; *tertia* = źle. Prof. Kajzar porobił później jeszcze pośrednie klasy, ale te nie były oficjalne: *usque fere* = między *adem.* i *em.*, *vix 1 a*, *cum punctulo* itp.

PROFESOROWIE. Nauka rozpoczynała się śpiewem i modlitwą; w tym celu zchodzili się uczniowie trzeciej klasy z uczniami czwartej klasy, a po ukończonem nabożeństwie, które bardzo krótko trwało, poszli 3-klasyści do swojej klasy. Zwykle już czekał Fukala w katedrze i baczyl na każdego ucznia, czy ma buty oczyszczone. W czwartej klasie był Glatz profesorem. Obydwaj podzielili się

przedmiotami w ten sposób, że np. Glatz wykładał język łaciński, francuski i grecki itd. w czwartej klasie, zaś Fukała inne przedmioty w swojej i w czwartej klasie. Obydwaj profesorowie byli dzielni ludzie, wykład ich był zrozumiały, i zadawali sobie pracę, aby nas czego nauczyć. Zgoła wszyscy profesorowie w poprzednich i następnych czasach byli ukończeni teolodzy ewangeliccy i z małemi wyjątkami nasi ludzie Ślązacy. Tu w Cieszynie jako profesorowie wyczekiwali posad pastorskich, i profesura była dla nich często tylko posadą chlebobajną. Było też w rzeczy samej trudno o profesorów, że tak powiem świeckich, ewangelików, bo w całej Austrii było tylko jedno jedyne gimnazjum ewangelickie w Cieszynie z trzema tylko profesorami na cały zakład; ewangeliccy profesorowie zaś nie mieli przystępu do gimnazjów w Austrii, które były katolickie, jak wogóle wszystkim ewangelikom pomimo patentu tolerancyjnego utrudniony był wstęp do jakiegokolwiek służby publicznej w Austrii. Było więc niejako z uszczerbkiem dla nauki, iż nie było na gimnazjum profesorów, którzyby się byli na takowych kształcili i przygotowali, i że nie było podziału przedmiotów między nauczycielami — wyjąwszy powyżej nadmieniony, bardzo krótko atoli trwający podział między prof. Glatzem i prof. Fukałą — tak że jeden i ten sam profesor musiał wykładać wszystkie, tak różnorodne przedmioty w swojej klasie.

KLASY. Na Wyznief Bronie czyli przy kościele ewangelickim w Cieszynie były następujące klasy: 1. klasa przygotowawcza, *Vorbereitungsklasse* zwana, do której uczęszczały dzieci od 6 roku wieku zaczawszy; 2. pierwsza klasa, jako dalszy ciąg szkoły przygotowawczej. Tak pierwsza klasa, jak też i przygotowawcza trwały po dwa lata. Te dwie klasy były właściwą szkołą ludową czteroklasową. 3. Druga klasa (I i II gimnazjalna); 4. trzecia klasa (III i IV gimnazjalna); 5. czwarta klasa (V i VI gimnazjalna), z których każda trwała przez dwa lata, tak że, gdy kto chciał wstąpić do gimnazjum musiał czekać, aż się dwa lata skończyły, a gdy kto musiał powtarzać czyli repetować, musiał dalsze dwa lata w tej samej klasie siedzieć. Takie urządzenie pochodziło stąd, że fundusz gimnazjalny — będący własnością kościoła ewangelickiego w Cieszynie — nie wy-

starczał na utrzymanie sześciu profesorów, gdyż procent od tegoż funduszu pokrył zaledwo potrzeby trzech nauczycieli.

SUPLENCI. Dla braku funduszków nie było też w gimnazjum żadnych zastępców lub suplentów, a w razie, gdy który z profesorów zasłabł lub też posadę swoją stale opuścił, musiał go jeden z księży zastępować. Na tem nie wychodziliśmy źle, bo obydwaj księża, Żlik i Kłapsia, byli dobrymi nauczycielami. Mianowicie Żlik był wyśmienity łacinnik i grek, matematyk i botanik, i była to radość słuchać go, jak on to umiał wyłożyć swój przedmiot i zachęcić ucznia do uwagi i do nauki, do zamiłowania się do tego przedmiotu; można powiedzieć, że on umiał zelektryzować uczeni i przywiązać ich na zawsze albo przynajmniej na dłuższy czas do nauki w wykładanym przedmiocie. Prawda, że i te substytucje miały swoje niedogodności, bo często przychodził wachtarz, tj. kościelny, do klasy i zawołał: „Panie tatulku, przyjechał też tam po nich ku niemocnemu“, na które słowa ks. Kłapsia zamykał książkę i odchodził, zaś ks. Żlik kazał czekać, aż lekcję czyli godzinę skończy. Obydwaj byli eforami gimnazjalnymi, zmieniali się co rok i mieli nadzór nad gimnazjum; prowadzili kancelarję, załatwiali czynności gospodarskie i mianowali wraz z kolatorami zboru profesorów, i przyjmowali uczniów do gimnazjum.

STUDENCI. Uczniowie byli tylko ewangelicy, nie było tu ani jednego katolika lub żyda, bo katolicy mieli natenczas swoje katolickie gimnazjum w Cieszynie, do którego także uczęszczali żydzi, co jednak wtedy było rzadkością, aby żyd był gimnazjastą. W gimnazjum ewangelickiem było najwięcej uczeni ze Śląska, potem z Czech, z Morawy, ze Słowaków, czasem z Austrii; ci zagraniczni, że tak powiem, tj. pozaślązacy, byli po największej części synami pastorów lub nauczycieli ewangelickich. Ze Ślązaków było najwięcej synów rolników, tak zwanych kamizolkarzy, bo nosili kamizole, a później szpencery, gdy zaś inni nosili kaboty (surduty) i zwano ich kabociarzami. Dopiero, gdy taki kamizolkarz ukończył gimnazjum i miał pójść do innych wyższych szkół, sprawił sobie surdut i już był panem. Nasi chłopcy szli zwyczajnie na licea węgierskie — Presburg,

Kesmark, Leutschen itp., czasem i do Wiednia na filozofję, a potem z Węgier do Wiednia na ten lub ów fakultet. Do Lwowa lub Krakowa nikt nie chodził, bo nie miał Śląsk żadnych styczności z Polską. Pierwszy przełom zrobili Bujak i Cinciała, pierwszy poszedł z Węgier do Lwowa na prawa, a drugi z Cieszyna na filozofję i prawo do Krakowa. Jan Bujak pochodził z Wiśł, a obrawszy karierę finansową i dosłużywszy się rangi Oberfinanzratha mianowany został Hofrathem, umarł w roku 1886 we Lwowie. Był to człowiek wielkich zdolności, Śląsku zawsze przychylny tak, jak się na kamizolkarza należy. Ubolewał on nieraz przede mną nad swoim szwagrem Dr. Haasem, superintendentem w Cieszynie.

Reszta chłopców naszych poszła za chlebem albo do gospodarstw większych za pisarzy, albo do kancelaryj, albo na nauczycieli ludowych, najwięcej zaś zostało ich przy roli ojczystej, a czy osiedli na roli przed skończeniem, czy też po skończeniu nauk gimnazjalnych, zawsze pamiętali jeszcze o dalszej nauce w chwilach wolnych od pracy gospodarskiej, i niejeden rolnik był przy swoim zawodzie dość dobrym grekiem lub łacinikiem.

PREPARANDA. Nauczyciele ludowi ewangeliccy, skończywszy gimnazjum, szli do preparandy na pół roku, a uzyskawszy stamtąd świadectwo zdolności, otrzymali posady przy szkołach ludowych. Katoliccy nauczyciele zaś mieli tylko wykształcenie szkoły głównej cieszyńskiej, zawierającej w sobie cztery klasy. Jakżeż to wielka była różnica między nauczycielami ludowymi katolickimi i ewangelickimi! Wogóle mówiono, że pierwsi nie mają ani nauki, ani wykształcenia, i nie byli też w samej rzeczy poważani ani przez panów, ani przez lud. Za czasów ewangelickiego gimnazjum w Cieszynie była też inteligencja chłopska bardzo liczna, gdyż wielu rolników ukończyło jeżeli nie całe gimnazjum, to przynajmniej kilka klas tegoż, a umiała też i po polsku, bo chociaż tylko książki czeskie przepisane były do szkół ludowych, to z nowego testamentu w szkole, a z biblji i Dombrowki w domu nauczyła się języka polskiego, a nauka języka polskiego też wykładaną była w 1 i 2 klasie gimnazjalnej. Katolicy zaś nie mieli żadnych książek polskich, w szkole uczyli tylko po czesku, a nau-

czyciele sami nie mieli żadnej znajomości języka polskiego. Teraz inteligencja chłopska wymiera, mianowicie od czasu zniesienia gimnazjum ewangelickiego i przeniesienia tegoż do Bielska, co superintendentowi Haasemu mamy do zawdzięczenia. Nauka rozpoczynała się w lecie o 7-ej i trwała do godziny 10, po południu zaś od 2-iej jedną lub dwie godziny. Popołudnia w środę i sobotę były wolne. Również dnie jarmarczne były bez nauki.

NABOŻEŃSTWA. W niedziele były nabożeństwa na przemian, albo w czwartej klasie, gdzie po śpiewie miał jeden z profesorów stosowną przemowę, albo w kościele. Uczniowie zgromadzali się przed gimnazjum, a potem szli z profesorami *in corpore* do kościoła. Uczniowie 1 i 2 klasy byli obowiązani uczęszczać na ranne kazania (polskie), a w poniedziałek pytał się profesor, co było przedmiotem kazania. Dwa czy trzy razy do roku byliśmy przy spowiedzi. Dzień przed spowiedzią po południu zebraliśmy się w 4 klasie, po śpiewie miał profesor lub jeden z księży przemowę, potem następowała mowa deprekacyjna jednego z uczniów a śpiew zakończył nabożeństwo.

GRY I ZABAWY. W zimie bywały często batalje śniegowe między alumnistami i *kostgängerami*, mniejsze na placu kościelnym, większe w szańcach, na pagórku, nad kościołem położonym, raz wygrała ta, drugi raz druga strona, a wygraną było spędzenie przeciwnika z placu boju. Nie obeszło się tu bez lekkich skaleczeń i sińców, bo i podwójny ubiór nie chronił przed niemi. Za to grywały obydwie partje w lecie na placu kościelnym: w piłkę, na psa, małe i wielkie myta, gnypy, koble itp. w zgodzie, a niekiedy udano się na Małą łąkę, na *egzerzierplatz* lub do wierzbiny, aby tam na większej przestrzeni wielkie myta zagrać. Istniał też między studentami związek muzyczny, a nauki udzielali żołnierze od kapeli wojskowej. Instrumenta dęte i basy były własnością kościelną. Na wiosnę odbywały się czasem na placu kościelnym produkcje muzykalne, ale nie z bardzo wielkiem powodzeniem, i w kościele grano niekiedy przy nabożeństwach w święta uroczyste.

Rok rocznie robiono wycieczkę nieprzymusową pod przewodnictwem ks. Żlika na łąkę Tul, znaną z licznych roślin, a stamtąd na Czantorję.

KLASYFIKACJA I EGZAMINY. Z końcem pierwszego półrocza odbywała się klasyfikacja, w której każdemu uczniowi dano z każdego przedmiotu zasłużony postęp, zaś na końcu drugiego półrocza były egzamina. Egzamina odbywały się w 4 klasie; przychodzili na nie księża jako eforowie gimnazjum. Przychodziły też na te egzamina księżki, to jest żony obydwóch księży, i niektóre wdowy po zmarłych księżach lub profesorach, a zasiadłszy sobie na stołkach czyli krzesłach, brała jedna po drugiej robotę z koszyka i zaczęły pończochy robić, heklować itp. Uczniowie mianowicie z 4 klasy gniewali się nad tem i mówili: niechby sobie zostały w domu z swojemi pończochami, co one rozumią z greckiego lub fizyki. Zresztą egzamin nie miał nic szczególnego w sobie, profesor wyrywał uczni z przedmiotów jeden po drugim, a na końcu odczytano klasyfikację, poczem ks. efor pochwalił lub naganił uczni, zaczem jeden z uczni miał mowę pożegnalną. Świadectw nie wystawiano, tylko na szczególne żądanie uczni, mianowicie gdy uczeń opuszczał gimnazjum, otrzymał *Abgangszeugniss* z klasyfikacją ostatniego półrocza. Klasy czyli postępy uczni wpisywano do osobnej księgi z każdego półrocza, z dodaniem, co z którego przedmiotu w półroczu wykładano. Przed egzaminami odbywał się zwykle targ na książki, gdzie wyższa klasa sprzedawała niższej szkolne książki. Wtedy nie było co roku zmiany książek, książka była dobrą przez dziesiątki lat, uczeń za bardzo małą cenę nabywał książki do wyższej klasy. Czasem sprzedawali też uczniowie, mianowicie w alumnei z ubioru swego niektóre rzeczy *kostgängerom*, aby przez to uzyskać parę groszy na podróż do domu, która się zawsze pieszo odbywała. Często wędrowali Czesi grupami do domu, mając z sobą skrzypka lub gitarzystę, a gdzie zajechali, zaczęli grać i śpiewać, tak że zostali ugoszczeni, w ten sposób podróżowali bez pieniędzy. Niekiedy zabierali Czesi Ślązaków z sobą na te podróże i ci spędzali tam u rodziców z swemi kolegami wakacje.

INSTRUMENTENZIMMER. Instrumenta muzyczne, które na początku roku szkolnego między muzykantów porozdawano, z końcem roku bywały zwrócone i wędrowały do tak zwanego *Instrumentenzimmer*. Oprócz instrumentów muzycznych znajdowały się tamże rozmaite instrumenta

fizykalne, wszystkie bez wartości. Podczas lekcji z fizyki przynoszono tylko pompę powietrzną (*Luftpumpe*), ale tą nie umiał nikt kierować, i przychodzono zawsze do jednej i tej samej konkluzji, „że pompa musi być zepsuta“.

KALEFAKTOR. W gimnazjum był także urząd kalefaktora. Kalefaktor czyli, jak go lud nazywał, *kalafachtor* był poprostu sługą szkolnym, i jego obowiązkiem było dzwonić dzwonkiem znajdującym się w wieżce na gimnazjum, a dzwonił godzinę przed rozpoczęciem nauk, niby na pobudkę o godzinie 6 rano, o $\frac{3}{4}$ 7 i o 7 godzinie, potem przy ukończeniu każdej godziny. Dalej kalefaktor odmykał i zamykał klasy, czyścił i zamiatał co tydzień, w zimie palił w piecach a w niedzielę podczas nabożeństwa miecha przy organach ciągnął — ważył — deptał. Jego urzędem było także uczeni skazanych na siedzenie po szkole, trzymać pod zamkiem i walić, gdy profesor karę tę wymierzył, co się za moich czasów jednak nigdy nie wydarzyło. Kalefaktor był uczniem gimnazjalnym jak każdy inny, on tak się uczył greki i innych przedmiotów jak i my, i po skończonych studiach gimnazjalnych szedł na wyższe szkoły, lub obierał sobie inny jaki zawód, poczem obierano jego następcę. Był to zwykle chłopak rosły i tęgi, tak żeby mógł miech przy organach w kościele, jak stąpi nań, nadół pójść.

KOSTGÄNGERZY. Uczniowie gimnazjalni mieszkali albo w alumneum i nazywali się Alumnistami, albo po kwaterach prywatnych i nazywano ich *kostgängerami*. Kostgängerzy sami nie stolowali się i mieszkali u wachtarzy = kościelnych, różnych wdów i familij na Wyższej Bronie, u nauczycieli, profesorów i księży, a u dwóch ostatnich w osobnych pokojach. Zwykle, np. u wachtarzy, było ich na niewielki pokój 10 do 12, a w tym samym pokoju mieszkał jeszcze gospodarz z żoną i dziećmi. Do łóżka dochodziło się albo od nóg albo od głów, bo z boku miejsca nie było. Gospodyni gotowała studentom obiad, składający się zwykle tylko z ziemniaków maszczonych. Każdy student miał osobne naczynia i przyrządy do gotowania, garnuszek jeden lub dwa, miskę, rynkę, łyżkę itp. Dziwnie się wydawały na blasze całe rzędy garnuszków z ziemniakami lub kaszą itp. i ryneczek ze słoniną lub masłem, a oprócz tego własne garnki gospodyni; blacha tego nie mogła nawet

pomieścić. Na śniadanie jadł uczeń chleb, czasem ze serem, a na kolację też chleb lub resztki pozostałe od obiadu. Co sobotę przychodził ktoś z krewnych i przynosił studentowi na cały tydzień nową strawę, chleb, masło, ser, słoninę, trochę kaszy i mąki, przynosił bieliznę a czasem parę groszy na papier — brał zaś brudy do domu. W zimie siedziano przy jednym długim stole, i przy jednej tylko łojówce, w lecie zaś uczono się na polu. Po wstaniu umywano się na dworze, wzięwszy każdy do swojego garnuszka wody, bez lawoaru i innych przyrządów do mycia; każdy sobie czyścił swoje boty i suknie. Za taki kwartyr, gotowanie i obsługę, jaka już tam była, np. oskrobanie ziemniaków, pościelenie łóżka itp., płaciło się gospodarzowi zwykle 1 złr. na miesiąc. Nie była więc nauka gimnazjalna u nas tak droga, bo żywności sobie rolnik nie rachował, książki niewiele kosztowały a ubiór teżby był musiał synkowi w domu sprawić. Dlatego garnęło się bardzo dużo rolników do szkoły, i zgoda wszyscy się zgłaszający zostali przyjęci, bo egzamin wstępny był łatwy, i nie żądano wielkiej znajomości języka niemieckiego, wychodząc z zasady, że się go tu student douczy.

ALUMNIŚCI. Alumnejski budynek stał dawniej w równej linii z farą, gdzie ks. Kłapsia, a potem ks. Otto mieszkał; był z drzewa z tak zwanymi pruskiemi murami, upadkowi już bardzo podległy. Wiatr wiał okropnie przez te pruskie mury, chociaż je co rok poprawiano i dziury zatykano, które alumniści przed odjazdem na wakacje naumyślnie powiększali. Zastrajano się też często do postawienia nowego budynku, ale nie mogło jakoś przyjść do tego. Liczba alumnistów wynosiła 35, a niekiedy 40, płacili każdy z nich pierwotnie po 25 złr., a rząd płacił pewne pauszale. Alumniści mieli na śniadanie suchy chleb. Na południe rosół z ziemniakami, sztukę mięsa z ziemniakami i kapustą, i kawałek chleba, od śniadania pozostały. Na podwieczorek chleb suchy, a na kolację ziemniaki i kapustę. W niedzielę zaś pieczeń jako dodatek. Chleb na śniadanie i podwieczorek krajał jeden z alumnistów, stale do tego wyznaczony tak zwany *Vorschneider*. Piątki, zwane *Knapsel* (skrawki) otrzymywali dozorczy, *Aufseher*. Jadło więc było bardzo skromne, ale dobre i smaczne i w dostatecznej ilości,

tak że zawsze zbyło, a kawałków niezjedzonego chleba było czasem kupami. Jedzono na dwóch, czasem na trzech stołach w pokojach, najbliższej kuchni położonych; obiad rozpoczynał się krótką modlitwą, którą oznaczony uczeń zma-wiał. Jeden z uczni był wyznaczony do rozdzielania potraw i krajania mięsa. Każdy alumnista miał swój talerz, nóż i widelec, który sobie kupić musiał, serwetek nie było, tak też i stół nie był obrusem nakrywany, ale przez kucharki po jedzeniu zmywany, aby można na nim książki i papiery rozkładać. Alumnisci mieszkali w sześciu pokojach, a w każdym pokoju był najstarszy student dozorcą (za to miał jako bene knapslik). Wyznaczone godziny do uczenia się — *Lernstunden* — musiały być ściśle przestrzegane, i ci, którzy się chcieli na świeżem powietrzu uczyć, musieli o tem dozorczy donieść. O pewnej godzinie, zwykle o 10-ej, szli wszyscy spać i światło zgaszone zostało. W Alumneum mieszkał jeden z profesorów jako inspektor alumnejski, i było jego obowiązkiem utrzymać porządek między alumnistami i dozorować nad przestrzeganiem odnośnych przepisów. Oprócz wiktury mieli alumnisci w powyższej rocznej cenie 25 zlr. także opał, oświetlenie, bielizny czyszczenie, zaś pościel każdy sobie przynosił. Ojcem alumnejskim był ks. Żlik, który przyjmował alumnistów, starał się o wiktury, i ściągał należące się strawne, wogóle prowadził administrację tego zakładu. Do rady i pomocy dodani mu byli dwaj kolatorowie zborowi, ci jednak nie troszczyli się wiele o ten zakład. Zaprowadzenie nowej gospodarki, wybudowanie nowego gmachu alumnejskiego i zebranie potrzebnych do tego środków, przypada na czas, kiedy nowe prezbiterstwo zboru cieszyńskiego na mocy pat. ces. 1861 r. wybranem zostało.

Do alumneum przyjmowani byli głównie uczniowie zdalsza przychodzący, rolnicy nasi nie garnęli się tam, bo im utrzymanie synków w Cieszynie, jak je opisałem, tańsze było, jak w alumnie.

Króciutko przed rocznemi egzaminami nadsyłał Wałach z Ligotki zazwyczaj wiaderko piwa dla alumnistów, które w dniu egzaminów wieczór nabite i wypite zostało. Ochota i wesołość przy tem piwie była więcej warta, jak same piwo.

OPUSZCZENIE GIMNAZJUM. I tak przebyłem trzy lata w gimnazjum i przewyciężyłem wszystkie trudności w postępach, które stąd pochodziły, że nie byłem przy wstępie do gimnazjum należycie przygotowany. Nie byłem celującym uczniem, ale też nie ostatnim. *Ademinence* i *eminence* przewyższały jedynki — zaś dwójki nigdy nie miałem, porachować mię tedy było można do uczniów średnich. Uczęszczałem także podczas nauk gimnazjalnych do preparandy, gdyż tego rodzice moi sobie życzyli, żebym mógł w danym razie ubiegać się o jaką posadę nauczycielską. Dla gimnazjastów ewangelików wystarczało bowiem, gdy uczniowie trzeciej a mianowicie czwartej klasy uczęszczali przez pół roku dziennie godzinę do kursu preparandy, który się odbywał w katolickiej szkole głównej, aby uzyskać kwalifikację na nauczyciela szkół ludowych. Ja uzyskałem świadectwo dosyć liche na pomocnika dla szkół ludowych.

Jednego razu, kiedy już było ku końcu roku szkolnego, ogłosił ks. Kłapsia, który zastępował jednego z profesorów, w czwartej klasie, że mu D. E. Friedlein z Krakowa pisał, iż potrzebuje do swojego handlu księgarskiego ucznia z odpowiednim wykształceniem gimnazjalnym, i żeby mu takiego nastreczył i dodał, że jeżeliby kto miał ochotę poświęcić się księgarstwu, może się do niego zgłosić. Rozmówiwszy się z rodzicami w tej sprawie, oświadczyłem ks. Kłapsie ochotę być księgarzem, a po napisaniu do Krakowa oświadczył Friedlein, że mię do swojego handlu księgarskiego za ucznia przyjmuje. A tak zakończyłem z końcem roku szkolnego 1842 moje studja gimnazjalne, aby się udać do Krakowa.

KSIEGARSTWO. Ojciec sprawił mi nowy ubiór, do którego należał i szpencer i kaszkiet z prostym daszkiem czyli szyldem, jak to Francuzi noszą, matka wyposażyła mnie bielizną, a oprócz tego otrzymałem 15 czy 20 zhr. samemi cwancygierami, nie na podróż, ale abym nie był w świecie bez grosza. A bardzo dobra sposobność się przytrafiła, aby nie samemu, ale w towarzystwie tę podróż odbyć. Sasiad nasz jechał po sól do Wieliczki, miałem więc furę i towarzystwo. Wóz był wielki, płachtą nakryty, a wewnątrz oprócz siana i owsa dla pary koni, pusty; było więc dosyć miejsca dla mnie i mojego tłumoczka, do którego spako-

wałem całą moją wyprawę. O! pierwszy raz do świata! Jakież to uczucie smutku i żalu, że się dom rodzicielski na dłuższy czas opuszcza, i jakież uczucia różnych nadziei i radości, że się niewidziany świat widzieć będzie, napełniały mię. Matka pożegnała mię w domu, a ojciec odprowadził kawałek, kładąc na serce furmanowi, aby się opiekował mną w podróży. Przenocowawszy w Wadowicach, stanęliśmy na drugi dzień wieczór na Podgórzu. Furman jechał dalej, a ja już tam zostałem. Przenocowałem u stróża hotelowego, który miał budkę swoją w dziedzińcu hotelu narożnego. Na drugi dzień napisałem bilet i przesłałem go Friedleinowi do Krakowa stróżem, za które przeniesienie mu cwancygiera, sumę na owe czasy ogromną, zapłacić musiałem. Nadszedł Friedlein i pytał się, czym nie odebrał listu od niego, w którym mi donosi, żebym nie teraz, ale dopiero koło jesieni do niego przybył. Aleć załatwił sprawę w urzędzie paszportowym na Podgórzu i uzyskał dla mnie po dłuższym czasie przepustkę — *Passierschein* — do Krakowa. Przechodziliśmy przez most pływający i przez Kazimierz. Najprędzej mię żydkowie poznali. Co to je, taki kaszkiet, i taki krótki surdut? I nuż tu do mnie: panie, może pan kupi to a to, naliczając mi kopę przedmiotów różnych, inny zaś: możeby pan surduta potrzebował, i tak szło całą drogę, aż znów do drugiego mostu na Stradomiu. Miałem biedę obronić się żydom, bo już zaczęli mię ciągnąć do swoich sklepów, a ja, niosąc pod pachą mój tłómaczek, miałem tylko jedną rękę do obrony. Za Stradomiem zбочyliśmy na plantację, chociaż nam miastem było może bliżej do pomieszkania, uczułem jakoś, że mojemu przyszłemu szefowi było coś nie *recht*, szedł całą drogę przede mną, nic nie mówiąc, ja zaś za nim z tłómaczem podążałem, oglądając się w prawo i w lewo, bo wszystko co widziałem, ciekawiło mię bardzo.

Pomieszkanie i drukarnia D. E. Friedleina były naprzeciwko kościoła Dominikanów, i ja złożyłem moje rzeczy w drukarni. Po obiedzie, który zjadłem z drukarzami w restauracji na Placu Franciszkańskim, zawołał mię pan do siebie i wypytywał się o moje stosunki familijne i majątkowe, a wszystkie moje odpowiedzi sobie notował. A gdy już był na końcu, zapytał się jeszcze, czy przywiozłem jakie

pieniądze. Wypowiadałem się z ostatniego grosza, zaczem mi Friedlein powiedział, że ja żadnych pieniędzy przy sobie mieć nie mogę, że ich też nie potrzebuję, bo wszystko, co mi będzie potrzebne, od niego dostanę. Objaśniał mi też szeroko i głęboko, jak się mam zachowywać, że nigdzie nie śmiem wychodzić, że z nikim, nawet z drukarzami, między którymi przecie byłem i mieszkałem, nie mam utrzymywać koleżeństwa, ani jakichkolwiek styczności itp. itp., a potem kazał mi coś podpisać, czego nie czytałem; sądzę, że to był regulamin, który mi właśnie wykladał. Kazał mi potem iść po pieniądze, przyniosłem je i oddałem mu około 50—60 cwancygierów, tak że pozostałem bez grosza.

Gdy wróciłem do pomieszkania mego czyli do drukarni, pytali się drukarze ciekawi, co tam pan tak długo ze mną gadał. A gdy im opowiedziałem, że wszystkie pieniądze panu oddałem, krzyknęli wszyscy chórem — a głupisz, a głupisz. Wieczór rozporządził pan Friedlein, że będę spał w drukarni z drukarzami, ale nie było tam miejsca, nie dano też żadnej pościeli. Jeden z drukarzy wyciągnął szufladę z pod łóżka, z jakimś barłogiem, i mówił, że tu mogę spać. W nocy zaczęły mnie pchły niemiłosiernie gryźć, tak że musiałem z szufladą uciec, i nie śpiąc już oszywać i ogarniać się przed pchłami. Na drugi dzień poszedłem do księgarni. Personal tejsze stanowił D. E. Friedlein, jeden buchalter i jeden terminator. Pierwsze dni układałem i porządkowałem makulaturę, związywałem kawałki szpagatu i zwijałem na kłębek, brakowało mi tylko jeszcze, abym był zamiatał i lampy czyścił. Tę ostatnią czynność załatwiał terminator Krawczyński już trzy lata, a ponieważ za rok miało być jego wyzwolenie, sądził, że teraz na mnie spadnie ten obowiązek, ale pan tego nie zadysponował, a on dalej lampy czyścił. Niezadługo jednak używał mię pan już do rozmaitych pisanin, a mianowicie do spisowywania kartkowego katalogu wypożyczalni książek francuskich — co dosyć długo trwało. Wogóle chciał pan ze mnie coś zrobić; a tak dał mi książkę zawierającą spis wszystkich księgarzy, według miast ułożoną, i kazał nauczyć się napamięć nazwisk tych księgarzy. Uczenie się pilnie tych nazwisk tak mię obalamuciło, że od tego czasu żadnego nazwiska spamiętać sobie nie mogę. Kazał mię także uczyć po polsku; przez krótki

czas nauczyciel, student, męczył mię gramatyką, i nie miałem stąd żadnej korzyści, bo mając pojęcie o gramatykach różnych języków z gimnazjum, byłbym się może więcej nauczył bez nauczyciela, jak z nim. Gdy nadeszła jesień, sprawił mi pan surdut. Wiem, że kilku krawców miarę brało, i że pan długo zastanawiał się nad pierwszym moim surdudem. Było to arcydzieło sztuki krawieckiej, surdut bowiem sięgał mi aż po pięty, rękawy za długie trzeba było trzeba zaginać, sukno jak góralska gunia (wyrachowanie na trwałość) i pobite jeszcze grubszą materją, a w takim surducie wyglądałem jak niedźwiedź, tak mnie się przynajmniej wydawało, i było mi w nim wszędzie, przy każdej robocie i nawet przy pisaniu za ciężko i niezgrabnie.

Drukarnia Friedleina miała szczupłe rozmiary. Zece-rów było dwóch, i jeden preser, który miał do dyspozycji jedną ręczną prasę drukową. Dwóch drukarzy i mój kolega z księgarni sypialiśmy wszyscy w drukarni na prawdziwych barłogach, o które się nikt nie starał, nikt ich nie czyścił i nikt nie ścielił. Ponieważ pan sądził, że się między taką hołotą zepsuję, postanowił moje przenosiny do biblioteki, która na końcu jego pomieszkania w jednym pokoju się znajdowała. Tam przecie miałem łóżko wygodniejsze; ale byłem sam.

W niedzielę było nieco więcej czasu wolnego, tak że człowiek mógł iść do kościoła. Friedlein był także ewangelikiem, ale do kościoła rzadko uczęszczał. Ks. Otremba, proboszcz krakowskiego zboru ewangelickiego, miewał przed południem kazania niemieckie, a co drugą niedzielę po południu kazania polskie, na które po największej części sługi uczęszczały. Nie był to kaznodzieja pierwszorzędny, jakiegoby trzeba było na tak ważnem stanowisku, jako jest Kraków, i nudził okropnie, jeżeli już nie innem, to wieczną monotonnością głosu. Drugim kaznodzieją był misjonarz Hof, który, jakby stale w Krakowie był zamieszkały, ten tylko po niemiecku kazał, i on nie należał do świetnych mowców. Jaka to ogromna różnica między krakowskimi a cieszyńskimi kaznodziejami Żlikiem i Kłapsią; często myślałem, takichby tu trzeba, toby trochę lud rozruszali. Podczas ostatniej pieśni przed kazaniem chodził kościelny z mieszkim, wysoki, chudy, jak głodny rok.

Mój pan jeździł prawie każde popołudnie do Swoszowskich siarkowych kąpieli, bo był zarażony na rękę, i wracał na drugi dzień rano. Niekiedy w niedzielę pojechała także żona jego z Józiem, a ja też jechać musiałem, bo któżby się był bawił z malutkim Józiem, który dziś jest wiceprezydentem miasta Krakowa.

Nasza księgarnia była dosyć odwiedzana, bardzo dużo ludzi brało książki na rachunek, a niektórzy miał bardzo długie rejestry w księdze, za kilka nawet lat. Często mi byli w księgarni ks. Pres. Schindler, Prof. Józef Muczowski, Józef Majer i jego brat, ks. Jakubowski, jak sobie dziś jeszcze dokładnie przypominam, bo często jeden lub drugi przyszedł przed samem zamknięciem sklepu i siedział i klamał, dlatego mieliśmy na nich wielką złość, bo nie można było sklepu zamknąć. Więcej gości było, gdy przybył nowy transport książek. Książki przychodziły w pakach wielkich, tekturą opatrzonych. Taką pakę w praktykowały się pod długi stół i czekano, aż przyszedł cenzor Majeranowski. Wtedy rozpakowaliśmy pakę pod stołem i wyjmowali książki i dawali przed cenzora. Cenzor zaś oglądał, czasem przeglądał i kładł książki, które były zakazane lub stały tylko w podejrzeniu, na bok; te potem zabierał do siebie do bliższego przejrzenia. Ale myśmy także pod stołem cenzurę odbywali; które książki się nam zdawały zakazane, a wiedzieć to można było mniej więcej z faktur, lub które opatrzone były na obwójce jakim znakiem, teśmy zamieszali między makulaturę i te nie przyszyły na stół przed cenzora.

Kraków było miasto wolne i niepodległe, rządziło się samo wraz okręgiem. Zajmowało mię wszystko, com tam widział; mianowicie lubiłem chodzić na zamek. Było też w ten czas bardzo tanio, za grosz polski można było kupić kamionkę piwa (pośledniejszego), zaś za 3 grosze polskie kamionkę doborowego już piwa. Babki za 6 gr. mogło się kilku najeść. Stosunkowo było wszystko tanio, a czasy dopiero się przemieniły w roku 1846, gdy Kraków z okręgiem wcielono do Austrii. Pomimo takiej taniości nacierpiałem się dużo, bardzo dużo głodu — a w kieszeni nie było ani centa na bułkę.

W miesiącu marcu 1843 otrzymałem z domu wiadomość, że mój ojciec 28 lutego 1843 umarł; tak się nad tą stratą zafrasowałem, iż się zdawało, że już w życiu nigdy nie będę wesóły, że się nigdy już nie roześmieję. Ponieważ matka do tego listu dołączyła dla mnie 5 reń., dlatego list na poczcie był 5 pieczęciami opatrzony. Nieszczęściem wpadł list ten w ręce mego pana, który go od listonosza odebrał. Gdy mię pan widział płaczącego, pytał się mnie o przyczynę i powiedziałem mu, że mi ojciec umarł. Było mi nieprzyjemnie, że list ten widział, ale ponieważ nic dalej przez kilka dni nie mówił, sądziłem, że już o liście zapomniał. Aleć za kilka dni woła mię do siebie i pyta się, dlaczego list był opatrzony 5 pieczęciami. Przyznałem się, że w liście było 5 reń., które mi matka na niezbędne potrzeby przysłała. „Czy nie wiesz, że nie śmiesz mieć żadnych pieniędzy przy sobie, idź i przynieś zaraz te 5 reń.“, odezwał się. Poszedłem, a drukarczycy ciekawi, skoro wrócić, pytali się, co pan chciał po mnie; a gdy im rzecz opowiedziałem, rzekli: jużes raz był głupi, żeś dał z początku pieniądze twoje panu, drugi raz tego głupstwa nie zrobisz. I postanowiłem nie dać i do pana nie chodzić. Ale „*und der König winkt wieder*“ — pan posyła po mnie, i postanowiono nareszcie, abym poszedł, ale pieniędzy nie dawał. Pan zapytał mię: „przyniosłeś?“ — nie, a czemu, bo ja pieniędzy nie dam, gdyż ja sam potrzebuję. — Nie dasz? Nie dam — a pan machnął swą reumatyczną ręką i dodał: możesz sobie iść, ja cię już nie potrzebuję. — I cóż było robić? co tu teraz począć? Naturalnie dom rodzicielski pozostaje we wszystkich życia okolicznościach pierwszym i ostatecznym przytuliskiem. Postanowiłem tedy udać się do domu, a stamtąd wyszukiwać jakiej posady lub zatrudnienia. Uporządkowawszy swoje rzeczy, wstąpiłem do apteki pod wieczór, aby ową piątkę, która jeszcze była cała, na drobne zmienić. Aptekarz Redik na Stradomiu oglądał piątkę i poszedł nareszcie do drugiego pokoju, a ja czekam i czekam i nie mogłem doczekać się drobnych pieniędzy, aż tu nareszcie wchodzi do apteki policjant i zabiera mię z sobą, i prowadzi mię na odwach na ulicy Kanoniczej, i tam mię osadził między żołnierzami, z dodatkiem, abym się stamtąd nie ruszył. Nie mogłem sobie wytłumaczyć, co się stało,

co tu zaszło i jaka przyczyna mojego aresztowania. Protokoły, które ze mnie ciągniono, wyjaśniły mi tę rzecz. Mnie-mano, że ów papierek pięcioreńskiowy jest fałszywy, a ponieważ w on czas kursowało dużo papierów podrobionych, tedy chciano kogo koniecznie złapać i posądzić o tę zbrodnię. Dziesięć dni ciągnono ze mnie protokoły, odbyto także u Friedleina, w tej stancji, gdzie mieszkałem rewizję, wszystko na próżno. Na odwachu przy ulicy Kanoniczej odmieniali się często inkwizyci, ja już należałem do najstarszych. Otrzymywaliśmy jedzenie, garniec już to grochu, ziemniaków, kaszy, kapusty itd., każdy dzień coś innego w południe, i chleb, a to wystarczało na 24 godzin. Jużby tam i na taki wikt był się człowiek zgodził, ale garce nie były nigdy czyszczone i było czasem do połowy garca starych potraw, zepsutych, spleśniałych, kto wie, od wielu tygodni nazbieranych. To było najobrzydliwsze. Wypuszczono mię nareszcie jako niewinnego po 10 dniach, 29-go marca 1843. Piątka byłaby mi się bardzo na podróż do domu przydała, bo byłem zresztą bez grosza, ale mi ją dopiero kiedyś za pół roku przez urząd kameralny w Cieszynie zwrócono, że przez odnośny urząd w Wiedniu za prawdziwą uznaną została. — Byłem więc w wielkim ambarasie, ale do Friedleina nie byłbym się nigdy udał po moje cwancygiery, które mi nieprawnie, nie mówię już: zabrał, ale zatrzymał. Z tej biedy wyratował mię drukarz Franciszek Dziewoński, pożyczając mi 4—5 złr., tak, że mogłem piechotą do domu się wybrać, niosąc na grzbiecie jak wędrowny towarzysz swoje manatki.

GOSPODARKA ROLNICZA. Matka przyjęła mię z płaczem, i ja się rozplakałem, bo nie zastałem już ojca przy życiu. Moje położenie było pożałowania godne, bez pracy, bez chleba. Bawiłem 20 dni w domu, szukając na wszystkie strony jakiegokolwiek zatrudnienia; ani jako pomocnik nauczycielski nie znalazłem umieszczenia, choć miałem do tego kwalifikacje. Nareszcie zostałem angażowany do gospodarki, jako tak zwany pisarz, u Ferdynanda Nowaka w Dolnych Kaczycach. Dobra te mają obszar z lasem niespełna 200 morgów, i kupione zostały za około 30.000 Złr. Dawniej, tj. przed rokiem 1848, dobra tabularne wolno było nabywać tylko szlachcie i obywatelom miasta

Cieszyna, posiadającym własne domy czyli kamienice. Szlachta wymierała, a obywatele cieszyńscy albo nie mieli pieniędzy, albo też nie rozumieli gospodarować, tak iż kupujących dobra tabularne zmniejszała się liczba. Za to było dużo dorobkiewiczów ze stanu chłopskiego, którzy się znali na gospodarce wiejskiej, bo przy niej wyrosli, i mieli także grosiwo. Jak sobie taki dorobkiewicz upatrzył jakie dobra i dobił targu, tedy zaraz leciał do Cieszyna dom kupować, kupiwszy podał kontrakt kupna do intabulacji, a nazajutrz wylegitymowawszy się jako obywatel miasta Cieszyna podał kontrakt kupna na dobra do tabuli (Landrechtu). Jeżeli kupował dorobkiewicz od dorobkiewicza, tedy kupił od niego dziś dom, jutro dobra, bo sprzedawszy dobra już mu dom był do niczego.

Na tak obszernych dobrach jak Dolne Kaczyce (!) byłem pierwszym i ostatnim urzędnikiem — pisarzem, która to godność przed moją instalacją w osobie właściciela (*Miłość Pana*) była złączoną.

Najprzód powierzył mi pan inspekcję nad dwoma kobietami, krajającymi ziemniaki na sadzenie (tak zwane sadzole, sadzoki) za stodołą. Odszukawszy obiekt mojej inspekcji, stałem przy kobietach dłuższy czas, bo cóż miałem robić? przecież starych kobiet nie będę uczył, jak mają ziemniaki do sadzenia przygotować. A gdy mi się przy tem staniu okropnie nudno zrobiło, poszedłem do pola. Na drugi dzień miałem inspekcję też i nad dwoma chłopami, którzy w stodole snopki (daszki) robili. Piękne zatrudnienie! I tu mi się przypomniał Kraków, układanie makulatury i wiązanie sznurków i zwijanie w kłębek i pomyślałem sobie: synku! synku! co też to z ciebie będzie! jużbym się raczej tej greczyzny uczył, a nie zabijał czasu takimi zatrudnieniami. Później atoli czynności się zwiększyły przy robotach polnych ciągłych i pieszych i prowadzeniu rozmaitych rejestrów gospodarskich. Codziennie zapisywałem robotników do rejestru ręcznego, a w niedzielę odbywało się wrąbienie, wrąb, wrąb. Wszyscy robotnicy schodzili się do dworu w niedzielę po południu, każdy z swoim wrąbem. Najprzód wrębili konni, a potem piesi. Konstanowano przedewszystkiem ilości dni odbytej pańszczyzny, a gdy się zapis z zeznaniem pańszczarza zgadzał, polecił

pisarz wrąb skutecznie, co się tak działo: iż wrąb, który pańszczarz z sobą przyniósł, złożył się z wrębem, będącym w zachowaniu we dworze, a potem na obydwóch częściach patyka (wrębu) gazda dworski piłką wcięcie zrobił. Ile wcięć, tyle dni, pół-dnie zaś z boku na krawędzi piłką wycinano. Wręby (patyki dworskie) były sznurem związane i na każdym numer osiadłości napisany. Gdy ludzie bardzo prosili, a miłość pan raczyli mieć szóstek w kapsie, to zamiast wrębu odbywała się wypłata. Wtedy płacono za pieszy dzień 6 kr. m. k., a za konny dzień nieco nad 1 Złr. Rano zwoływał gazda ludzi do roboty na 7 godzinę, wołając na całe gardło: poj (pójdź) kopać... albo orać itd. poj; głos jego i na pół mili było słyszeć. Oprócz tych zatrudnień musiałem wydawać dla koni obrok i siano, dozorować nad czyszczeniem koni, bywać przy dojeniu itp. A pan widać był dosyć kontent ze mnie, bo zaczął nawet w sąsiedztwo i zagranicę do Prus wyjeżdżać. Raz też chciał popisać się czwórką i jakoś tam przedprzęgnęli parę roboczych koni przed konie kolasowe i nuż czwórką na Prusy, aleć jakoś to nie szło, bo konie robocze nie mogły biegać, tak że je ciągle dyszel szturchał; nie dojechawszy nawet do Frysztata, tj. pół mili, musiano drugą parę wyprzągnąć i do domu odesłać. I tak się skończyła podróż czwórką miłość pana z Dolnych Kaczyc.

Rocznej płacy pobierałem 20 Złr. m. k., równa się 21 Złr. w. a., a wypada na dzień niespełna 6 c.

W pobliżu Dolnych Kaczyc położone są dobra Górno-Kaczyckie, mające obszaru przeszło 400 morgów. Te należały Janowi Kukuczowi, teściowi Nowaka. Ten Jan Kukucz był także dorobkiewiczem ze stanu chłopskiego i śmięgał biczem po koniach, furmaniac, tj. przeważając towary z Tryestu do Lwowa i Czerniowiec, jak to bardzo dużo naszych rolników czyniło i zarobiwszy znaczny kapitalik, kupił sobie najprzód wioskę Radwanice, a później Górne Kaczyce. Tak jak większa część dorobkiewiczów zapłacił on małą część ceny kupna za dobra, bo nie starczyło na więcej, a resztę chciał zebrać z wycięcia i sprzedaży lasów i gospodarki. Jeżeli te źródła nie dopisały, tedy tracił wszystko. Ale dorobkiewiczze byli ludzie przemyślni, i rzadko który się utopił. Otóż ten Jan Kukucz, który się już Jo-

hann Kukutsch pisał, zrobił umowę z Nowakiem, mocą której przeszedłem na taką samą posesję do Górnych Kaczcyc, bo Kukuczowi się spodobałem i mówił, że mię bardzo dobrze potrzebować będzie. W Górnych Kaczcycach miałem dwa razy tyle zatrudnienia co dawniej, była większa obora i stajnia, stodoły i śpichlerz, więcej robotników na polu. Wieczór zaś siadałem do pióra i przepisywałem kurendy, które w owych czasach *Kreisamt* cieszyński rozsyłał do wszystkich dominiów. Wtedy nie było jeszcze maszyn do odbijania pisma, ani tyle poczt co dziś. Takie kurendy przesyłało jedno dominium drugiemu, a każde wpisywało kurendę do książki kurendowej, poświadczwszy na kurendzie dzień odebrania i odesłania. Często też i w dzień musiałem pisać protokoły cywilne i karne, na których się podpisywałem „*Polizei-Aktum*“. Naturalnie, że było wszystko po niemiecku.

Na czele kancelarji był tak zwany *Verwalter*; jego obowiązkiem było pod odpowiedzialnością właściciela dóbr załatwiać sprawy polityczne, i wykonywać wszelkie zlecenia *Kreisamtu*, osądzać przestępstwa policyjne i karać je, prowadzić księgę gruntową itp. drobniejsze rzeczy. Oprócz tego ile mu czasu stało, mieć nadzór nad gospodarstwem. Kukucz miał liczną familję, a w domu szczególnie dwie córki, dla których trzymał *hofmeistra*. Hofmeisterem był Gotthold Schmidt, obecnie lekarz gdzieś w Górnej Austrii, którego jeszcze ze szkół cieszyńskich znałem, był bowiem dwa lata przede mną, a ukończywszy kurs filozoficzny puścił się na guwernerkę. *Verwalter* (zwał się Adametz, z pod gór, zdaje mi się z Gnójnika) i *Hofmeister* bardzo się nienawidzili, zdaje się z powodu miłostek, a nawet raz się pobili. Ja zaś z Hofmeisterem byłem w najlepszym porozumieniu: naprowadzał on mię na drogę postępu i nauki, jego rozmowy były dla mnie pouczające, czytałem też z tego powodu i zachęcenia barzo dużo, ofiarując do tego nocy. *Verwaltera* zaś zwał głupcem, osłem, a najczęściej nazywaliśmy go: *bos*. Zdaje się, że to uczuwał, bo nie mógł się do mnie rozegrać a ja bardzo byłem na zimno z nim. Nie wiem, czy z własnego popędu, czy też za namową Schmida, zaprowadziłem u siebie Dziennik (*Tagebuch*), w który dla ćwiczenia się w stylu i oddawaniu myśli opisywałem zwy-

kle co dzień późno w noc — była to ostatnia dzienna praca — moje spostrzeżenia, zapatrywania się i myśli. Naturalnie, że przedmioty nie zdaleka, ale zbliska brałem do opisu. Schmidt wiedział o tem, bo nawet razu jednego zrobił dłuższy wpis do mojego dziennika na pamiątkę. Verwalter zaś nie mógł się wydziwić, co ja tak dużo siedzę w noc przy pisaniu, a regularnie co dzień, i miał podejrzenie, że ja tam opisuję jego samego i familję Kukuczową.

W drugie święto Bożego Narodzenia byłem w kościele w Cieszynie, a gdy wieczór jak zwykle chciałem wyciągnąć Dziennik ze szuflady mojego stołu, spostrzegłem, że szuflada gwałtem otwartą została, i że mój Dziennik, dwa spore zapisane tomy, znikł. Byłem jakby oparzony i wiedziałem zaraz, że nikt inny tylko Verwalter był sprawcą tego haniebnego czynu.

I było cicho, jak przed burzą! Ja nie mówiłem nic, tak jako gdybym nie był spostrzegł kradzieży, a Verwalter też do mnie nic nie mówił. I burza przyszła. Za parę dni zawołał mię Kukucz do siebie, i zrobił mi najostrzejsze kazanie, w swój chłopski sposób, na które mu atoli nic nie odpowiedziałem, i dodał nareszcie, że jutro jako ostatniego grudnia opuścić muszę Kaczyce, a jeżelibym jeszcze co na niego lub członków jego familji kiedyś napisał, to że do kryminału przyjdę! Widać stąd, że Verwalter znalazł w moim Dzienniku zwierciadło dla siebie, bo go tam nie szanowałem bardzo, a że tam i o Kukuczach była często wzmianka, bo o czemże tu było pisać! Dziennika nie dostałem napowrót, pomimo iż go się energicznie domagałem.

W ostatnim dniu grudnia 1844 spakowałem moje manatki do kuferka i poszedłem do znajomego mi człowieka w Kaczycach, który mię chętnie przenocował.

Dodać tu jeszcze muszę, że tu prawie więcej miałem głodu, jak w Krakowie. Dziwnie, nie byłem tęgim mężczyzną i zawsze szczupły, a miałem przecie tyle głodu. To w Kaczycach pochodziło ztąd, że przy stole musiałem być lokajem, to jest roznaszać rosół i wszystkie potrawy, zbierać próżne, tj. brudne talerze i rozkładać czyste — a oprócz tego wszystkiego miałem jeszcze znaleźć czas, aby przy stole jeść. Jest to niepodobieństwem, bo przy licznym zastępstwie osób, gdy ostatni dopiero bierze, to już pierwszy

zjadł potrawę, trzeba drugi raz obnosić i zaraz talerze zbierać i czyste rozłożyć, i tak aż do końca. Jeżeli czasem w kuchni czegoś nie zjadłem, to byłem całkiem bez obiadu. Aby nie umrzeć głodem, przyniósł mi poseł, który co dzień do miasta Frysztatu chodził, bochenek chleba, a idąc w pole ku robotnikom brałem sobie z sypania grochu do kieszeni. Moje roczne salarium wynosiło tyle, co u Nowaka, chociaż tu miałem w dwójnasób do czynienia; miałem wyznaczone rocznie 20 r. m. k. czyli 21 złr. wa. Moją należność wypłacił mi Kukucz, gdy odchodziłem. Nie tak zaś rzecz się miała z Nowakiem. Odchodząc od niego nic mi nie dał, ani nie wspomniał, że mi się coś należy. Byłem tedy zmuszony pisać do niego, żeby mi za 7 miesięcy służbę zapłacił. Na to odpisał mi Nowak list niebardzo grzeczny, że mi dał nowe boty, które mu były za ciasne, a że resztę 1 reń. i parę centów mi jako dorównanie przesyła, a żebym się nie opowazył upominać go jeszcze o co więcej. A to był tak zwany „Miłość pon“ i właściciel dóbr Dolno-Kaczyckich. Podobnych panów nazywają Niemcy do dziś dnia *Krippenreiter*.

PISARSTWO U DR. DEMLA. Rok 1845 źle się dla mnie zaczął; byłem bez pracy i bez chleba, bez pomieszkania i bez odpowiedniego zimowego ubioru, a był to styczeń, dużo śniegu i silny mróz. Kieszeń też była prawie pusta, bo 20 reń. rocznego płatu, cóż by też człowiek mógł z tego zaoszczędzić? Na boty ledwie wystarczyło. W takich ciężkich okolicznościach udałem się do Cieszyna, bo przybyciem do domu w takim położeniu byłbym matkę bardzo zasmucił. Szukałem wszędzie i po wszystkich kancelarjach jakiego zatrudnienia, aż nareszcie po kilku dniach przyjął mię Dr. Demel, ojciec obecnego burmistrza w Cieszynie, do swojej kancelarji jako kopistę, czyli pisarza lub diurnistę, ale dodał zaraz, że to może nie bardzo długo potrwa i oświadczył, że mi da miesięcznie pięć reń. i że muszę pracować od 8 do 12, a od 2 do 6 godziny, razem tedy 8 godzin dziennie. Według tego przypadała zapłata dziennie po 10 kr. m. a., co czyni na godzinę 1 cent m. k. i mały ułamek. Byłem kontent, żem przynajmniej takie zatrudnienie znalazł, ale jakże z pomieszkaniem, wiktem, praniem itd., czy te 5 reń. wystarczą na pokrycie tych wy-

datków? i zdawało mi się wobec tego, że w Kaczycach właściwie byłem lepiej płacony, mając 20 reń. rocznie, z czego wypada na miesiąc 1 r. 40 m. k., ale oraz pomieszkanie i cały wikt. Aleć według stawu grobel, trzeba się było zastosować do okoliczności. Starszy pisarz u Dr. Demla imieniem Niemetz oświadczył, że mię przyjmie do siebie na stancję i wikt za 3 reń. miesięcznie, tak że za to wszystko dziennie 6 kr. m. k. wypadało. Naturalnie, że tę propozycję bardzo chętnie przyjąłem. Izdebka, w której Niemetz z żoną i trojga do szkoły chodzących dzieci mieszkał, była bardzo małą, na dole w bliskości katolickiego gimnazjum położoną, a w niej udzielał jeszcze Niemetz lekcyj na skrzypcach. Prawda, że kawa na śniadanie, to nie wiedzieć, co to właściwie było, człowiek też nie dojadł, ale też głodu nie cierpiał.

Byłem więc pisarzem i pisałem dużo i bardzo pilnie. Były to sprawy sporne, akta bardzo obszerne z alegatami rachunkowemi i innemi. Dr. Demel często przychodził i kontrolował moją pracę. Ale niestety nie trwało to długo. Przy schyłku piątego miesiąca mojego pobytu w kancelarii oświadczył mi Dr. Demel, że praca się wyczerpała, a z końcem miesiąca mam z jego kancelarii wystąpić. Niemaló mię to zafrasowało, bo sądziłem, że mój chlebodawca, widząc moją pilność i jak najlepsze sprawowanie się, potrzyma mię nadal w swojej kancelarii, tem więcej, gdyż w kancelarii było dosyć zatrudnienia. Ale Dr. Demel był bardzo łechciwy na pieniądze i chciał tych parę reńskich zaoszczędzić. Zmysł jego oszczędności był bardzo rozszerzony. Już co do swojej osoby prawie nic nie potrzebował. W kancelarii nie znalazłem ani jednego zapasowego pióra, ani świstka białego papieru, ani koperty. Jeżeli potrzebował kto pióra, to musiał iść do niego z prośbą o wydanie, przyczem zwykle mawiał: *schon wieder Federn, ich habe ja Ihnen erst vor zwei Monaten eine gegeben.* Tak samo ze wszystkiem innym. Koperty nowej nikt w kancelarii nie widział. Stare koperty składały się na stosek, a gdy było potrzeba gdzie pocztą jakie sądowe pismo przesłać, to Niemetz wybrał ze starych potrzebowanych już kopert odpowiednią, odrapał lak, przewrócił na ręby i przystrzygnął tak, aby była odpowiednia, a potem nie lakiem,

którego nie było, ale opłatkiem zapieczętował. Sznurka, czyli szpagatu nie było i akta wiązano kawałkami. Najbardziej mię bolało, że gdy zażądałem od niego świadectwa, że byłem w jego kancelarji zatrudniony przez 5 miesięcy, on mi kazał kupić sobie stempel na $\frac{1}{2}$ reń. — 30 kr. m. k. Był to dla mnie wielki wydatek, który mi zjadł pracę trzydniową, bo mając dziennie 10 kr. trzeba było trzy całe dni robić, aby mieć 30 centów. A przecież według słuszności należy się temu dać stempel, kto obowiązany jest świadectwo wystawić. Była to brudota, do najwyższego stopnia posunięta. Przez tych całych 5 miesięcy opuściłem tylko pół dnia, aby zanieść pilne podanie do sądu frydeckiego i zarobić sobie to, co poseł zwykły pobierał, to jest 30 c. m. k. Wyszedłszy przed wschodem słońca powróciłem o 2 po południu i uczyniłem w tym czasie 6 mil zgórą, ale też potem parę dni nóg nie czułem.

I byłem trzeci raz bez pracy i bez chleba! Czy z mojej winy? Wszędzie się dobrze sprawowałem, byłem pilny, pracowity, szczerzy i wierny, wstrzymywałem się od wszelkich wykroczeń, do których wszędzie a mianowicie przy gospodarstwie wiele było nagabywań. Te okoliczności, żem w Krakowie moich parę reńskich nie chciał panu wydać i żem w Kaczycach omalował Kukuczka i jego familję — o czem jednak nikt nie wiedział — nie były przecie tego rodzaju, aby mię nagle bez wszelkiego wypowiedzenia za drzwi wyrzucić i wystawić mię na oczywistą zgubę, której tylko cudem szczęśliwie uszedłem. Trzeba nie mieć chyba sumienia, aby sobie z człowiekiem podobnie postępować.

Abbazia w lutym 1893 r.*

PISARSTWO U DR. KLUCKIEGO. I cóż miałem w takim oplakaniu godnem położeniu czynić? Na chleb trzeba było zarobić — a pracy nie było. Wszędzie, gdzie zapukałem, odmówiono mi. Wprawdzie namawiał mię nieznajomy mi pisarz podróżujący czyli próżniak, abym poszedł z nim

* Jestem schorzały, a w takim stanie trudno się trzymać pióra, dlatego też opiszę tylko fakta, które mi głębiej w pamięci utkwiły, gdyż nawet nie mam pod ręką żadnych dat lub materiałów do tego opisu.

na wander, przedewszystkiem do Węgier szukać jakiej pisarskiej posady i pokazywał mi stos próśb i petycyj do *hohe und höchste Herrschaften* o pracę a drugo- a właściwie pierwszorzędnie o jaki datek; ale o tem ani słyszeć nie chciałem. W pierwszych dniach moich niepożądanych wakacyj przepisywałem różne artykuły niejakiemu Dangelmajerowi, który je zasyłał do „Erinnerungen“, pisma beletrystycznego, drukowanego zdaje mi się w Ołomuńcu, ale ten źle płacił, a nareszcie nic nie płacił, tak, że takie wątpliwe źródło dochodów musiałem porzucić! Nareszcie otrzymałem pracę w kancelarji adwokata Dra Ludwika Kluckiego w Cieszynie, składającą się z przepisywania alegatów procesowych polskich. W tym czasie było adwokatów mniej jak teraz. Z wyjątkiem Ołomuńca, Opawy, Cieszyna i Tarnowa, nie było w innych miejscowościach żadnych adwokatów, a w Cieszynie np. było tylko dwóch, gdy obecnie jest ich szesnastu. Prowadzono tedy w Cieszynie dużo procesów, pochodzących z zachodniej Galicji, a załączniki do tych procesów były polskie. Takie załączniki składały się z rachunków, mających wielką objętość. Otóż, ponieważ w kancelaryi Dra Kluckiego nikt nie potrafił przeczytać, a tem mniej przepisać takich rachunków i innych polskich dokumentów, a ponieważ wogóle o człowieka było bardzo trudno, któryby temu był zdolny poddać — tedy było w kancelarji ogólne zadowolenie, że się ktoś znalazł do tej pracy. Gdy byłem gotów i pracę oddałem, ucieszył się sam Dr. Klucki nad moją pracą i zaangażował mię za pisarza do swojej kancelarji za miesięcznem wynagrodzeniem 8 złr. m. k. I byłem bardzo szczęśliwy, że znalazł kawałek chleba i że nie byłem obarczony tak bardzo pracą, jak dotąd. Jeżeli było dużo pracy, tośmy wszyscy pilnie pracowali, było zaś mniej pracy, to każdy próżnował według swego upodobania.

BIBLIOTEKA DRA KLUCKIEGO. Ja tu znalazłem dużo czasu do czytania i każdą wolną chwilkę do tego używałem. Czytałem różne książki niemieckie i polskie, których mi biblioteka Dra Kluckiego w potrzebnej ilości dostarczała. Czytanie polskich książek bardzo mię zajmowało, bo dotąd nie miałem sposobności takowych czytać. Biblioteka Dra Kluckiego zawierała w sobie znaczną liczbę

polskich książek, także i niemieckich, traktujących sprawy słowiańskie, a oprócz tego książek czeskich i innych nierzeczy słowiańskich, a księżnica jego zawsze się nowemi rzeczami uzupełniała. Chociaż się mieściła w jednej szafie, była przecież dosyć liczną a w całym Śląsku żadna inna jej nie wyrównała, bo też nie było żadnej innej. Nie znalazłbyś ani w mieście ani na wsi polskiej książki, oprócz nabożnych książek na wsi — u chłopca. To też znalazłem w tej bibliotece nowy skarb dla siebie, z którego wielce korzystałem. Dr. Klucki trzymał także gazetę urzędową lwowską z beletrystycznym dodatkiem i często widziałem, jak się ludzie w mieście dziwili i pytali, dlaczego Dr. Klucki tak niepotrzebną i drogą gazetę trzyma. Zdaje mi się, że też nie było wtenczas (1845) żadnej innej polskiej gazety na całą Galicję.

MOJE NAWRÓCENIE. Dr. Klucki nie najlepiej mówił i pisał po polsku, ale był rozmiłowany w języku polskim. Jeżeli wiedział, iż ten lub ów rozumie po polsku, to zaraz z nim po polsku mówił i wykpiwał tych, co się po polsku mówić wstydzą. Zachęcał każdego do używania swojego języka i w domu i w życiu publicznem i skarżył się, że naszym polskim językiem w kancelaryjach poniewierają. Mianowicie umiał dociąć tym, którzy wyszli z wiejskiej chaty i dorobili się chleba lub posady a wstydzi się przemówić po polsku. Docinał także mieszczanom i urzędnikom i często staczał z nimi walkę o język polski. Był to człowiek niepospolitych zdolności, bystrego rozumu, gładkiej i płynnej wymowy, człowieka z gruntowną nauką i dobrem wychowaniem, niezłomną wolą i prawym charakterem i to wszystko jednało mu szacunek i poważanie w towarzystwie ludzkim i wziętość jako adwokat między klientelą. Był on znany i lubiony nie tylko na Śląsku, ale i poza granicami jego. Jego rozmowy z personelem kancelaryjnym, z klientami i osobami znaczniejszymi, częściej go odwiedzającymi, miały na mnie wielki wpływ i bardzo wiele z nich korzystałem. To też powstała we mnie myśl dalszego prowadzenia i pisania mojego dziennika, który z odejściem mojem z Kaczyc przerwany został, robienia sobie wyciągów z czytanych książek, wogóle myśl kształcenia się, mianowicie w języku polskim. Dotąd pisałem

mój dziennik wyłącznie w języku niemieckim, bo zawsze miałem się jeszcze za Niemca, tak jak wszyscy moi koledzy ze szkół gimnazjalnych. Andrzej Kotula, później notariusz w Cieszynie, Paweł Stalmach, redaktor w Cieszynie, Jerzy Heczko, pastor w Ligotce, Jan Bujak, radca dworu we Lwowie itd., wszyscy synowie rolników, byli Niemcami, bo nas wychowanie gimnazjalne z Polaków zrobiło Niemcami. A co Stalmach mówi gdzieś w *Gwiazdce*, że on już od niepamiętnych czasów był Polakiem a nigdy Niemcem, to są próżne przechwałki i brednie, wszak posiadam jeszcze ze szkół gimnazjalnych od niego niemiecki *Stammblatt*. Szczęśliwemu trafowi mają tylko powyżej mianowani mężowie do zawdzięczenia, że powrócili do swych rodzin, że się zajęli szczerze za ludem, że mówili i pisali jego, to jest polskim językiem. Tym szczęśliwym trafem było dla mnie wstąpienie do kancelarji Dra Kluckiego, tam mi się dopiero oczy otworzyły i poznałem, że jestem w błędzie, mając się za Niemca. To też zacząłem myśleć po polsku, mówić, gdzie było można, w języku ojczystym i modlić się po polsku. Było mi to wszystko z początku trudno, bo mój język zawsze uciekał do Niemiec i było go trzeba nawracać i strofować. Naturalnem następstwem tej przemiany było, żem zaczął pisać mój dziennik zamiast po niemiecku w polskim języku. Stało się to dnia 12 października 1845 r., gdzie dałem niemczyźnie zupełną odprawę i od tego czasu ani razu nie napisałem po niemiecku do mojego dziennika.

ZBIERANIE PIOSNEK, PRZYSŁÓW. Jak wielki zwrot na tej drodze u mnie nastąpił, można i z tego poznać, iż powziąłem zamiar zbierania piosnek ludowych z okolic Cieszyna (o czem wzmianka znajduje się w moim dzienniku z 14 października 1845), że zacząłem także spisywać przysłowia śląskie i wyrazy staropolskie w Księstwie Cieszyńskim — starej dzielnicy polskiej — używane, które to zajęcie, nie wiem dlaczego, utrzymywałem w tajemnicy.

Dr. Klucki powierzył mi także udzielanie lekcyj swoim dorastającym córkom w przedmiotach szkolnych i w języku polskim i swojemu synowi Sobiesławowi w języku polskim. Był też tedy oprócz honorarjum kancelaryjnego i dochód z lekcyj, chociaż szczupły, bo za 75 lekcyj, danych w miesiącu, miałem 5 reń. wynagrodzenia.

PIERWSZE GŁOSY O PISMIE POLSKIM, 1845. Już w tym roku wspominał Dr. Klucki przy różnych sposobnościach o wydawaniu pisma dla naszego ludu w języku polskim, a gdy go 13 grudnia 1845 Żlik Andrzej, pastor zboru ewangelickiego w Cieszynie, odwiedził, mówiono przy tej sposobności obszerniej o tem piśmie, o korzyściach jego i o trudnościach podobnego przedsięwzięcia. Żlik według swego zwyczaju nie oponował wprost, ale miał zawsze swoje *aber*, wspomniano różne osobistości: Kłapsię, Kalchberga, Niemców, którychby można przychylnymi tej sprawie uczynić, ale wogóle chodzono jak kot koło bryi — i nic stanowczego nie omówiono.

W kancelarji Dra Kluckiego zaczęto też odtąd pisać poprawnie nazwiska osób, np. Kotzur (Kocur), Patitschek (Patyczek), nazwiska wiosek i miejscowości, np.: Tierlitzko (Cierlicko), a co główna piśać polskie listy do osób, nieumiejących języka niemieckiego. Drobna wprawdzie rzecz, ale ważna do przebudzenia się narodowego.

A r c o, w kwietniu 1893 r.

ROK 1846. Nadszedł rok 1846, a z nim rzeź galicyjska, tak zwana rabacja. Byliśmy w Cieszynie zawsze prawie jak na nogach. Nie było jeszcze kolei żelaznych, ani telegrafów; wszystkie wiadomości z Galicji do Wiednia a rozkazy i polecenia z Wiednia do Galicji szły przez Cieszyn, jedna sztafeta przelatowała za drugą, w jedną i drugą stronę. Wojsko przychodziło i odchodziło i przyjeżdżały furmanki pod eskortą z Galicji. Dużo szlachty przybywało w ucieczce do Cieszyna; jedni tu pozostawali, drudzy jechali dalej. Tak jak Cieszynianom, nie pozostał ruch ten i Dr. Kluckiemu obcym, często udwali się przejeżdżający do niego o radę i o pomoc, których on nie szczędził. Między chroniącymi się przed okrucieństwami rzezi galicyjskiej był także Adam Górczyński, literat i właściciel dóbr, który zjechawszy do Cieszyna, pozostał tu dłuższy czas. Bywał często u dr. Kluckiego, a Klucki u niego, i zawiązała się pomiędzy nimi bliższa znajomość. Z tej znajomości i ja poniekąd korzystałem, bo Górczyński ofiarował mi dzieło właśnie wyszłe z pod prasy *Nauka Poezji* Cegielskiego (Po-

znań), która mię i moich uczni obznajomiła poniekąd z literaturą polską, a którą książkę mam dotąd w wielkiem poszanowaniu.

POWTÓRNE WSTĄPIENIE DO GIMNAZJUM. W tym roku powziąłem też myśl wstąpienia napowrót do gimnazjum. Był to dla mnie wielki i stanowczy krok, od którego cała moja przyszłość zawisała. Urzeczywistnienie tej myśli nie było tak łatwe, bo jak wiadomo, wstąpiłem przed 7 laty do trzeciej klasy gimnazjalnej wprost z wiejskiej szkoły. Nie będąc do tej klasy należycie przygotowany, nie mogłem też wszystkim wymaganiom podołać, tak iż pozostałem średnim uczniem. Większa część tego, czego się nauczyłem, poszła przez upływ czterech lat w zapomnienie, i było się trzeba jakby na nowo wszystkiego uczyć. Drugim ważnym czynnikiem, z którym musiałem się koniecznie rachować, były stosunki materialne. Bo musiałem siebie zapytać, z czego się będę podczas dalszych nauk, mianowicie na uniwersytecie, utrzymywać. Rachowałem tak, że z dawania lekcyj mogę sobie tyle zarobić, co zarobię w kancelarji, a resztę czasu, który mi od dawania lekcyj pozostanie, mogę naukom poświęcić. — W Cieszynie bawił równocześnie niejaki Jerzy Kotuła z Grodziszcz, będący bez zatrudnienia; z tym omawiałem rzecz o wstąpieniu do gimnazjum często i obszernie i obaj umieniliśmy sobie wstąpić powtórnie do gimnazjum. Wziąłem się więc do nauki. Powtarzałem przede wszystkim to, czego się dawniej uczyłem, i rozwinąłem wielką pilność, aby sobie zapomniane rzeczy napowrót przywłaszczyć i nie być ostatnim. Gdy nadszedł czas rozpoczęcia się nowego roku szkolnego, poszedłem z Kotulą do ks. efora Kłapsi, aby nas zapisał do drugiego roku 4-tej klasy, czyli do szóstej łacińskiej, bośmy obydwaj wystąpili z gimnazjum po ukończeniu 5-tej klasy. Kłapsia nam zganił nasz zamiar, mówiąc między innymi: *Was werdet ihr dort machen unter den Buben?* Ale my obstawaliśmy przy naszym przedsięwzięciu i zostaliśmy bez dalszych egzaminów i trudności wpisani w poczet gimnazjalistów. I drugi efor ks. Żlik odradzał nam wstąpienia do gimnazjum i nie przyjął mię do Alumneum, ani też nie otrzymałem stypendjum, o które się ubiegałem. Widać z tego, że się nas jakoś bali, jako już starszych ludzi.

Gdym mój zamiar wstąpienia powtórnego do szkół Dr. Kluckiemu oświadczył, był tenże niebardzo kontent, bo powiedział: któż mi teraz będzie w kancelarji polskie rzeczy pisał? Ale nareszcie pochwalił mój zamiar, mianowicie, gdym mu przyrzekł postarać się o inną siłę pisarską odpowiednią na moje miejsce.

Wstąpiłem więc na inną drogę, która mię miała do celu moich życzeń doprowadzić. Pragnąłem bowiem zwiedzić wyższe zakłady naukowe, przywłaszczyć sobie jak największej wiadomości, stanąć na stopniu, na którym kilku moich dawnych kolegów gimnazjalnych stało, tak abym mógł kiedyś zająć w społeczeństwie ludzkim wyższe stanowisko, bo na drodze, na której się dotąd znajdowałem, nie byłbym do niczego doszedł i byłbym zawsze został biedakiem, a przynajmniej człowiekiem bez nauki i wykształcenia. — Cały rok szkolny przepłynął mi na nauce i dawaniu lekcyj, z których jedynie się utrzymywałem, czasem też, jeżeli była potrzeba, napisałem to i owo po polsku dla kancelarji Dra Kluckiego, z którym zawsze w styczności zostawałem.

PROF. KAJZAR. Głównym a właściwie jedynym profesorem moim był Paweł Kajzar, także syn chłopca, a ten był mi zawsze przychylny. Gdy mi ks. Żlik odmówił stypendjum, dał radę, bym się udał ustnie do Chmiela, księdza ewangelickiego w Golasowicach, jako agenta Towarzystwa Gustawa Adolfa z Golasowic na Pruskim Śląsku. Z listem polecającym od niego udałem się z Kotulą razem do Chmiela — ale on oświadczył że Towarzystwo Gustawa Adolfa tylko familje i kościoły, ale nie pojedyncze osoby wspiera, że tedy nam dać nic nie może. Było to w niedzielę, dnia 14 lutego 1847, była wielka śnieżna zawierucha, a nasze suknie były chaterne, tak żeśmy dużo zimy wycierpieli. Chmiel podjął nas, ile mógł, nie miał też wiele czasu, bo w niedzielę było dużo różnych funkcyj, a nam się znów do domu śpieszyło. Kajzar pomimo swojej porywczosci zawsze nam dwoma sprzyjał i gdzie mógł, pomagał nam radą swoją. Z pierwszego semestru odniosłem klasyfikację bardzo dobrą, bo miałem same eminencje, tak samo i z drugiego półrocza, a jak mi sądzić wolno, to tam Kajzar jedno oko przymrószył. W chwilach wolnych, a mianowicie w so-

boty i niedziele odwiedzałem Matkę i brata Jerzego w Kozakowicach, który przyjął od ojca gospodarstwo, a matka była przy nim we wymowku. Często przybrałem z sobą jakiego kolegę, a podczas wakacyj Stalmacha — a zawsze miałem w domu rodzicielskim jak najlepsze przyjęcie. Nie szczędzono nam niczego i mogliśmy się na kilka dni najeść. Często bardzo odwiedzali mię w Cieszynie matka i brat narzeczian, i zawsze przynosili z sobą spory wężel żywności, chleba, sera, masła, pieczek itp. co było w domu, było to dla mnie wielkiem wsparciem, które też sobie cenić umiałem, i obecnie wspominam o tem z serdeczną wdzięcznością. Była to zawsze radość dla mnie i niektórych moich szkolnych kolegów, gdy się taki wężelek u mnie pojawił, bośmy wszyscy sumiennie tak długo sięgali do miski, aż prawie nic nie zostało; a potem — potem zaś jakoś było.

W drugim półroczu wiele rozmyślałem nad tem, gdzie po skończonym roku szkolnym — a więc po ukończeniu gimnazjum, udać się mam dla dalszych nauk. Nasi ludzie zwiedzali zwykle lica węgierskie, a skończywszy takowe po dwóch latach, szli potem zwykle do Wiednia, aby się poświęcić naukom zawodowym. I ja zamyślałem pójść tą drogą, chociaż brała mię niekiedy chętka pójść na filozofję do Wiednia lub Lwowa. O Krakowie wtedy mowy być nie mogło, bo Kraków wtedy nie należał jeszcze do Austrii.

FILOZOFJA W CIESZYNI. Ale sprawa ta wzięła nagle inny obrót. W kwietniu 1847 nadeszła z Wiednia wiadomość, że z początkiem nowego roku szkolnego gimnazjum ewangelickie w Cieszynie ma być rozszerzone o wydział filozoficzny. Wiadomość ta znalazła potwierdzenie, gdyż profesorowie gimnazjalni Kajzar z IV klasy, Settig z III klasy i Folwarczny z III klasy pojechali wszyscy do Wiednia, aby się o posady profesorskie do filozofji ubiegać, czyli aby się poddać odpowiedniemu egzaminowi. Podczas tego bezkrólewia uczyli obaj profesorowie ks. Żlik i ks. Kłapsia, IV i III klasę, a mnie przydzielono II klasę, co mi nie było bardzo na rękę, bo miałem z moją nauką, i z lekcjami dosyć do czynienia, a tu oprócz tego musiałem się jeszcze na naukę w II klasie zawsze przygotowywać.

Umienilem sobie tedy, że jeżeli filozoficzny wykład od przyszłego roku szkolnego w Cieszynie zaprowadzony bę-

dzie, pozostanę w Cieszynie, ponieważ mi tu życie taniej wypadnie, jak gdzie indziej, a ponieważ miałem nadzieję, że jeżeli nie wszyscy moi profesorowie do tego zakładu przybędą, to przynajmniej kilku będzie nowych i zdatnych.

Pomimo tych zatrudnień nie zapomniałem też i o polskim języku — o zbieraniu pieśni i przysłówiów śląskich, którym wprawdzie nie mogłem wiele czasu poświęcić, ale zawsze mi były na myśli.

TOWARZYSTWO POLSKIE. Widząc, jak się wszystko niemczy, jak nikt z młodzieży naszej, a mianowicie synowie włościańscy, nie poczuwają się do narodu, jak stawiają język i kulturę niemiecką wysoko, a swojskością gardzą, że zapominają pisać, a nawet i mówić po polsku — umieniłem sobie założyć stowarzyszenie między młodzieżą gimnazjalną, któreby miało na celu pielęgnowanie ojczystej mowy i w zbudzeniu ducha narodowego między młodzieżą. Nie była to rzecz łatwa, bo wiedziałem, iż z jednej strony natrafę na obojętność między młodzieżą, a z drugiej strony na złą wolę, a przynajmniej na różne trudności, ze strony profesorów.

Nie było żadnych środków do rozpoczęcia tego przedsięwzięcia, nie było książek, ani pieniędzy na zakupienie tychże. Z drugiej zaś strony rachowałem na to, że to jest rzecz nowa, i pociągnie za sobą młodzież. O tem zamiarze doniosłem eforom i profesorom, aby się nie wystawiać na odpowiedzialność i niebezpieczeństwa. Z otwarciem tego przedsięwzięcia postanowiłem atoli jeszcze poczekać, aż się nowy rok szkolny rozpocznie, i aż się zbiorą potrzebne do nauki książki.

DALSZY GŁOS O PIŚMIE POLSKIM. I pismo, mające być wydawane dla naszego ludu było nieraz przedmiotem rozmyślań i nieraz mówiłem z Kluckim o tym przedmiocie. Daję tu wyciąg rozmowy, którą miałem dnia 17-go czerwca 1847 r. z Kluckim o temże piśmie. Mówił on: „Jam się już o tej zależytości dużo nazawiał, nawet ze Żlikiem i z Koczym (ew. ksiądz w Ustroniu) o tem mówiłem, lecz Koczy, to i owo... nie chciało mu się, a Żlik, jak widzę, zimny naprzeciwno temu przedsięwzięciu, zresztą sucha latorośl na szczepie słowiańskim. Mówiłem nawet z Win-

klerem (ks. ewang. w Nawsiu), lecz ten mi się niebardzo podoba, chciałby niezawodnie zostać sam redaktorem. To były pierwsze przeszkody, lecz są i inne. Dozwolenie na wydawanie Tygodnika jako nowego pisma trudno by się dało uzyskać, chociażby to niemożne nie było, a więc sądziłem, iż dobrze będzie wyrobić pozwolenie na przekład gazety rolniczo-przemysłowej bernieńskiej (zapomniałem, czy bernieńskiej czy innej) i to już mam. Toby był dobry zapas do ciągłego pisania i dosyć treści dla naszego pisma, chociażby nawet, co wątpię, nie znaleźli się przyjaciele, którzyby chcieli swoje artykuły do naszego pisma zasyłać. A przy tem tak pomału — ażby same nasze artykuły zajmowały miejsce w Tygodniku. Nasz cenzor Glässer (*Kreishauptmann*) dosyć jest gładki, toby już tam dało się przeprowadzić. Oprócz tego trzeba mi się było obejrzyć na to, jak duża liczba by się też mogła sprzedać tego tygodnika. Sam Kalchberg (administrator dóbr arcyksięcia Albrechta w Cieszynie), z którym o tem mówiłem — przyrzekł mi, to jest powiedział, żeby dla swoich poddanych wziął z 300 egzemplarzy, ze 200 egz. zaś rozłożyłbym między Górników i inne osoby, a reszta umieściłaby się po drobnu. Cenę tego pisma ustanowiłbym na 1 reń. 30 k. w. w. rocznie (tj. 36 kr. mon. konw., czyli 1 korona 26 szel.). Potądby to szło jako tako. Ale zachodzi kwestja, kto ma być redaktorem? to jest, kto ma tłumaczyć gazetę czeską i usporządzać Tygodnik? Ja czasu nie mam wiele do tego, i nie mogę tedy wiele temu się poświęcać. Ja już myślałem o panu (tj. o mnie), mówił Klucki, żebyś się mógł tej pracy podjąć, lecz jakoż teraz, kiedy wstąpiłeś powtórnie do szkół, to będzie podobno teraz niemożliwem. Do tego mamy teraz także złe czasy; gdzieżby tam wieśniak mógł zabrać 1 r. 30 k. w. w., skoro nie ma co zjeść. Lecz zobaczymy w jesieni, co się da w tej sprawie zrobić, zobaczymy, czy będzie można zacząć!*

Ja z mojej strony oświadczyłem, że gdybym był został nadal w kancelarji jego, byłbym mógł więcej czasu temu przedsięwzięciu poświęcić, ale teraz prawie niepodobna; nie jestem też zdatny na redaktora, bo nie posia-

* Odpis z mojego Dziennika 1845.

dam jeszcze potrzebnego wykształcenia do tego przedsięwzięcia, nie miałem też dotąd przyležitosti obznajomienia się z redagowaniem.

JAK SIĘ U NAS ZAPATRYWANO NA JĘZYK POLSKI. Nadeszły nareszcie upragnione wakacje, które były dla mnie tem ważniejsze, iż już występować mogłem jako ukończony gimnazjalista i filozof *in spe*. Przybył też Stalmach z Wiednia i inni dawni koledzy i było z kim o tem i owem pogadać. We spółkę ze Stalmachem zrobiliśmy podróż po Śląsku, celem poznania tegoż bliżej i robienia propagandy dla budzącej się u nas narodowości polskiej. Podróż ta niewiele nam przyniosła korzyści, a sprawie narodowej żadnych. Odwiedzaliśmy prawie wyłącznie naszą inteligencję, a kiedyśmy w ciągu rozmowy potracili sprawę narodową, każdy się dziwił naszej rzeczy i był zdania, że należy się trzymać języka niemieckiego, który daje człowiekowi naukę i światło, Polska zaś o nic innego nie dba, tylko katolicyzm, że z niemieckim językiem dalej zajędzie, niż z polskim itp.

PIERWSZA PODRÓŻ DÓ KRAKOWA. Dalszą podróż odbyliśmy do Krakowa, celem nazbierania książek polskich dla naszego Towarzystwa. Ja znałem już poniekąd Kraków, bo tamże bawiłem w roku 1842 przez dziewięć miesięcy w księgarni D. E. Friedleina. Znałem kilka osobistości, mianowicie tych panów, którzy prawie codzień do księgarni przychodzili, a między nimi profesora i bibliotekarza Muczkowskiego, Majera, Jakubowskiego itd. Zamyślałem więc udać się do nich w nadziei, że od nich, lub za ich pośrednictwem będzie można jedną książkę uzyskać. Z tym zamiarem obznajomiłem Stalmacha i tenże zgodził się zupełnie na jego wykonanie. Dnia 14 sierpnia 1847 wyszliśmy tedy z Cieszyna, napiwszy się wódki i nabrawszy gruszek do kieszeni. Pieniądzy mieliśmy wprawdzie bardzo mało na tę podróż, która się naturalnie piechotą odbywała, ale byliśmy bardzo weseli i dobrej myśli. Jakośmy tę podróż odbyli i jak się nam darzyło, opisałem krótkimi słowami w mojem wstępnem przemówieniu na 25-letnim jubileuszu Czytelni Ludowej w Cieszynie, które to przemówienie znajduje się w *Pamiętniku*, wydanym z powodu tego jubileuszu, a dlatego odwołując się na ten pamiętnik,

nie będę tu już opisywał tej zawsze pamiętnej podróży. (Patrz na końcu książki.)

FILOZOFI CIESZYŃSCY. Z początkiem roku szkolnego 1847/48 rozpoczęto rzeczywiście wykłady na Wydziale filozoficznym. W pierwszym roku mieliśmy przede wszystkim dwóch profesorów, Dra Plucarka i Dra Kolaczka, którzy ostatni atoli niedługo bawił w Cieszynie, bo z powodu politycznych zdrożności umknąć musiał za granicę. Potem wykładali w 1 roku ks. Żlik, ks. Kłapsia, Kajzar i Sittig. Było nas filozofów dwunastu. Pierwszem naszym dziełem było sprawienie czapek burszowskich (ja sam tylko zatrzymałem moją rogatywkę z czerwonym, białym i niebieskim paskiem), dalej knytli, które były grube i żółtego koloru, i fajek porcelanek z *Prostem* z przodu, a podpisami wszystkich kolegów ztyłu, na długim cybuchu. Chodziliśmy zwykle wszyscy kupą na wykłady i z wykładów, nucąc często jaką burszowską melodię. Gdyśmy szli tak ulicą, ludzie stawali i patrzyli na nas; w Cieszynie filozofja i tyle filozofów, to rzecz niesłychana! Naturalnie, żeśmy nie patrzyli książek, ale burszostwa, komersów, pijatyk i kawiarni, jeno na kolegja ucześnieściliśmy pilnie, a co poza kolegjami — nikt nas nie doglądał.

TOWARZYSTWO UCZĄCYCH SIĘ JĘZYKA POLSKIEGO. Aby towarzystwo narodowe wprowadzić w życie, wystosowałem odezwę do filozofów i uczni wszystkich klas gimnazjalnych, wyjaśniając w niej cel towarzystwa, któremu, aby nie budzić u władzy jakiego podejrzenia, nadałem najniewinniejszy tytuł: „Towarzystwo uczących się języka polskiego na ewangelickiem gimnazjum w Cieszynie“, wyznaczyłem dzień, w którym mają się zgromadzić w IV klasie gimnazjalnej, aby powziąć bliższe szczegóły o temże towarzystwie i aby się zapisać na członków. Zebrało się dużo uczni, tak, że klasa była przepełniona, naturalnie wiedzeni większą częścią ciekawością. Wyszedłem na katedrę i miałem dłuższą przemowę do młodzieży, potem omawiano bliższe szczegóły, a nareszcie zapisywano się na członków. Ogółem zapisało się 40—50 uczni na członków, którzy obowiazali się nie tylko ucześnieścąc na wykłady, ale także w domu pracować i mówić po polsku. Obo-

wiązali się także płacić miesięcznie po kilka centów na potrzeby Towarzystwa i zakupienie książek.

Książki, któreśmy mieli, prędko się wyczytały, nie były też wszystkie dla nas odpowiedniami. Stalmach bardzo pilnie zbierał książki w Wiedniu, ale te były wyłącznie czeskie, słowackie, serbskie itp. Przez to się wprawdzie pomnażał nasz zbiór książek, ale nam zawsze brakowało odpowiednich i polskich książek. Ponieważ z bardzo szczupłych dochodów Towarzystwa nie można było żadnej polskiej książki kupić, umieniłem te dochody w ten sposób, że puściłem cztery dzieła polskie, pochodzące i zebrane na pierwszej wycieczce do Krakowa, na loteryję, z tym warunkiem, że każdy, kto wygra, daruje wygrane dzieło z dedykacją swoją Towarzystwu naszemu. Listę loteryjną* puściłem w obieg i za niedługi czas wszystkie numera, a było ich 90, obsadzone zostały. Gdy wszyscy wygrywający wygrane dzieła darowali Towarzystwu, tedy księgozbiór nie został uszczuplony, owszem zyskał kilkanaście reńskich na zakupienie polskich książek.

DRUGA PODRÓŻ DO KRAKOWA. Aleć książki polskie były bardzo drogie, niewiele dało się za naszą gotówkę kupić, postanowiłem tedy odbyć drugą podróż do Krakowa, aby tamże znowu jaki zapas książek uzbierać. Ale skąd tu wziąć pieniędzy na podróż? Nie było innej rady, tylko pożyczyć. A dawniej jakoś prędzej jeden drugiemu na słowo pożyczył, jak teraz. Zaciągnąłem więc pożyczkę u Dra Kluckiego i u Michała Jančo, instruktora ze Słowak, bawiącego w Cieszynie. Pierwszy pożyczył mi 15 r. m. k., drugi zaś 5 reń. m. k., ja zaś miałem w zapasie 10 reńskich. Był tedy kapitał na podróż zebrany i wynosił 30 reń. w srebrze. Podróż moja była z rozmaitemi trudnościami połączona. Już uzyskanie paszportu było bardzo trudne, a wiza *kreis-antu* w Cieszynie jeszcze trudniejsza, bo *Kreishauptmann* Glaser nie chciał paszportu podpisać, bo sądził, że cel podróży wykształcenie (*Ausbildung*) jest nieprawdopodobny, bo za sześć dni, na które paszport brzmiał, nie można się wykształcić. — Pojechałem tedy. Myślałem, że koleją przez Prusy prędzej przyjadę do Krakowa i też taniej, jak przez

* znajdującą się w *Silezjacie*, bardzo ciekawą.

Białą okazją lub pocztą, ale się omyliłem. Jechałem tedy (w niedzielę, 13-go lutego 1848) do Morawskiej Ostrawy, a przenocowawszy tamże, chciałem przez Bogumin udać się do Prus i potem do Krakowa. Ale kolej nie szła z Ostrawy do Bogumina, bo tamże most kolejowy przez rzekę Odre zerwany został. Udałem się więc do Świniowa (Schönbrunn), a nie znalazłszy tamże taniej okazji do Opawy a nie mogąc dla rozwilży i błota piechotą iść, wróciłem do M. Ostrawy, skąd wieczór pocztą do Opawy pojechałem. W Opawie musiałem czekać aż do wieczora, skąd do Raciborza odjechałem, a przespawszy się na kanapie, pojechałem rano koleją do Koźła, a po dwóch godzinach do Mysłowic, stąd zaś po 4 godzinach do Krakowa, dokąd o 9 wieczór przybyłem. Podróż dotąd niebardzo była przyjemna, bo się odbywała w lutym, a nieraz zimno bardzo dokuczało a ogrzać się z powodu oszczędności ze środkami podróży nie było można. W Krakowie przenocowałem u Filipa na Sławkowskiej ulicy, i zapłaciłem tamże za nocleg na kanapie i za śniadanie razem 7½ kr. m. k., co było bez porównania tanio. Poszedłem zaraz do Muczковского, bibliotekarza, ten mię bardzo dobrze przyjął, ale żadnej książki nie dał, owszem ku mojemu wielkiemu zadziwieniu, wielką ostrożność mi zalecał. Poszedłem do Adama Górczyńskiego, gdzie zapukałem na drzwi jego pomieszkania. Wyszedł w szlafroku: co, co, co! ja nie mam czasu, dajcie mi pokój! i zawarł drzwi za sobą. Zdziwiłem się nad takim przyjęciem, lecz poszedłem do kuchni i powiedziałem parobkowi: idź do twego pana a powiedz mu, że mu przynoszę ukłony od Dra Kluckiego z Cieszyna, i że mam ważne interesa do niego. Kazał mię więc prosić, abym przyszedł do jego pokoju. Oh, jakie to było przyjęcie! prosił kilka razy o przebaczenie mówiąc, że on mniemał, iż ja chcę iść do austriackiego konsyljarza, i że go (Górczyńskiego) chcę się pytać, gdzie on mieszka, zresztą że go chcę niepokoić, jak go niepokoili duża liczba o austriackiego konsyljarza się pytających. Kazał mi usiąść na kanapie, przyniósł cygar i mówiliśmy dłuższy czas o naszych cieszyńskich sprawach. Zaprowadził mię potem do Józefa Łepkowskiego, teraz prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, który mię przyjął jak przyjaciela. Stamtąd poszedłem do żydów

na Szpitalną ulicę, i kupiłem kilka książek, które u p. Koziarskiej na placu Franciszkańskim złożyłem. W piątek pożegnałem się z Muczkowskim, a bywszy u Łepkowskiego, który mię wczoraj na dzień dzisiejszy był do siebie zaprosił, poszedłem do Górczyńskiego i ten był ze mną w księgarniach Baumgartena i Wilda i Czecha, gdzie kilka małych książeczek wyszukał i mnie wręczył. Poszliśmy potem do Piora Pijarów ks. Jakubowskiego, któremu dał przeczytać program naszego towarzystwa. O, co to za piękne chęci! powiedział, o będziemy się starać, by was w waszych zamiarach wesprzeć! Dał przynieść od Czecha starych kalendarzy z 70 kawałków i te kazał pomiędzy lud rozdzielić, i obiecał pomoc na przyszłość. Potem poszedłem z Górczyńskim do Wiszniewskiego, który mię również dobrze przyjął. Wieczór poszedłem do teatru, i byłem zachwycony lokalem i grą i myślałem, gdyby też to kiedyś mogliśmy mieć w Cieszynie polski teatr. Po południu byłem jeszcze u Łepkowskiego, gdzie się z Jerzmanowskim (później sekretarz tow. rolniczego krakowskiego) i innymi młodymi literatami poznałem. Pan Wiszniewski dał mi książkę o rozumach ludzkich, a pan Grabowski poezje Reja z Nagłowic. Tak zbliżyła się sobota, i ja zacząłem myśleć o domu. Skontraktowałem *Landkuczera* za 3 reń. do Białej, kupiłem jeszcze od żydów kilka książek, o ile zapas pieniędzy starczał, poznosiłem wszystko do pani Koziarskiej, zapakowałem i kazałem odnieść do Podgórze, skąd okazja miała wyjechać. Ale okazja nie jechała w sobotę, pono iż był szabes, i wyjechałem dopiero w niedzielę, o 4 godzinie po południu, zabrawszy z sobą wszystkie nagromadzone skarby. Wspomnieć jeszcze muszę, iż miałem od ks. Koczego z Ustronia listy rekomendacyjne do Krakowa, a mianowicie do ks. Otremby, prof. Czerwiakowskiego i Henniga. Byłem od tych panów dobrze przyjęty, ale mi rekomendacje nie pomogły, bo nic nie uzyskałem i przyszedłem do przekonania, iż najlepiej samemu siebie rekomendować. Przenocować musiałem w Kalwarji, a potem w Białej, tak, że dopiero we wtorek powróciłem do Cieszyna. Podróż więc trwała całych dziesięć dni, opisałem ją obszerniej, niżby właściwie należało, ale uczyniłem to, aby pokazać,

ile potrzeba zabiegów i poświęceń, aby z niczego coś uczynić czyli stworzyć.

REWOLUCJA WIEDEŃSKA. Niezadługo nadeszły dni marcowe a z nimi rewolucja wiedeńska, i konstytucja. Najrozmaitsze wieści nadchodziły z Wiednia, i zatrzymano podróżujących pocztą (bo kolei do Galicji jeszcze nie było) z Wiednia, a ci z postawionej beczki lub też z wozu pocztowego opowiadali w dłuższych lub krótszych przemówieniach najrozmaitsze, często nieprawdziwe rzeczy o wiedeńskiej rewolucji. Gdy nadszedł manifest konstytucji z Wiednia, musiałem go zaraz na polski język przetłumaczyć i był tenże w niemieckim i polskim języku z galerji wieży ratuszowej ludności, zapełniającej prawie cały rynek, przeczytany, poczem nastąpiła iluminacja miasta, ogromny *fakelzug*, przemówienia, i ciągle, nieprzerywające się wiaty. Niebawem zaczęły nadchodzić z Wiednia najrozmaitsze listy ulotne, opisujące rewolucję wiedeńską i walkę o wolność w prozie i poezji, pisma wyjaśniające i pouczające lud, co to jest konstytucja i jakie prawa w sobie zawiera. (Takich pism ulotnych polskich i niemieckich posiadam spory tom.) Nalegano na mnie, abym dla naszego ludu napisał także jaką broszurkę, żeby się cokolwiek o konstytucji dowiedział. Napisałem tedy „*Nowości niesłychane dla śląskich chłopów*“ w formie rozmów między dwoma wieśniakami. Broszurka ta w pierwszym wydaniu drukowaną była szwabachem, w drugim zaś wydaniu polskimi czcionkami; rozsprzedają zajął się księgarz Wascher w Cieszynie. Była to pierwsza broszurka treści politycznej na Śląsku. Druga broszura — której autorem jest podobno ks. Winkler z Nawsia — wydana została pod tytułem „*Poznaczenie życzeń siedlaków, zgromadzonych w Cieszynie dla wolenia wysłańca do Opawy 27 Maja 1848.*“ Drukowane u Prochaski w Cieszynie.

GUARDJA NARODOWA. Niezadługo utworzono tak jak prawie we wszystkich miastach i w Cieszynie gwardję narodową. My filozofi chcieliśmy także należeć do niej, ale nie pojedynczo, tylko żebyśmy na wzór Wiednia tworzyli osobny oddział — oddział akademicki. Ze strony komendy nie robiono nam żadnych trudności, owszem jużesmy raz wystąpili w mundurach i z gwerami, chociaż

nie było gwerów, tylko ich dla nas dwunastu różnego kalibru nazbierano. Ale kolegium profesorskie sprzeciwiło się naszemu wstąpieniu do gwardji narodowej. Było to wielką obrazą dla naszego studenckiego honoru i postanowiliśmy zrobić truc na truc. Pierwszym krokiem było wystosowanie pisma do profesorów, w którym uskarżaliśmy się, że się profesorowie nie obchodzą z nami, jak z akademikami obchodzić powinni, i że nam zabraniają wstąpić do gwardji narodowej, kiedy akademicy w Wiedniu głównie wolność wywalczyli, a że z tych powodów nie będziemy uczęszczać na kolegja tak długo, póki ta sprawa nie będzie dla nas korzystnie załatwiona. I rzeczywiście nie byliśmy trzy dni na prelekcjach, a gdy się rozniosła wieść, że chcemy Cieszyn opuścić i wywędrować do Węgier, zwołał mię ks. Żlik do siebie, a po rozmówieniu się z nim zwołani zostaliśmy na pewną godzinę do lektorjum, dokąd i wszyscy profesorowie przyszli i tam załatwiliśmy rzecz za wspólnem porozumieniem. Ja wprawdzie byłem innego zdania co do tego strejku, ale dla utrzymania solidarności trzymałem razem z nim.

TYGODNIK CIESZYŃSKI. Ważniejszym dla mnie, jak taka gwardja narodowa i spory z profesorami, było pismo, wychodzić mające w Cieszynie dla ludu. Wobec konstytucji nie potrzeba było żadnego pozwolenia na wydawanie pisma ani też nie było potrzeba składać kaucji — co dopiero później rozporządzeniem zostało. Kto ostateczną powziął inicjatywę, czy Dr. Klucki czy ja do wydawania pisma, jest mi już niewiadomem, ale że nie Stalmach, to jest pewna. Przechwała się on wprawdzie bardzo często w „Gwiazdce Cieszyńskiej“, że „Gwiazdka“ jest jego pomysłem, że on jest inicjatorem tejże, że był redaktorem od początku, a ponieważ nie mógł podpisać się jako redaktor, że mnie Klucki wybrał na figuranta i kazał mi się podpisywać jako współpracownik główny, że, aby rozpocząć wydawnictwo, on pisał Kluckiemu, że już teraz (to jest po dniach narodowych) pozwolenie nie jest potrzebne, że wskutek tego listu Klucki przyjechał do Wiednia i porozumiał się z nim i wskutek tego zaczął wydawać Tygodnik. Tak pisze Stalmach n. p. w „Obronie własnej“ (odbitka z „Gwiazdki Ciesz.“, str. 42). Wszystko to jest szczerą nie-

prawdą, wszystko to jest zmyślane, aby sobie dopomóc do wyniesienia się i aby wszyscy myśleli, jakim to on jest wielkim człowiekiem. Otóż po tej ostatniej inicjatywie napisałem odezwę, dotyczącą wydawania pisma, i rozesłałem ją po Śląsku i do Galicji, prosząc o prenumeratę. Odezwa ta zaczyna się, jak dobrze pamiętam, od słów: „Pęknał czarny obłok“. — W tej odezwie ustanowiono dzień 6 maja 1848, w którym pierwszy numer „Tygodnika Cieszyńskiego“ miał być wydany.

Nieprzyjaciele Kluckiego oskarżyli go o nieprzyjaźń do państwa austriackiego, o podburzanie ludu na polu narodowym, o zdradę stanu itp. Czy ta skarga podaną została, czy też tylko zbierano podpisy na nią, nie jest mi wiadomo, ale to wiem z pewnością, że Dr. Klucki z tego powodu pojechał do Wiednia, aby tamże odpowiednim ministerstwom poczynił wyjaśnienia i doniósł im, na co się tu zanosí. Odjazd Kluckiego nastąpił nagle zaraz na początku maja a powrót do Cieszyna 8-go maja. Podczas tej niebytności trafił właśnie termin 6 maja, w którym to dniu miał wyjść Tygodnik. Dr. Klucki nie pozostawił żadnych rozporządzeń, bo nagle do Wiednia wyjechał, a ja nie wiedziałem sobie rady, czy wydać 1 nr. Tygodnika, czy czekać, aż Dr. Klucki przyjedzie. Obrąłem pierwszą drogę, aby słowa dotrzymać. Ale co tu w 1 nrze umieścić? Dla braku artykułu wstępnego, który się dać należało, umieściłem odezwę prenumeracyjną. Stalmach, Kotula i Heczko przysłali mi już dawniej kilka artykułów, do tego pisma przeznaczonych. Otóż umieściłem jeden artykuł, napisany przez Stalmacha, potem nazbierałem bieżących wiadomości, a przekonawszy się, że jeszcze pół stronicy próznej, byłem w wielkim ambarasie, co tu umieścić, i umieściłem jedyny artykuł, który teolog Heczko z Wiednia nadesłał: „Co żyd to żyd“, który kilka wierszy wynosił. Tym sposobem ujrzał pierwszy numer śląskiego pisma *Tygodnik Cieszyński* światło dzienne. Gdy przyniesiono cały nakład do kancelarji, odliczyłem 200 egz. i przesłałem je Kalchbergowi, administratorowi dóbr arcyksiążęcych w Cieszynie, który Kluckiemu przyobiecał, że tyle dla swoich „poddanych“ będzie prenumerował. Klucki, powróciwszy z Wiednia, dał mi wielką nagane, że umieścił artykuł

„Co żyd to żyd“, że to wyzyskają Niemcy na niekorzyść naszego pisma, i będą tłumaczyć „Ein Jud bleibt Jud“; a dalej drugą nagane, że się nie podpisał na 1 nrze jako redaktor pisma.

Pierwszem niepowodzeniem naszego pisma było, iż za kilka dni zwrócił Kalchberg przysłane 200 egz. Tygodnika z listem, że pismo nie odpowiada potrzebom naszego ludu i nie usprawiedliwia nadziei, w niem pokładanych. I za to dostałem nagane od Kluckiego, że nie czekałem jego powrotu z Wiednia, gdzieby był sam poszedł do Kalchberga i przedłożył mu osobiście pismo z rekomendacją tegoż. Kalchberg zwrócił pismo nietylko dlatego, iż opuszczono wszelką etykietę przy przesłaniu pisma, ale głównie dlatego, ponieważ się z nim Dr. Klucki przed wyjazdem swoim w sprawach narodowościowych był pokłócił.

Że Dr. Klucki nie pojechał do Wiednia, aby się ze Stalmachem porozumieć — bo o cóż się miał porozumiewać — i że się z nim nie porozumiewał, wynika także z listu, który Stalmach dnia 4 maja 1848, a więc dwa dni przed wyjściem Tygodnika, do mnie z Wiednia pisał: „Słyszawszy, że tu miał Klucki przybyć, odwiedziłem go natychmiast. Dzisiaj mówiłem z nim, ale krótki czas tylko“. Że Stalmach nie zakładał tygodnika i nie był od 1-go numeru jego redaktorem, wynika też z listu, pisanego do mnie z Wiednia dnia 13 maja 1848: „Żał mi bardzo, że się tak źle macie z Tygodnikiem, ale czy już zaprawdę wyszedł, wszakżem się spodziewałem od łaski waszej, że mi też jeden egzemplarz, jako biednemu dopisowaczowi, darujecie a przyszlecie, bo bynajmniej dotąd nie zdołałem się przedpłacić“ a podając mi do wiadomości, co tam w Wiedniu o *Tygodniku* mówią, pisze w swoim liście z Wiednia dnia 1 czerwca 1848: „...Więc tutaj to dla Ciebie najważniejsze: „Tygodnik“ śląski bardzo się wszystkim Polakom podoba, i wszystkim Słowianom także. Bardzo są ucieszeni nad tem pismem i tylko niektóry uszczerbek języka polskiego ich obraża, ale nie wiele na to uważają, w tej nadziei, że śląski język z czasem się poprawi. Ja się owszem także gniewam na redaktorów, że nie poprawiają języka.“ (Patrz zbiór listów w mojej bibliotece — *Silesiaca*).

I z listów Jana Bujaka, pisanych do mnie ze Lwowa, widzieć można, że Stalmach nie był inicjatorem *Tygodnika Cieszyńskiego*. Jan Bujak pisze w swym liście z dnia 28 maja 1848 (*Silesiaca*): „Na wczorajszym dniu doniósł mi przyjaciel Paweł (Stalmach) że *Tygodnik* wychodzi już od 6 maja. Powzięliśmy wprawdzie tę wiadomość tu we Lwowie już przeszło dwa tygodnie, i już wtenczas z powszechnym powitaniem to nowe zjawisko zapalem i prawdziwym uniesieniem... Z miłym wrażeniem dowiaduję się od niego, że p. Plucar (prof. matem. i fizyki na wydziale filozoficznym w Cieszynie) podaje Ci w układaniu czasopisma dostateczną pomoc. Proszę oświadczyć temu zacnemu sprawcy naszej popieraczowi moje uszanowanie i należną podziękę... blisko dwa tygodnie, jak Gazda (prof.) odebrał zlecenie, aby nam zamówił egzemplarz *Twojego* dziennika a dotąd nic nie nadchodzi“.

Gdyby był Stalmach inicjatorem *Tygodnika*, toby Bujak nie był pisał „Ci“ i „Twojego“ dziennika, ale tak jak w późniejszych listach pisał „Was, Wasze, Wam“ itp. w liczbie mnogiej, zamiast w liczbie pojedynczej, gdy Stalmach objął redakcję.

Rozszerzyłem się nieco, opisując rozpoczęcie wydawnictwa *Tygodnika Cieszyńskiego*, bo nikt inny już nie żyje, któryby mógł podać bliższe szczegóły o początkach tego przedsięwzięcia, a chciałem nadmienić, z jakimi trudnościami trzeba było walczyć, chciałem nareszcie sprostować nieprawdy, jakich się Stalmach w własnym interesie dopuścił. Sądzę, iż trzymałem się ściśle prawdy, i że byłem daleki przywłaszczenia sobie cudzej pracy i cudzych zasług za swoje.* Nadmienić tu jednak muszę, że rozpoczęcie pisma było z mojej strony nierozsądnem, bo nie było odpowiedniego zapasu artykułów i kilku przynajmniej współpracowników, a wydanie pierwszego numeru bez aprobaty Kluckiego szaleństwem; lecz trzeba to zapisać na karb młodości, która skora do czynów, niezawsze pamięta o trudnościach i następstwach. Ale że się tak stało było dobrze,

* O pierwszych początkach *Tygodnika* nie miał też oprócz Dra Kluckiego i mnie nikt wiadomości, bo w tym czasie nie było w Cieszynie żadnego innego narodowca, a Stalmach i Kotula przybyli dopiero po skończonych naukach uniwersyteckich do Cieszyna.

bo sędzę, że gdyby rozpoczęcie wydawnictwa było na później odłożone, takowe nie byłoby przyszło do skutku. Klucki jako wydawca tego pisma sądził bowiem, że mię na pracownika i zawiadowcę strony pisemnej tego przedsięwzięcia przynajmniej na tak długo pozyskał, dopóki ucześnieć będe na Wydział filozoficzny w Cieszynie, nie przypuszczał bowiem, żebym zamyślał już po ukończeniu pierwszego roku nauk filozoficznych Cieszyn opuścić. Na kilka miesięcy, to jest od maja do końca września, jak długo jeszcze w Cieszynie miałem zostać, nie byłby wydawnictwa rozpoczynał, a ze Stalmachem jako redaktorem nie byłby rozpoczynał, bo Stalmacha zgoła nie znał, a o ile go znał, nie miał do niego, że tylko powiem, żadnej sympatii. Gdy Stalmach jako ukończony teolog przybył na wakacje do Cieszyna, mówiłem z nim o przyjęciu redakcji Tygodnika, dodając, iż umyślnie nie podpisywałem pierwszych numerów jako redaktor, ale tylko jako współpracownik główny, aby jemu pierwszeństwo i honor być pierwszym redaktorem pozostawić. Ale Stalmach, jak to już było w jego naturze, bęczał, bęczał a nic nie powiedział, a później oświadczył, iż nie chce i nie przyjmie redakcji! I tu byłem w największych kłopotach, bo Kluckiego nie chciałem osadzić na łodzie, a z drugiej strony nie chciałem przez drugi rok filozofji w Cieszynie zostać, bo mię do Krakowa ciągnęło. Stalmach byłby (jako teolog) chętnie przyjął posadę proboszcza, ale takiej nie było, owszem czekali na jaką aperturę — jak zwykle — profesorowie gimnazjalni, sami teolodzy, a oprócz tego byli i inni czekający teolodzy. Miał zamiar w drugim rzędzie zostać profesorem na ewangelickim gimnazjum, ale tam też nie było miejsca, a nie byłby też przyjęty, bo księża Żlik i Kłapsia nie byliby go przyjęli, iż nie był Niemcem, a jako Polak i Słowianin już z tego powodu niebezpiecznym. Przez ciągle pożycie ze Stalmachem potrafiłem go nakłonić, że przyrzekł przyjąć redakcję, ale definitywne przyjęcie odwłaczał, a gdy go na korekcie kazałem wydrukować jako redaktora i pokazałem mu to z dodatkiem, że tak samo na tym numerze Tygodnika wydrukowany będzie już jako redaktor — zgniewał się okropnie na mnie i oświadczył, że o niczem nie chce wiedzieć. Naturalnie,

że numer wyszedł bez redaktora, ale później oświadczył stanowczo, że przyjmie redakcję.^{*} Doniosłem tedy Kluckiemu, że zamysłam udać się z początkiem roku szkolnego dla dalszych nauk do Krakowa, a gdy mu wspomniałem, że Stalmach będzie moje miejsce przy Tygodniku zastępować, a że nawet i redakcję chętnie przyjmie — bardzo go to ubodło i powiedział swoje zdanie co do Stalmacha, ale musiał się nareszcie na to zgodzić, bo innego człowieka nie było. Stalmach sam gdzieś w *Gwiazdce* się przyznał, że go do objęcia redakcji zmuszono, a z tego, com tu powiedział, również wynika, że ciągle i na każdym miejscu umieszczane twierdzenia, że on założył Tygodnik (Gwiazdkę), że to przedsięwzięcie jest jego pomysłem i jego zasługą, że on Dra Kluckiego ciągłymi namowami nakłonił, aby zaczął pismo dla naszego ludu wydawać itp. — są jego przechwałkami, i że nie zawierają w sobie żadnej prawdy.

TOWARZYSTWO POLSKIE. Towarzystwo uczących się języka polskiego na ew. gimnazjum w Cieszynie, założone w roku 1847, rozwijało się ciągle, ale bardzo powoli. Zdobyte w drugiej wycieczce do Krakowa książki polskie pomnożyły znacznie naszą bibliotekę, a członkowie radzi korzystali z książek, które choć starszej daty, zawsze dla nich nowymi były. Z zapisanej na początku liczby uczniów pozostało tylko kilkunastu a względnie kilku, którzy uczęszczali pilnie i chętnie się do wszystkiego dokładali. Głównym przedmiotem była gramatyka, wykładu której poświęciło się najwięcej czasu; dalej czytanie autorów polskich piszących prozą, lub poezją, uczenie się na pamięć krótszych lub dłuższych poezyj, prace domowe na dane tematy i spisywanie powieści śląskich, śpiew, przemówienia bez przygotowania itp. Prace pisemne poprawiałem, a na dole zawsze napisałem osobną krytykę. Najdzielniej trzymali się chłopcy naszych rolników, bo język polski, który przynieśli z sobą do szkół, ułatwiał im pracę, inni zaś wiele mieli z językiem do walczenia, mianowicie uczniowie z miast. Lekcje odbywały się w tygodniu dwa razy po godzinie; miejscem zebrań było gimnazjum, w czem nam

* Aby mieć już jakie stanowisko w Cieszynie.

żadnej przeszkody nie robiono. Przedewszystkiem uważaliśmy na to, aby poza szkołą, w domu i wszędzie mówiono po polsku. Gdy tak rok szkolny do końca się zbliżał, postanowiliśmy publiczny egzamin odbyć, aby się każdy mógł o postępach naszych przekonać. Do tego celu dałem wydrukować zaproszenie i rozesłałem takowe profesorom i eforom gimnazjalnym i osobistościom z miasta, sprzyjającym naszej narodowości. Zgoła wszyscy zaproszeni z miasta a między nimi Dr. Klucki, przybyli na egzamen, z profesorów zaś tylko Dr. Plucar, Czech, ale przychylny nam bardzo. Egzamen nie trwał długo, bo chodziło mi tylko o zamanifestowanie na zewnątrz, że towarzystwo polskie między młodzieżą gimnazjalną istnieje i że się rozwija. Naturalnie, że z gimnazjum katolickiego nikt do naszego Towarzystwa nie przystąpił.

WYKŁADY FILOZOFICZNE. Wykłady na wydziale filozoficznym odbywały się zwykłym trybem. Uczęszczaliśmy regularnie na wykłady, ale o właściwej nauce nie wiele da się powiedzieć. Czas wolny przepędzano w kawiarniach, łażeniem po mieście i na komersach. Ja do tego wszystkiego mało czasu miałem, chociaż i tem nie gardziłem. O partji polskiej między słuchaczami filozofji nie mogło być właściwie mowy, bo blisko wszyscy byli Niemcami, to jest mieli się za takowych. Ale charakter niemieckości nie występował ostro, chociaż z początku się na to zanosilo.* Na takich komersach mówili Niemcy i po polsku, i śpiewaliśmy wszyscy razem piosnki, które były w pół polskie, w pół niemieckie. Ja przemieniałem niektóre strofy piosnek burszowskich, dodając tekst polski do niemieckiego lub utworzyłem na znane melodje piosnki, pół polskie i pół niemieckie z tekstem zabawnym. Nie było końca uciecze i radości, gdy na podobne piosnki kolej przysła, Niemcy śpiewali je z takim zapalem, aż im gardła pękały. To miało bardzo dobre następstwa, bo Niemcy i między sobą mówili czasem trochę po polsku, a ze mną

* Jako przykład zgody i tolerancji na polu narodowem przytoczam, że gdy jeden z naszych kolegów, Jerzy Kotula, umarł, i postanowiliśmy iść in corpore z muzyką gimnazjalną na jego pogrzeb do Grodziszczu, a ja miałem mowę pogrzebową trzymać, uchwalono jednomyślnie, abym mowę po polsku trzymał.

bardzo często, pozdrawiali mnie też po polsku i nie było tu mowy o wrodzonej, czyli raczej o wszczepionej nienawiści Niemców do narodowości polskiej, która nienawiść się nam później w Cieszynie tak srodze dała we znaki.

Z profesorów najczęściej lubiliśmy Dra Plucara, który wykładał matematykę i fizykę. Był to człowiek wielkiej nauki, wielkich zdolności, wszechstronnie wykształcony, lubiący młodzież, szkoda, że na naukowej ekskursji przyciągnął sobie chorobę, wskutek której zmarł, zawczasie dla naszego zakładu filozoficznego, a właściwie dla zreorganizowanego gimnazjum.

Nadchodził czas dla studentów całego świata krytyczny, czas egzaminów. Było się więc trzeba do tego aktu przygotować.

Przy różnorodnym zatrudnieniu nie wiele czasu pozostało mi do nauki, lecz byłem pilny, ile mogłem. Nareszcie zdałem egzamin, nie najświetniej, ale zawsze z dobrym postępem. Czy na drugi rok filozofji pojedę do Krakowa, czy też w Cieszynie zostanę, nie wiedziałem jeszcze wtedy, bo nie wiedziałem, czy Stalmach przyjmie redakcję Tygodnika Cieszyńskiego i byłem zdecydowany w razie nieprzyjęcia pozostać drugi rok filozofji w Cieszynie i prowadzić dalej redakcję pisma tego. Zachęciła mnie do udania się do Krakowa oprócz wielu rzeczy i ta okoliczność, że mi z Krakowa dano przyrzeczenie otrzymania znacznego wsparcia podczas nauk, przez co by się zmniejszył ciężar dawania wielkiej liczby lekcji na pokrycie swego utrzymania. Składałem tu najserdeczniejsze dzięki wszystkim tym, którzy się mną opiekowali a przede wszystkim p. Norbertowi Nurkowskiemu (mieszkającemu przy ulicy Wiślniej, który później przeniósł się do Warszawy), który napisał do mnie list do Cieszyna, abym przyjeżdżał do Krakowa na uniwersytet.

Gdy Stalmach po długich wahaniach oświadczył nareszcie, iż przyjmie redakcję Tygodnika Cieszyńskiego, i gdy Dr. Klucki, choć nie bardzo chętnie, zgodził się na tą zmianę, uczulem się wolnym i podróż moja do Krakowa została ostatecznie zadecydowaną. Uczulem się wolnym głównie dlatego, ponieważ miałem różnych prac tak dużo na głowie, że przy najlepszych chęciach nie mogłem

wszystkim podolać, a nawet zdrowie, jak dotąd, nie chciało mi dalej służyć. Gdy rozważę, jak dużo trzeba było pracować, aby zaspokoić wymagania szkoły w pierwszym i drugim roku i aby uzyskać świadectwo z odpowiednim i potrzebnym postępowaniem, gdy rozważę, ile czasu zabrało mi Towarzystwo uczących się języka polskiego na ewang. gimnazjum w Cieszynie, którego twórcą i wyłącznym kierownikiem byłem, gdy rozważę, ile czasu i pracy poświęcić musiałem wydawnictwu *Tygodnika Cieszyńskiego*, a to nie tylko zbieraniu potrzebnego materiału do druku, ale i administracji tegoż, tj. rozsyłkę, przyjmowanie prenumerat, korespondencję, utrzymywanie stosunków z ludem pod względem narodowościowym; gdy nareszcie rozważę, że będąc bez wszelkich zasobów pieniężnych musiałem na moje utrzymanie dawać lekcje prywatne, które niekiedy wynosiły 6 do 7 godzin dziennie, a gdy i to sobie przypominę, że sam brałem lekcje prywatne we francuskim, w muzyce itp., dalej i to, że niejedną godzinę pracowałem w kancelarji Dra Kluckiego i że komersy studenckie zabrały także niejedną chwilę, to dzisiaj nie mogę pojąć, jak ja mogłem wszystkim tym pracom podolać, i gdzie tyle czasu znalazłem, aby wszystkiemu stało się zadosyć. Ale byłem młody, zdrowie też jako tako służyło, pracowałem chętnie, więc praca się darzyła i szła od ręki.

A tak przygotowywałem się pomалу do opuszczenia Cieszyna i zamknięcia czyli ukończenia prac moich i rozwiązania przyjętych na siebie obowiązków. Najtrudniej było z Towarzystwem polskim; nie miałem właściwego zastępcy po sobie, i dlatego poleciłem zbiory, książki i dal-sze prowadzenie nauki najstarszym czyli najstateczniejszym członkom towarzystwa, w nadziei, że Stalmach dopilnuje, aby się towarzystwo utrzymało, a biblioteka się pomnażała. To dopilnowanie atoli nie miało miejsca, jak się o tem z listów, przez członków towarzystwa pisanych do mnie do Krakowa, wielokrotnie przekonałem. Praca bowiem była trudna i mozolna, a wawrzynów mało.

POBYT NA UNIWERSYTECIE KRAKOWSKIM.

Gleichenberg, w czerwcu 1893.

PRZYJAZD DO KRAKOWA. Pożegnałem więc Cieszyn w smutku i strapieniu, bo już jakoś bardzo się do niego przywiązałem. Jechałem z Cieszyna do Bielska przyleżyciostą, tak samo z Bielska do Krakowa, co dosyć dużo zabrało czasu i pieniędzy. Wtedy, jak podczas moich studj w Krakowie, nie było jeszcze kolei, a pocztą niezawsze było dogodnie. Przyjechawszy do Krakowa umieściłem się w kamienicy Filipa (Filipa Schneidra) na ulicy Sławkowskiej w stancji aż na czwartem piętrze. Była to stancyjka na poddaszu, jako dla studenta dosyć wygodna, ale bardzo wietrzna, bo nietylko przez drzwi i okna, ale nawet przez ściany i podłogę wiatr potężnie wiał i często świszcział.

Miałem widok z okna wprawdzie szeroki i daleki, ale nie bardzo zajmujący, bo same dachy różnokształtne i parę kop kominów miałem co dzień przed sobą. W takich tu izdebkach, myślałem sobie, mieszka poezja i literatura. Atoli niedługo tu bawiłem, bo jak zaczęły okna marznąć, a wiatr coraz bardziej świszcział i jęczał — o piecu nie było mowy — musiał mi gospodarz, ów sławny Filip, wyznaczyć odpowiedni na czas zimy pokój i umieścił mię na 3 piętrze. Mój adres więc był: Kraków, ulica Sławkowska Gm. IV. Nr. kam. 440, 3 piętro Nr. stancj 34. — Była to stancyjka nieduża, ale wygodna, z jednem oknem na ulicę Sławkowską, naprzeciw kościoła św. Marka.

Przekonałem się, że przybycie moje do Krakowa (24 października) było za wczesne, bo gdy się w następnych dniach udałem do uniwersytetu, znalazłem same pustki, ani profesorów, ani uczni, ani kartek za kratą, przez które profesorowie zwykle ogłaszali początek swoich wykładów. Jeżeli wykład przedmiotów obowiązkowych spaźniał się

o kilka tygodni, to tem więcej wykład przedmiotów nadobowiązkowych. Dopiero ku końcu listopada zaczęto wykład filozofji, literatury polskiej itp., a ledwo zaczęto wykład, to już myślano o świętach Bożego narodzenia. Z przedmiotów nadobowiązkowych wybrałem sobie biblijografię, gramatykę słowiańską, język rosyjski i rysunki. Zgłaszałem się jeszcze do muzyki i do śpiewu, ale mię z powodu wielkiej liczby uczniów nie przyjęto, i niebardzo grzecznie mię odprawiono. Najlepiej przyjął mię Stadler, dyrektor szkoły malarskiej. Odwiedziwszy go w domu na Wesołej, przyrzekł mi przyjęcie, a gdym na drugi dzień stawilem się w szkole, oprowadzał mię po całej sali, od jednego do drugiego ucznia, opowiadając, co rysuje i jak długo, potem mi pokazał gotowe obrazy, wogóle zajmował się mną jak dobry ojciec synem. Uczęszczałem przez jeden rok na jego lekcje, lecz niebardzo dużo się nauczyłem, bo nie miałem odpowiedniej zdolności i czasu.

NAUKA. Na prelekcje uczęszczałem bardzo pilnie, rzadko kiedy opuściłem wykład, już to i z tego względu, że trzeba było w domu przepisywać, co profesor wykladał, a słuchacze zapisywali lub zanotowali. W żadnym przedmiocie bowiem nie było podręczników, profesor miał swoje utarte skrypta, które na prelekcje z sobą przynosił, i według nich wykladał, t. j. czytał lub dyktował. Na wydziale filozoficznym było jeszcze jako tako z pisaniem, ale na wydziale prawniczym nie było mu końca. Zgoła każdy z profesorów czytał skrypta swoje lub je słuchaczom dyktował. Gdy tak człowiek cztery godziny przed południem a dwie po południu pisał cały wykład, to i ręka zabolala i człowiek się zmęczył i nie był w stanie czegokolwiek z wykładu spamiętać, i to jedyne go pocieszało, że będzie mógł w domu lub później do egzaminu wykład ze skryptów odczytać; już największą niedorzecznością było dyktowanie statystyki i całego legjonu liczb, które w każdej książce można znaleźć, a które zresztą co chwila się zmieniają. Moje skrypta utrzymywałem w porządku i czystości, i kazałem je nawet oprawić. Wędrowały one często pomiędzy kolegami moimi, mianowicie przed zdawaniem egzaminów. Nawet profesor prawa karnego wypożyczył sobie ode mnie skrypta prof. Helcla *monumenta juris polonici*, bo snadź po usunięciu

Helcla z katedry miał on prawo polskie wykładać (dotąd zostają te skrypta na pożyczkach, część zaginęła między kolegami, posiadam tylko jeszcze siedem oprawnych tomów dosyć grubych, które mi świadczą o mojej pilności. Chciałbym je komu darować, najraczej bibliotece akademików w Krakowie, aby tam świadczyły, jak przed 50 laty na uniwersytecie wykładano). Podczas mojego pięciolecia w Krakowie wykładane były wszystkie przedmioty po polsku, tylko żyjący jeszcze prof. Fierich wykładał administrację po niemiecku. Później to się zmieniło, i zaczęto wskutek wyższego polecenia wykłady w języku niemieckim.

DYMISJA PROFESORÓW. Przygotowawczym krokiem do tej zmiany była dymisja kilku profesorów, którą otrzymali dnia 1 stycznia 1853. Profesorami tymi byli: profesor geografii Pol, profesor filologii Małecki z wydziału filozoficznego, a prof. Helcel, wykładający prawo polskie i Zielonacki, profesor prawa rzymskiego z wydziału prawniczego. Profesurę geografii całkiem zniesiono, zaś inne obsadzono profesorami z nazwiskami niemieckimi. Najbardziej żałowaliśmy prof. Helcla; poświęcał on się całe życie swojemu przedmiotowi iłożył swój majątek na bibliotekę, wykład jego był bardzo zajmujący. Drugiego Helcla na tę posadę nie znajduję. Pod względem materialnym żałowałem najwięcej prof. Pola. Katedra geografii była jedynym źródłem jego dochodów, z których miał wyżywić liczną, nieletnią jeszcze familję. O zasobach majątkowych nie było tu mowy, owszem różne go długi gniotły. Wszyscy czterej profesorowie byli dobrymi Polakami, należeli do najzdatniejszych i najbardziej lubionych profesorów.

NAPOMNIENIE DLA AKADEMIKÓW. Rząd naturalnie nie poprzestał na tym jednym kroku, opiekował on się dalej uniwersytetem, bo i akademikom dostało się, jak to mówią, po fraku. A tak np. dnia 5 marca 1853 zwołał kurator (bo rektorat skasowano) uniwersytetu wszystkich akademików o godzinie 6 wieczór do Lektorium I. Akademicy wszyscy, ciekawi, co to będzie, zbrali się o wyznaczonej godzinie. Wszedł kurator a za nim dziekani i profesorowie gęsiego, co bardzo długo trwało. Nie czekając, aż wszystko

będzie w porządku, przemówił kurator (Bartynowski, prezes sądu wyższego) głosem cichym: Przychodzimy wam dać ojcowskie przestrogi i napomnienia! poczem Walewski (prof. historii) wszedł na katedrę, wyjął papier z pod pachy i zaczął czytać: Doszło do uszu władz politycznych i akademickich (więc i te ostatnie miały uszy), że akademicy uczęszczają na miejsca nieprzyzwoite, i wdają się w politykę nieprzychylną rządowi, gadają z ludźmi niższej kondycji i klasą nieoświeconą o polityce i tworzą kluby po miejscach publicznych, gdzie bądź dla potrzeby, bądź dla zabawy uczęszczają. Otóż nie trzeba się wdawać w politykę antyrządową, lecz oświecać raczej zapaleńców i przewrotne głowy, najmniej zaś mieć z demokracją do czynienia, która raz na zawsze jest zgubną dla państwa, gdyż wszystkie żywioły towarzyskie rozpręża i podkopuje. Potrzeba słabszych kolegów oświecać i na prawą drogę, czy prośbą, czy groźbą naprowadzać. Skończył i poszliśmy wszyscy do domu. Była to dla nas wielka niespodzianka, bo akademikom ani się śniło jakkolwiek politykę prowadzić, bo do tego przedewszystkiem czasu nie było. Więcej jak $\frac{3}{4}$ akademików utrzymuje się z lekcyj, niema więc czasu smykać się po miejscach publicznych i politykować, a jeżeli od lekcyj i prelekcyj trochę czasu zbędzie, to trzeba je naukom poświęcić. Zresztą była w roku 1848 bardzo dobra sposobność do politykowania, a młodzież się w to nie wdawała. Zamiast bronić akademików wmawiali profesorowie w nich niegodziwe czyny, a przeto dopomogli do podkopania dobrego imienia akademików i sławy uniwersytetu. Sprężyny takiego postępowania z akademikami są te same, co dymisjonowania czterech najzdatniejszych profesorów uniwersytetu. Jako epilog tych ojcowskich przestróg odbyło się kilka rewizyj domowych u akademików, ale wszędzie znaleziono tylko biedę i nędzę, nic innego.

PIERWSZY AKADEMIK ZE ŚLĄSKA 1848. Ja byłem pierwszy ze Ślązaków, którzy się udali na uniwersytet do Krakowa. Czy przede mną był jaki Ślązak na uniwersytecie w Krakowie, nie mogłem wyszperać. Być może, że byli kiedyś przede mną akademicy, urodzeni na Śląsku, którzy się przenieśli z rodzicami do Polski, i po skończonych tamże studjach gimnazjalnych udali się na uniwersytet kra-

kowski. Ale żeby który wprost po ukończeniu szkół cieszyńskich udał się do Krakowa, trudno przypuścić. Bo Kraków był do roku 1846 (do tak zwanej rabacji galicyjskiej) niepodległy i neutralny, był tedy dla nas zagranicą, a zagranica była wtenczas coś innego, jak dzisiaj. Wogóle o Polsce nic a nic nie wiedzieliśmy, ani ze szkół, gdzie nawet geografji i historii odnośnej nie uczono, ani z życia publicznego, które było martwym, ani z gazet, których nie było, a dlatego nas też do Polaków nic nie ciągnęło. Tak np. gdy Jan Bujak, Wiślanin, po ukończonym kursie filozoficznym na Węgrzech udał się do Lwowa na wydział prawniczy 1846, nasz świat (niemiecki — polskiego jeszcze nie było) nie mógł pojąć i wydziwić się, co też to Bujaka spowodowało, że poszedł do Lwowa a nie do Wiednia, i długo, długo nie mogli ludzie o takiej odwadze czy zuchwałości zapomnieć, i wspominali to jako wielką raritas. I o mnie się wiele nadziwiono i nagadano, że poszedłem do Krakowa, gdyż tam była przed dwoma laty, 1846, rewolucja, gdyż tam od nas nikt nie idzie itp. Ale ja nie dbałem wiele o gadaniny niemieckie, owszem chciałem jeszcze kilku kolegów z sobą zwerbować, co mi się jednak nie udało. Tylko jeden jedyny Jan Fox z Nierodzimia, ukończywszy filozofję w Pradze przyszedł ze mną, i było nas dwóch Ślązaków w Krakowie. Niestety pobyt jego w Krakowie nie był długi, bo wywichnąwszy nogę przy pożarze miasta Krakowa (18-go lipca 1850) chorował i w domu i w klinice i umarł w kwietniu 1851 r. Dziś, po latach 40 zgórą, nie mogę odżałować wielkiej straty, której doznałem i którą kraj nasz poniósł przez śmierć jego. Należał on pomimo młodych lat do ludzi gruntownej wszechstronnej nauki, wielkich zdolności, przywiązany do swego ludu, któremu był dziś przewodniczył. Spoczywa w ziemi rodzinnej, przy kościółku nierodzimskim.

Dalsze moje starania o skierowanie Ślązaków do Krakowa pozostały bezskuteczne, a tak np. Jan Santarius, obecnie notariusz w Boguminie (zmarł 21 czerwca 1895, w wieku lat 65), pisał mi pod datą 7 października 1851, że nie przyjedzie do Krakowa, ale pojedzie do Wiednia, bo tak sobie ojciec życzy i zmusza go do Wiednia (co oczywiście nieprawda). Należał on w r. 1847/48 do towarzystwa uczą-

cych się języka polskiego na ewang. gimnazjum w Cieszynie, i szkoda mojej pracy, którą sobie z nim zadałem, aby go po polsku nauczyć, bo został Niemcem i ludowi nieprzychylnym. I inni nie dotrzymali mi słowa, chociaż im złote góry obiecywałem. Teraz pod tym względem daleko lepiej, bo dosyć liczny zastęp Ślązaków znajduje się na uniwersytecie krakowskim, a jeżeli pójdą za moim przykładem i osiedlą między swoim ludem, to już sprawa narodowa będzie lepiej stać, jak dzisiaj stoi.

MOJE ZNAJOMOŚCI. Chociaż nigdzie się nie wciskałem i byłem skromny, niepokazny, to przecież miałem jakie takie wzięcie w Krakowie. Znajomości, jakie większą częścią przypadkowi zawdzięczam, były dla mnie zawsze zaszczytne. Pierwsza i najstarsza znajomość była Lenartowicza, poety i artysty, który przed parę laty umarł i przewieziony z Włoch do Krakowa i pochowany został w grobach zasłużonych na Skałce. Bywałem u niego, chociaż niebardzo często, bo chciałem się od niego nauczyć Pegaza dosiadać i żyłkę poetycką wykształcić i w pewne formy wdroyć. Nazywał mię on kochanym bratem, kolegą, przyjacielem i chciał nawzajem też tak nazywanym być przeze mnie. — Adam Górczyński, właściciel dóbr, poeta, powieściopisarz i malarz, miał kamienicę na ul. Florjańskiej. Była to z Cieszyna znajomość, jeżeli ją tak nazwać można, bo tu podczas rozruchów galicyjskich (1846) bawił. Był to człowiek przychylny, dobry, miły, chociaż nieco drażliwy; żona jego zaś była dumna, poważna. — Jerzmanowski, prywatysta na Podgórzu, później sekretarz tow. rolniczego krakowskiego, miał liczną bibliotekę, zakupywaną zwykle u żydów. Miewałem od niego książki do czytania, a nawet do naszej biblioteki cieszyńskiej niektóre darował. Bywał często u mnie. Najwięcej obejścia miałem z Polem, poetą, a jakiś czas profesorem uniwersytetu, który ku końcu życia swego zaniewidział i pochowany został na Skałce. O nim jeszcze później. O innych znajomościach nie będę wspominał, bo te były większą częścią pobieżne i chwilowe. Do przyjemności moich w Krakowie należały koncerty różnego rodzaju. Słyszałem tu gitarzystę Szczepanowskiego, fortepianistę Kątskiego, skrzypka Wieniawskiego i innych. Bywałem także w teatrze, mianowicie w ostatnich

dwóch latach pobytu mego w Krakowie, gdyż i środki wystarczały na tę przyjemność.

I wycieczki na małą skalę w obecności dwóch lub trzech kolegów odbywały się podczas lata w dni pogodne: do Górki Narodowej, na Wołą, do Panieńskich Skał, na Bielany, do Krzeszowic. — Najprzyjemniejszymi wycieczkami były do Bierzanowa. Tamże był rządcą ekonomicznym kolega Stonawski z gimnazjum cieszyńskiego. Dopóki Fox żył, jeździliśmy razem, po jego zgonie ja sam. Zwykle posyłał konie do Krakowa w sobotę — a w niedzielę powracaliśmy do książek. W domu raczył nas śląskimi potrawami: mleko, kiszka, placek, prażonki, a cośmy najwięcej lubili — kapustę, po śląsku gotowaną. Dzień spędziliśmy jazdą konną lub polowaniem wodnym, lub też jaką dalszą wycieczką. Natomiast Stonawski często przyjeżdżał do Krakowa i w takim razie zawsześmy się widywali. Niestety nie zestarzał się Stonawski i w kilka lat po skończeniu moich nauk w Krakowie umarł, jako kawaler.

ZAJĘCIE W DOMU. I w domu umiałem sobie uprzyjemnić niejedną chwilę. Zwykle gdy powróciłem z prelekcji, gdzie było trzeba ciągle pisać i pisać, zasiadałem do książek, raczej skryptów, aby je przeczytać i gdzie niegdzie poprawić. Potem zasiadałem do fortepianu lub fletu, lub też gitary, na których wszystkich niewiele umiałem, bo byłem wszędzie samoukiem. Fortepian był z daty dawnych czasów, w kształcie podłużnego stołu, o czterech nogach, wypożyczany za kilka złotych miesięcznie od Häuslera z Florjańskiej ulicy, prawdziwy *klimperkasten*, z jakimby się już trudno było na świecie spotkać, ale dla studenta wystarczał, aby zagrać krakowiaka lub wtórować do jakiej piosnki. A gdy się dosyć nagrałem i naśpiewałem, zabrałem się do napisania jakiego wiersza z rzeczywistości lub ze świata marzeń, lub jakiej ustawy, naturalnie treści zabawnej. Jakiś czas zaprzęta mi Skoczowianie głowę, o których już w dzieciennych latach różne dykteryjki słyszałem, tak np. że nie mają za co mięsa kupić i jedzą na obiad kiszkę (kwaśne mleko) ze ziemniakami, jak to bywa na wsi. Ale aby pokazać światu, że jedli na obiad mięso, wychodzą przed domy a opierając się o ścianę, dłubają w zębach z dzieblem, aby każdy myślał, że rzeczywiście

mięso na obiad jedli, a nie, jak chłopci, ziemniaki i mleko.
Z tej przyczyny napisałem wierszyk:

Skoczowscy mieszczenie — tak się nadymają,
Po obiedzie z kiszki — zęby wypychają.
Mają też biliard — ze trzema kulami,
A czem je szturchają? — od pieca widłami...

Napisałem też dla nich ustawę o polowaniu i przywilej żeglugi na Wiśle pod Skoczowem. — Napisałem także ustawę o paragrafach i Kionomachję w sześciu pieśniach itp. Wszystkie te pisaniny nie mają żadnej wartości, pisałem je, aby się po pracy naukowej rozerwać, a tu wspominał o tym tylko dlatego, aby pokazać, że lubiłem raczej siedzieć przy książce lub piórze, jak po mieście bąki zbijać.

POŻAR. Muszę tu także wspomnieć o pożarze, który dnia 18 lipca 1850 Kraków nawiedził. Byłem u pp. Nurkowskich na ulicy Wiślnej i mieliśmy o godzinie pierwszej zasiadać właśnie do obiadu, gdy strażnik z Marjackiej wieży dał znak, że się pali, że się palą Młyny. Na to hasło rozbiegliśmy się wszyscy, ja zdążyłem do mego pomieszczenia, wrzuciłem wszystkie moje manatki do kufra, a zamknąwszy go poleciałem znów na Wiślną ulicę. Wybiegłem po schodach aż na strych — i zdjawszy boty i surdut wylazłem otworem w dachu, tak zwanym dymnikiem, na dach a stamtąd wydrapałem się w górę, aż na kalenicę. Gdy się stamtąd popatrzyłem nadół, aż mrowie mię przejęło, widząc jak bardzo spadzisty jest dach i jak łatwo mogłem z dachu gontowego nadół zjechać i spaść na ulicę. Zaczęła się palić ulica Gołębia i kościół grecki, a za chwilę dopiero przeniósł się ogień na dom „pod zajęczkiem“ i dom Wąsowiczowej na ulicy Wiślnej. Jak łatwo to było wtedy troszką wody zagasić pierwszy żar, ale o dachach nikt nie pamiętał. Za krótki czas przyszło kilku ludzi pracujących w domu do mnie, zrobiwszy kilka otworów w dachu, zajęli tamże miejsca i zlewali dach dostarczoną czyli noszoną w konwiach wodą. Wkrótce zagarnął pożar całą ulicę Wiślną po lewej ręce i ulicę Gołębią, a na dachu, gdzie byłem, takie gorąco panowało, że co chwila musiałem sobie ręce, twarz i nogi zimną wodą polewać. Stanowisko było bardzo ważne, bo gdyby dom, gdzie byłem, nie był został uratowany, toby

cały uniwersytet i biblioteka, które i tak były bardzo zagrożone, były poszły z dymem, a ogieńby się był zbliżył do ulicy św. Anny, a raczej do kościoła św. Anny i pałacu Potockiego i byłaby się ta część od gorąca i polotnego ognia zajęła. Nas bronił wielce dom narożny przy uplicy Wiślniej i Gołębiej, w którym się wtedy urząd podatkowy znajdował, dom pokryty blachą, zlewaną przez licznych ludzi, będących na dachu, wodą. O ratunku, o sikawkach lub dostarczeniu wody nie było mowy. Wytrwałem w tej pozycji na dachu o głodzie, chociaż nie o wodzie aż do godziny 8 wieczór. Wracając z dachu na dół, nie mogłem odszukać botów i surduta i przychodziło iść boso do domu, aż nareszcie zjawił się stróż kamieniczny i przyniósł mi boty i surdut z piwnicy, gdzie je był ukrył. Spaliło się cztery kościoły, między niemi dwa największe i najozdobniejsze, tj. Dominikański i Franciszkański — i przeszło sto kamienic. Pożar wewnątrz spalonych kamienic trwał jeszcze kilka dni, bo w niektórych wszystkie piętra i piwnice się paliły. Przechodząc na drugi dzień Plantami, można było widzieć niezliczone kupy rozmaitych mebli, sprzętów, które uboższa klasa z pożaru wyratowała, a przy nich mnóstwo ludzi lamentujących nad nieszczęściem, które ich spotkało.

DOM HR. DZIEDUSZYCKIEGO. Jednego razu zapytał mię prof. Wincenty Pol, czybym nie przyjął od przyszłych wakacyj guwernerki w domu Eugenjusza hr. Dzieduszyckiego; że jeżeli przyjmę postara się o przeprowadzenie tej sprawy. Gdy się za przyjęciem oświadczyłem, nie trwały długo rokowania i przyjęty zostałem. Była to dla mnie bardzo ważna rzecz, bo z jednej strony miałem zapewniony byt, a z drugiej strony miałem sposobność poznania trochę świata wyższego, przyswojenia sobie oglady towarzyskiej i pewnych form, przestrzeganych przez ludzi liczących się do wyższych stanów. Gdy porównywałem prowadzone dotąd w Cieszynie i w Krakowie życie studenckie, uganianie się za kawałkiem chleba, za lekcjami, za stypendjami, burkarnem i innymi materjalnymi wsparciami — z przyszłością, to mi się przyszłe życie przedstawiało nader różowo, bo mi nadawało sposobność poświęcenia więcej czasu naukom, obejście z osobami wykształconemi i poznania ludzi z wyższego towarzystwa.

W październiku 1851 objąłem mój nowy zawód. Byłem towarzyszem Mieczysława Dzieduszyckiego, syna, miałem z nim razem uczęszczać na wydział prawny, na którym był jako *benevolus* zapisany, pomagać mu w naukach i ćwiczyć go w łacinie. Oprócz tego miałem udzielać lekcyj 14-letniej hrabiance Helenie, w historii, geografii, niemieckiem itp. Wszystkiego tego dopełniałem sumiennie i pilnie. Mieczysław był blisko o głowę wyższy ode mnie, rosły, gładki mężczyzna, lubiący wszystko, co piękne i nadobne, miłośnik poezji i pisania wierszy, a w tym ostatnim kierunku miałem działać, aby był więcej naukowo jak poetycznie zatrudniony. Młoda hrabianka, wysmukła, miła, ładna, raczej piękna, uczyła się pilnie i robiła znaczne postępy w naukach. Stary hrabia trochę chorowity, dobry, życzliwy, hrabina jeszcze młoda, bardzo przystojna — ot i to było moje otoczenie. Miałem więc w tym domu życie bardzo przyjemne i wygodne. Dom i ogród hrabiego był na Wesołej i graniczył z ogrodem botanicznym, był więc duży spacer do miasta i do uniwersytetu; niestety że bruk czyli trotoar prowadzący koło domów był bardzo lichy i utrudniał tak daleką przeprawę, którą było trzeba dwa razy na dzień przebywać! Zato ogród, to prawdziwe cacko — na wiosnę to raj. Miał on kształt podłużny, był obwiedzony z dwóch stron murami a z trzeciej rzeczką i składał się z trzech podnieśń (kondygnacyj). W najniższej położonej były dwa stawy, połączone mostem, na większym z nich znajdowała się wyspa, połączona promem ze stałym lądem. Gdy słońce oświeciło kwitnące drzewa i krzaki, a gdy śpiew słowików z tego i z przybocznych ogrodów rozlegał się szeroko, to człowiek tu chętnie pobawił i podziwiał uroczosć tego zakątka, z którego można było widzieć wieżę kościoła P. Marji, mogiłę Krakusa i daleko, daleko, śnieżne Tatry.

W domu Dzieduszyckich bywały częste odwiedziny, zebrania, a w karnawał zabawy — i kulig się znalazł. Najczęściej gościem bywał Wincenty Pol. Rozgovor jego był zajmujący i bawiący. Jakiś czas na każdych odwiedzinach odczytywał swego *Mohorta*, który był już skończony i tylko go gdzieniegdzie gładził. Ja byłem treścią jego zachwycony i posiadałem dużo ustępów z niego, które sobie tak często odczytywałem, że je już aż napamięć umiałem. Po Mohor-

cie, który niezadługo poszedł do druku, odczytywał Pol swoją *Zgodę senatorską*, ale z niej nie zapamiętałem sobie już tyle miejsc, co z Mohorta.

Częstym gościem bywał także p. Szyryn, szlachcic i właściciel dóbr z ostatnich krańców Galicji. Kupił on sobie pałac na Wesolej (teraz kolej zabrała część ogrodu), ale ponieważ pałac był ruderą i groził wewnętrznem runięciem, mieszkał w obszernych oficynach. Był to jedyny szlachcic, który się ubierał po polsku, nosił pas i konfederatkę, a na ten czas było to rzeczą niebezpieczną, bo się za takie wybryki dostawało do kozy. Był on po wejrzaniu ponury, ale gdy otworzył usta, posypały się żarciki i różne facecje. Był też nawet do pewnego stopnia dziecinny, jeżeli nie dziwaczny. Skupował on a nawet sprowadzał wszystkie igraszki i zabawki dla małych dzieci. Gdy otworzył swoje pokoje, składy i magazyny, to się przedstawiał cały bazar przedmiotów nowych, pstro barwnych, a wszystko igraszki. Było ich tak kilka tysięcy, a ciągle kupował i sprowadzał nowe. Bardzo lubił pokazywać cacka i objaśniać je, i był kontent, gdy się widzowie śmiali, bo i on się śmiał. Tysiące złotych włożył w ten towar, który nie przedstawiał żadnej wartości. Kiedy nieraz odwiedziłem go, a gdyśmy poszli do miasta, oglądałem się w prawo i w lewo, czy gdzie nie czatuje policjant na mnie, aby mię zaprowadzić do kozy za to, że się wdaję z ludźmi, niebezpiecznemi dla całości państwa austriackiego. Taki duch wiał w owych czasach.

Bywała w domu szlachta Nieliteracka i literacka, — Górczyński, był na wieczorku malarz Suchodolski, był także młody Grotger, chłopaczek dziesięcioletni, który się odznaczał rysunkami i każde zadanie wykonał jak najlepiej, a tak gdy hrabia powiedział mu: teraz narysuj konie wierzgające, za chwilę widać było na papierze kilka koni wierzgających w różnych pozycjach. Może to był ten sam Grotger, który wykształcił się na wielkiego artystę.

Mieszkałem z moim kolegą w oficynie. Pomału zrozumieliśmy się i przyglnęliśmy do siebie. Byliśmy obaj pilni i w dzień zajęci, ale gdy nadeszła szara godzinka, nastąpiła też pogadanka, a jako młodzi ludzie, każdy się spowiadał ze swoich uczuć, rozsnuwał swoje plany i projekta i podawał sposoby, jakoby ten świat uszczęśliwić, i podnieść go

do oświaty i dobrobytu, a przedewszystkiem jakoby sobie samemu, czyli mówiąc poprostu jakoby Polsce przyjsć w pomoc. Najulubieńszym przedmiotem naszej pogadanki był nasz Śląsk. Obznajomiłem go obszernie i gruntownie z całym jego położeniem, z krzywdą, którą znosi, z niebezpieczeństwami, które mu grożą, i radziłem, jakoby tu chociaż pomału, ale skutecznie pomagać. I nie było to bezpożyteczne, bo Mieczysław przylgnął sercem i duszą do Śląska, i przyobiecał mieć pamięć o nim całe swoje życie. Podobnie jak tu, apostołowałem i na innych miejscach, apostołowałem całe moje życie — z różnem powodzeniem, ale jak się już teraz i później pokazało, nie znalazłem nigdy i nigdzie wdzięczniejszego ucznia od niego. I gdy opuściłem Kraków, a on także udał się do swoich dóbr Korniowa na Pokuciu, utrzymywaliśmy ten stosunek pomiędzy sobą, a on narazie zaczął się zajmować *Gwiazdką Cieszyńską*, a pomału też naszymi towarzystwami, co poświadczają liczne jego do mnie pisane listy. Niestety śmierć zabrała go zawczasem i przecięła pasmo jego prac i myśli około naszego odrodzenia. Niech mu będzie ziemia lekka. Dotrzymał swego przyrzeczenia, że całe życie będzie o Śląsku pamiętał.

WYCIECZKA DO SZCZAWNICY. Ku końcu lipca 1852, gdy się nam wakacje rozpoczęły, zrobiliśmy wycieczkę do Szczawnicy. Wtedy nie było kolei, a więc podróż odbywała się wozem. Hrabina z dwoma córkami jechała w kolesie zaprzęgniętej czterema góralskimi konikami, ja zaś z Mieczkiem na bryczce, zaprzęgniętej parą dziarskich koni. Czas był piękny, jasny, ciepły, a człowiek nie mógł się nacieszyć romantyczną okolicą. Jadąc przez Sącz i górę Obidową, stanęliśmy na drugi dzień na miejscu. Towarzystwo już dosyć było liczne w Szczawnicy. Ja garnąłem się zaraz do źródła Józefinki, którą mi Dr. Woźniakowski w Krakowie był polecił. Ze Szczawnicy robiliśmy rozmaite wycieczki: na Siodelko, do Aksamitki z trzema ciekawymi grotami, do Pionin i Czerwonego Klasztoru, która to wycieczka należy do najpiękniejszych w świecie. Zrobiliśmy także wycieczkę do Szmeksu, gdzie nasze towarzystwo, składające się z 20 osób, oczekiwane było przez Węgrów, czyli kąpielarzy szmeksowych. Węgrzy nie mogli się naszem przyby-

ciem nacieszyć i dali na nasze uczczenie bal, chociaż był piątek, który jedyny w tygodni był wolny od zabaw tanecznych. Stamtąd zrobiliśmy wycieczki: do Kolbacherthal (skąd przywiozłem sobie szyszek kosodrzewiny, które jeszcze przechowuję), a na drugi dzień udaliśmy się konno do doliny Felka, gdzie nas gwałtowny deszcz przetrzepał. Pożegnawszy się z Węgrami zdążyliśmy przez Kesmark zpowrotem do Szczawnicy. Państwo pojechali wkrótce do Krakowa, ja zaś pozostałem jeszcze aż do końca miesiąca sierpnia w Szczawnicy, skąd w innym szczupłym towarzystwie zrobiłem wycieczkę do Morskiego Oka (gdzie zastałem Pola i innych profesorów z sześćdziesięciu akademikami), do Czarnego Stawu, do Pięciustawów. Dla pamięci sporządziłem dla siebie opis tych wycieczek. Na końcu sierpnia powróciłem z malarzem Coghenem z Szczawnicy do Krakowa i udałem się do Cieszyna, aby resztę wakacyj na Śląsku spędzić.

MOJE PIERWSZE POMIESZKANIE. Muszę tu jeszcze wrócić do stancjki, pierwotnie przeze mnie zamieszkiwanej w domu Filipa, na ulicy Sławkowskiej naprzeciw kościoła św. Marka. Od ulicy był na ścianie kościoła Zbawiciel na krzyżu, obok po obu stronach malowidła, wieczorem oświetlone wielką latarnią. Ile razy wyjrzałem z okna, musiałem się gniewać. Siadały bowiem przed figurą trzy stare, plugawe, brzydkie babska, a odbierały jałmużnę od przechodzących. Dawali nietylko wieśniacy, ale i mieszczaństwo, panowie i panie, a baby obiecywały, że się będą za nich modlić. Gdy kto nadchodził, baby do różańca, do wzdychań i modlitw, a gdy przeszedł, to sobie gadu, gadu, i często żeby się były pobily. Gdy śnieg stajał, zaczęły się śpiewy, raczej ryczenia, wieczorem i trwały do nocy. Nie były to nabożeństwa, tak zwane majowe, bo się odbywały od wiosny do jesieni. Ten śpiew, równający się śpiewu księży, gdy ich jest kupa i wszyscy zaczął śpiewać, powtarzany codzień i przez kilka miesięcy, może człowieka o rozum przyprowadzić. To mi też było niejednym raz przeszkodą w naukach. Gdy było pewnem, że wejdę do domu hr. Dzieduszyckich, wypowiedziałem moje pomieszkowanie pod Nr. 34 na 3 piętrze, w którym przez trzy lata mieszkałem. Gdy nie zostałem na czas oznaczony przyjętym, musiałem kilka tygodni

prywatyzować i dano mi stancyjkę w tejże samej kamienicy na 2 piętrze od podworca. Ale tu wpadłem z deszczu pod rynnę. Pół kopy dzieci wyprawiają nieustannie na ganku przed moimi oknami krzyki, hałasy, cały ganek to ich ujeżdżalnia, podobny szereg jest psów i kotów, które wyprawiają gonitwy i gryzą się i zanieczyszczają cały ganek. Poprzed moje okna prowadzi gankiem droga do pewnego miejsca, i tu odbywa się z drugiego i trzeciego piętra przez cały dzień wędrowka, pobudzająca czasem do śmiechu, zresztą niebardzo przyjemna. W podworcu samem kupa kur, gęsi i kaczek, każde po swojemu gdacząc, a na domiar wszystkiego z tuzin piekarczyków nagich, brudnych, przesuających się po podworcu. Wprawdzie, że nieraz wspomniałem sobie mój pokój na 3 piętrze, gdzie mi lepiej było, ale i ta męka niedługo potrwała.

ŻYCIE KOLEŻEŃSKIE. Akademicy uczęszczali wprawdzie regularnie na kolegja, pisali i uczyli się, ale tylko podczas godzin uniwersyteckich można się było widzieć z nimi. Po ukończonych prelekcjach każdy śpieszył do domu i przez resztę dnia już prawie żadnego z nich nie było można napotkać. O towarzystwach, bractwach, burszostwach itp., jakie to na innych, mianowicie niemieckich uniwersytetach napotkać można, to w Krakowie nie było mowy, nawet przez cały ciąg pobytu mego w Krakowie nikt o nich nie wspomniał. Nawet o komersach, które na innych uniwersytetach, a nawet po gimnazjach się odbywają, nie było mowy, i ani jednego razu na podobnym komersie w Krakowie nie byłem. Życie koleżeńskie zupełnie tu obumarło. Tylko na początku wykładów potworzyły się niekiedy komitety, które chciały zaproponować profesorom inny rozkład godzin, i te komitety się długo jeszcze po rozpoczęciu wykładów pomiędzy sobą, niekiedy nawet zawzięcie kłóciły, ale zwykle nie zapadła żadna uchwała, bo każdy miał swoje weto, i zwykle pozostało przy rozkładzie przez profesorów ustanowionym.

W roku 1851/52 zanosilo się wprawdzie na utworzenie „Towarzystwa prawniczego, celem kształcenia się w różnych gałęziach prawa“, a mnie polecono, abym odpowiedni statut wypracował. Statut wypracowałem, ale zdaje się, nikt nad nim nie debatował, bo w koncepcie nie widać po-

prawek i uzupełnień i cała sprawa jeszcze przed porodem umarła. Jedna jedyna rzecz, co nas poza uniwersytetem trochę wiązała, była biblioteka słuchaczy prawa, założona w roku 1851, głównie z pozostałych pieniędzy z balu akademickiego. Biblioteką tą, która na końcu roku 1851/52 liczyła 74 tomów i broszur 16, zarządzał wydział, wybrany pod przewodnictwem prof. Dunajewskiego, składający się z pięciu członków, między którymi i ja wybrany zostałem. Jako prezes wydziału zwołałem po upływie roku, tj. dnia 15 lutego 1852 r. wydział celem sprawozdania — ale zdaje się, że nikt na to posiedzenie nie przyszedł. Atoli biblioteka prawnicza istnieje dotąd i znacznie się pomnożyła, a w roku 1891 obchodziła nawet 40-letni jubileusz, na który też zaproszony zostałem, ale nie mogłem przybyć, bom bawił w Zakopanem, a zaproszenie nawet za późno odebrałem.

Zresztą prowadzili akademicy życie bardzo przyzwoite i przykładne, nigdy nie było słyszeć o jakich burdach wewnątrz lub zewnątrz uniwersytetu. Ja przez cały czas pobytu mego w Krakowie nie widziałem ani jednego opilego lub podchmielonego akademika na ulicy.

Między różnymi językami, które wykładano na uniwersytecie, był także język rosyjski, a jego profesorem H. Macherzyński. Na początku roku zapisywało się zwykle koło 10 uczni na wykłady, z czego profesor oczywiście był bardzo kontent, ale nie wszyscy mieli równą wytrwałość. Z początku przychodziło ich kilku, potem mniej, a nareszcie ja sam zostałem. I tak się działo przez wszystkie trzy lata, przez które na język rosyjski uczęszczałem. Profesor i ja, czyli ja i profesor stanowiliśmy całe kolegium, a gdy nieprzewidzianym przypadkiem na lekcję nie przyszedłem, musiał i p. profesor odczytu zaniechać i pójść sobie z Bogiem do domu, na co się bynajmniej nie gniewał. W lecie chodziliśmy zawsze na przechadzkę, a ja uczyłem się praktycznie (do czego się profesor dotąd nie chciał zastosować, bo jakoś nie mówił biegle). Ale jak już mówił, tak już mówił, ale przecież mówił.

W ostatnich dwóch latach brałem także lekcje fechtunku i tańców. W fechtunku robiłem znaczne postępy, tak, że nauczyciel nasz, stary ówik Starzewski, nad moją zręcznością się dziwił. Pobić przeciwnika do szczętu było

dla mnie łatwą rzeczą. Zato w tańcach niedaleko zaszedłem, a z wszystkich tańców najgorzej mazura tańczyłem.

PAMIĘĆ O ŚLĄSKU. I nasz ukochany Śląsk miałem przez cały czas mego pobytu w Krakowie na pamięci. Już to, jak wspomniałem, zachęcając młodzież, aby szła na uniwersytet krakowski do dalszych nauk, zaś młodzież pozostającą jeszcze w Cieszynie, aby starała się podierać towarzystwo uczących się języka polskiego na ewang. gimnazjum w Cieszynie, budować się w duchu narodowym i zachęcać młodszych do uczenia się po polsku. W tym celu pisywałem do młodzieży częste listy i odbierałem sprawozdania.

ZBIERANIE KSIĄŻEK. Bardzo starałem się o pomnożenie założonej tamże biblioteki polskimi książkami i każdy rok, jadąc na wakacje do Cieszyna, przywiozłem z sobą mniejszy lub większy stos książek. Zbieranie książek było bardzo trudne i mozolne, trzeba było apelować kilka razy do osób o jaką książkę, a jeżeli nareszcie osiągnąłem cel, to ofiarowana książka bardzo małą miała wartość dla naszej młodzieży. Darujący dał, aby się natręta pozbył i aby się pozbył książki bez wartości.

W roku 1851 pod dniem 22 czerwca wystosowałem podanie do grona profesorów wydziału filozoficznego z prośbą, aby raczyli bibliotekę naszą swojemi własnymi lub też innemi dziełami pomnożyć i innych obywateli do dania książek zachęcić. Na to podanie nie odebrałem żadnej odpowiedzi, i żadnych książek mi nie nadesłano. Gdy nie mogłem nic nazbierać, to dałem z mojej biblioteki lub też zakupiłem u żydów i przywiozłem do Cieszyna tak np. w roku 1851, jak zapis opiewa, dałem z mojego 15 książek, prawda niewielkiej wartości, ale dla ubogiego studenta było to zawsze ofiarą.

GWIAZDKA. Miałem także staranie o *Gwiazdkę*. Stałmach przysyłał mi prawie co tydzień listy, w których ciągle burzy, abym się starał o artykuły u różnych osób i abym sam pisał — i abym zbierał prenumeraty. Nadto odbierałem od niego i od innych osób różne zlecenia, to postaranie się o sztuczki teatralne polskie dla amatorów, i zakupywał takowe lub przepisywał, abym dostarczał nut do rozmaitych śpiewek, abym się postarał o ubiory do sztuk teatral-

nych itp. Sprawiało mi to przyjemność załatwiać podobne zlecenia, ale niekiedy było mi tego nawet za wiele, bo za jedną drobnostką trzeba było niekiedy kilka razy, a nawet i bezskutecznie chodzić, i często grosz bezpowrotny w to włożyć. Stalmach nigdy nie miał dosyć i nie był kontent z tego, co mu przesłałem, zawsze żądał nowych artykułów, tłumaczeń różnych powieści, żywotów świętych, żądał zyskania nowych prenumeratorów i zasiłków pieniężnych i pisał ciągle coraz to grubsze listy, tak jak gdybym ja był na jego żołądź, i gdybym jedynie dlatego był przybył do Krakowa, aby jego interesa załatwiać. Tak n. p. pisze w liście z dnia 12 marca 1853: „Przebaczyć ci nie mogę, żeś mię tak poprowadził za nos. Pisałem ci wyraźnie, do którego czasu masz odesłać — a nie pośpieszyłeś się“; a na drugim miejscu: „Ja wam niezadługo podziękuję za redakcję“. Stalmach długie czasy sobie po mnie brykał, ale jak mi już tak bardzo dokuczył, zacząłem się bronić. Napisałem mu list, z którego tu przytaczam urywek, nie chcąc spisywać jego niedorzeczności. „Nie wiem, czem sobie na tyle cierpkich zarzutów zasłużyłem. Że się artykuły spóźniły, nie moja w tem wina i zdaje mi się, że ci się jasno jak słońce wytłomaczyłem. Dlaczegoż więc złością zatrute pociski przeciwko mnie wymierzasz? Nie wściekaj się więc, bo to niebezpiecznie dla ciebie samego. Błaznem też nie robię nikogo, to tylko błazen potrafi. Lecz nie zbijam Twoich niedorzeczności, wybrałeś się, przyjacielu, z motyką na słońce. Miałbym sobie teraz do wyrzucenia, gdybym był tego zdania był, że załatwiając z sumiennością i akuratnością niepoliczone Twoje zlecenia, jedynie to dla Twojej osoby i Twojego interesu czynię, lecz byłem i jestem tego zdania, że co czynię w interesie *Gwiazdki*, dla Ciebie i dla Kraju czynię, dla Kraju, który tak serdecznie kocham, i na tej drodze teraz dalej, wyłączając wszelką osobistość postępować będę. Ponieważ utraciłeś wszelkie zaufanie — jak się wyrażasz — do mnie, i zrywasz wszelkie stosunki, honor mi nakazuje, abym ja też to samo uczynił z mojej strony“ (D. 23 marca 1853). Nie chcąc wyliczać wszystkich grubijaństw Stalmachowych, któremi mnie zawsze traktował, umieściłem powyższy list na tem miejscu, z którego się każdy przekona, jak trudne było pożycie i utrzymanie

dobrych stosunków ze Stalmachem. Opamiętał się wprawdzie, przeczytawszy mój list, ale nie na długo. Stalmach był rzeczywiście w kłopotach, ale sobie sam winien, bo porzucił wydawcę Dr. Kluckiego, który pokrywał koszta druku, tak że o druk nie potrzebowałby się troszczyć, a artykułów także mógł sam dostarczyć, wydawając z początku pół arkusza a później arkusz tygodniowo.

ZABIEGI OKOŁO WYDANIA DZIEŁKA. Wspomnieć tu muszę także o mojem przedsięwzięciu, które pomimo długich i mozolnych zabiegów przecie się nie udało. Dr. Klucki jeszcze przed Wielkanocą 1852 r. pisał do mnie, że się w naszym Śląsku głód szerzy, żebym tu w Krakowie jakie składki urządził. Umieniłem tedy pomiędzy innemi wydać dziełko na korzyść głodem dotkniętych Ślązaków. Właściwie do tego podał myśl prof. Pol i sam przyobiegał artykuł napisać. W poruszonej kwestji były trzy główne zadania: 1-o zebrać artykuły, 2-o wydrukować je, 3-o rozsprzedać — a to wszystko w jaknajkrótszym czasie. Wszystkie te trzy zadania ciążyły na mnie samym. Artykuły według pierwotnego zarysu miały być następujące:

1. W. Pol: Geograficzny opis Śląska.
2. Cinciała: Żywot ś. Jadwigi i Pieśni śląskie.
3. Bielowski: Henryk Pobożny.
4. Janota: dowolny artykuł.
5. Z *Przyjaciela Ludu* parę artykułów.
6. Łepkowski: dowolny artykuł.
7. Ad. Górczyński: dowolny artykuł.
8. Łepkowski: Krótki rys historii Śląska.
9. Antoniewicz: dowolny art.
10. Eug. hr. Dzieduszycki: dowolny art.
11. Kulawski, prof.: Piastowie Śląscy.
12. Miecz. hr. Dzieduszycki: Bitwa pod Lignicą.
13. Z *Przyjaciela Ludu*: Psie Pole.
14. Z *Przyjaciela Ludu*: Góra Sobota.

Geograficzny opis Śląska miał być na czele umieszczony a od jego przedkiego napisania zawisło rozpoczęcie druku, bo połowa artykułów już w pierwszym tygodniu była do cenzury (sic) i do druku przygotowaną. Ja sam miałem być Polowi w tem pomocny, pisać artykuł ten u niego a potem przepisywać. Nie chcę wspominać, jakem się tem namęczył — nie pisaniem, lecz przypomnieniami,

prośbami, naleganiem, nachodzeniem na niego, a on, widząc mnie przychodzącego, zawsze jakoś twarz skrzywił — koniec końców, artykuł był wykończony i to w przeciągu 6 czy 8 tygodni, a więc w przeciągu czasu, w którym ja chciałem mieć książkę już w handlu. Artykuł składał się z 1½ arkusza geograficznego opisu Śląska, a reszta była *Odra*, dawniejsza praca Pola. Prof. Kulawski pozwolił na umieszczenie swoich dawniejszych w programatach ogłoszonych prac *Ostatni Piastowie na Cieszynie* i *Henryk Pobożny*, pod warunkiem dania mu 10 egzemplarzy naszego dzieła.

Te trzy prace zaniósłem więc do cenzury, spodziewając odebrać je napowrót przynajmniej za dwa dni; ale na moje podanie dano mi ustną odpowiedź: przyjdź Pan tak za 14 dni. O zgrozo, pomyślałem, bo czas tak bardzo naglił, że nie można było dłużej odwlekać. Podczas tego wszystkiego porozumiałem się z Drem Kluckim, który mój zamiar pochwalił i prosiłem Janotę o współdziałanie w pracy. Trudniejszą rzeczą było obmyślenie funduszu na wydrukowanie. Prof. Pol na wszystko znalazł sposób: „Zbierzemy artykuły, wydrukujemy i rozprzedamy“ — ale jeżeli był powolny z napisaniem artykułu, to o sposobie wydrukowania nic wiedzieć nie chciał. Cóż tu tedy robić? Udałem się do czcigodnego, zacnego rektora uniwersytetu Majera, i ten, po namyśleniu się tam i sam — powiedział, żebym dał drukować do drukarni akademickiej, że się później po rozprzedaniu pierwszych egzemplarzy drukarnia opłaci. Był to ostatni, lecz skuteczny środek, bo jakkolwiek miałem zamiar ogłosić prenumeratę, odradzali mi ją wszyscy jako niepraktyczną. Poszedłem tedy do drukarni, aby się zapytać o czas wydrukowania, ugodzić o cenę — było to koło 26-go maja 1852 — odpowiedział mi faktor drukarni, że teraz zecerów mało, a z samymi urzędowymi rzeczami ma bardzo dużo do roboty, ale jeżeli już nic nowego z urzędów nie przyjdzie, to dziełko to możeby mogło być wydrukowane z końcem czerwca.

Trzecia kwestja: rozprzedanie dziełka, była najtrudniejsza do obrachowania i o nią się też właściwie wszystko rozbiło. Aby nie dać księgarzom rabatu wysokiego, jakiego oni żądają, obmyśliłem inną drogę. Lecz pytanie: kto kupi?

było stanowczem i rozstrzygło całą sprawę. Liczne a tak dobitne odradzanie ludzi obznajomionych więcej z podobnemi przedsiębiorstwami, jak ja byłem obznajomiony, skłoniły mię do zaniechania wszystkiego, aby się nie narażać na kilka set reńskich straty. Zresztą całą rzecz się spóźniła — chociaż nie z mojej winy, i niewłaściwem by też było ogłaszać sprzedaż dzieła na korzyść głodem dotkniętych Ślązaków, kiedy już sama natura temu niedostatkowi zapobiegła. Ze względu na objętość artykułów, dziełko przeznaczone dla Ślązaków byłoby się składało z następujących artykułów:

1. Pol: Geograficzny opis Śląska.
2. Kulawski: Ostatni Piastowie na Cieszynie.
3. Janota: O pisarzach prawa śląskiego.
4. Jerzmanowski: Starostowie Zatorscy.
5. Cinciała: Pieśni ludu śląskiego z okolic Cieszyna.

Artykuł Pola składał się z następujących oddziałów: Wstęp; Góry Jabłonkowskie i Beskid Śląski; Systemat gór Sudetów; góry Morawy i Górnego Śląska; Góry Klackie i Świdnickie; Tarnowskie góry i Trzebnickie wyżyny; Zielonogóry. Tytuł tej pracy: *Geograficzny opis Śląska* w zarysie Dra Wincentego Pola, prof. Uniwer. Jagiell. i miał być umieszczony po tym tytule wiersz:

Odro graniczna!
 Odro prześliczna!
 Siostró, co bieżysz młodszych Piastów krajem,
 My tobie wdzięczne wszystką Wartę dajem,
 A ty, by gniewna, jedno nas pominiesz,
 I niekochana, na kraj świata płyniesz.....

(*Treny słowiańskie.*)

Skończyło się tedy na niczem. Szkoda! szkoda mojej gorliwości, pracy i wydatków. Lecz nie mam sobie nic do wyrzucenia.

Wakacje przepędzałem zawsze w Cieszynie. Mieszkałem tamże albo u Dra Kluckiego albo u Stalmacha, któremu w redakcji *Gwiazdki* byłem pomocnym. Robiłem także mniejsze i większe wycieczki po Śląsku, których celem było poznanie bliżej kraju i zbieranie pieśni, powieści i przysłów. Szkoda, że sam podróżować musiałem, nie

znalazłszy nikogo do kompanji, byłoby można w takim razie większą korzyść osiągnąć.

PIERWSZA WĘDRÓWKA PO ŚLĄSKU. Ku końcu sierpnia 1850 r. puściłem się ku zachodowi przez Grodziszcz, Błędowice, Szumbark, Szonów, Pietrwałd, Orłową itd. W Grodziszczu skarżyła się żona nauczyciela między innymi, że ona i świnia są chore. W Błędowicach budowano właśnie wieżę; poszedłem na cmentarz ewangelicki, aby obejrzyć napisy na pomnikach grobowych. Dwa pomniki marmurowe miały napisy niemieckie, jeden ks. Bartelmusa, który przez 50 lat był kaznodzieją, jadł polski chleb w polskim zborze, ale pozostał całe życie Niemcem, i aby świadectwo o tem pozostawić potomności, kazał sobie niemiecki nagrobek postawić. Drugi pomnik Kaszperkowej, żony dziedzica. Wszystkie inne pomniki, które do jednego przejrzałem, miały napisy polskie. Nocowałem w karczynie, a gdy już leżałem, dolatywały mię niektóre słowa śpiewanej piosnki:

„Uciekaj Wałachu — bo cię chyci gorol,
A jak ciebie chyci — będzie tobą orol.“

Przez Szonów i Pietrwałd dotarłem aż do Orłowej, zwiedziwszy po drodze różne fabryki i zakłady. W Orłowej zwiedziłem kościół katolicki Benedyktynów, naprzeciw ołtarza znajduje się obraz *al fresco* i przedstawia jakiegoś księcia, polującego z łowczemi, przed nim kilka jeleni, a nad nim czarny orzeł. Pod obrazem znajduje się napis: *Felix venatio, cujus indicio venantur animae in nido Orloviensi*. Podanie o założeniu tego kościoła jest następujące: Kiedy Wenceslaus Wojewoda z swoją prawną małżonką w gęstych lasach na polowaniu się znajdował, spostrzeżono wielkiego orła, siedzącego na drzewie i trzymającego hostję w dziobie, którą gdy opuścił, małżonka jego się zlekła i natychmiast syna porodziła, którego Kazimierzem nazwano i ochrzczono, a z tej przyczyny kazał Wenceslaus drzewa na tem miejscu wyrąbać, kaplicę postawić i to miejsce Orłową nazwać. Cmentarz znajduje się około kościoła, nagrobki wszystkie czeskie, ksiądz także Czech i miewa kazania czeskie, chociaż lud jest nawskróś polski, a choćby całą świeczkę spalił, to by tam Czecha nie znalazł.

Obok fary jest nieduży staw, a przy stawie zaraz studnia, w tej studni widać z lewego boku bijące w górę źródło słone, z którego cała Orłowa czerpie słoną wodę do potrzeb domowych i gospodarskich. Smak jadła w tej wodzie gotowanego ma być nieprzyjemny. Kilka razy chciano wodę wyczerpać ze stawu, ale jej nigdy nie ubywało. Podanie o początku tegoż źródła chciałem później spisać, ale tego dotąd nie uczyniłem. Czy to źródło i ten staw dotąd istnieją, nie jest mi wiadomem. Przez Górną Suchą, w której na cmentarzu wszystkie napisy albo niemieckie, albo czeskie się znajdują, wróciłem do Cieszyna.

DRUGA WĘDRÓWKA PO ŚLĄSKU. W drugiej połowie września 1850 r. zrobiłem drugą większą wycieczkę ku północy i ku zachodowi. Ponieważ kolega Fox, z którym umówiłem się o tę podróż, nie domagał, puściłem się sam w drogę. Szedłem drogą powiatową, prowadzącą do Strumienia. Przyszedłszy do Wiślicy, wioski na wzgórzu położonej, zacząłem rozmowę z chłopcem powracającym ze szkoły do domu i pytałem się, jak się jego nauczyciel nazywa? na co odpowiedział: „učitel!“ W dalszej z nim rozmowie dowiedziałem się od niego, że ten učitel po czesku uczy, a że jak ksiądz przyjdzie do szkoły, dzieci muszą po niemiecku ojczenasz rzekać (zmawiać). Dalej na drodze są Kiczyce i Ochaby, wioski mające śliczne położenie. Wisła przedstawia tu piękny widok, jej koryto bardzo szerokie i spojrzeć z ławy na nią ku jej źródłom, widzieć można, jak na nieprzejrzanym kamieńcu węzowatym pasem płynie, który w odległości dla oka coraz bardziej węższe i maleje. Przeszedłem Wisłę, aby obejrzeć kościół — na cmentarzu wszystkie napisy czeskie (!!) i niemieckie. Tu stąd poszedłem już aż do Strumienia i było mi żal, że w drodze nie napotkałem nikogo, z którym idąc, mógłbym się niejednej rzeczy dowiedzieć. Przyszedłem nareszcie do miasta Strumienia, które Niemcy Schwarzwasser nazywają. Przy wstępie powitało mię stado stodoł, z czego wnosiłoby można, że tam chleba poddostatkiem. Ulicą wąską, wysłaną gnojem przyszedłem na rynek, a usiadłszy na ławce, przypatrywałem się temu miastu, które pierwszy raz w życiu widziałem. Rynek jest duży, kwadratowy, w środku nieco podniesiony, domki murowane, niziuchne, gontem pokryte,

wszystkie strasznie jednostajne i nudne, a żadnych ludzi na rynku, bo wszystko w polu; pomyślałem sobie: biedna miejscina, a kaczór, prowadzący stado kaczek za sobą, odpowiedział na to: tak, tak, tak! Przypomniałem sobie, że w Strumieniu jest kancelistą przy sądzie dawny mój kolega gimnazjalny Paweł Gazda; ten przyjął mnie na noc do siebie i przedstawił mię wieczór w kawiarni wszystkim honoracjom i mieszczaństwu, przez których byłem grzecznie przywitany. Na drugi dzień obejrzałem sobie to miasto i cmentarz, na którym napisy po większej części niemieckie, reszta czeskie. Mieszczenie mówią wszyscy po polsku, rzadko który bąknie też tam parę słów po niemiecku, które się w kupie nie dzierżą, ale młodzież ma już być po niemiecku edukowana. Strój jak koło Cieszyna, mężczyźni tylko się trochę w stroju różnią; jedni noszą kamizole z gęstemi guzikami, inni noszą gunie. Gazda opisał mi Strumień, że to jest straszna dziura, gdzie nie dostanie co zjeść, a noclegu nigdzie niema. — Ze Strumienia przeszedłszy granicę udałem się do Golasowic. Do zboru golasowskiego należą Bzi — Goldmannsdorf, i dwie kolonje, które po polsku kolonjami, a po niemiecku Johannendorf i Charlottendorf nazywają. Ślązacy ewangeliccy mieli za moich czasów szczególne przywiązanie do golasowskiego kościoła, który przynajmniej raz do roku odwiedzali. Wspominano często księdza Jursę. — Strój w Golasowicach, Bziu i kolonjach jest po większej części wałaski, mało laskiego, tak samo i w Jarząbkowie. W Pielgrzymowicach zaś mniej wałaskiego a więcej laskiego, tak samo w Cisowie i Ruptawie; reszta wsi ku zachodowi jest strój laski. Wałaski strój ciągnie się aż ku Pszczynie, gdzie ginie. Wogóle kto strój wałaski nosi, jest ewangelikiem, kto zaś laski, katolikiem, co i u nas na Śląsku z małemi wyjątkami się sprawda. Poszedłem dalej, do Pielgrzymowic. Kościół na pagórku, drewniany. Chciałem go obejrzeć, i kazałem prosić księdza, aby go otworzył lub kluczy pożyczył, na co mi pan „Paterek“ kazał powiedzieć, że on tam nie ma czasu chodzić po kościele. Paterek nazywał się Beker, a organista Miarka. Cmentarz około kościoła, mało nagrobków, wszystkie czeskie, tylko jeden niemiecki, jakiegoś pisarza, gdzie stało *geböhren*. Stamtąd, przeszedłszy granicę, udałem się

do Zebrzydowic, gdzie mnie w karczmie, do której wstąpiłem, z początku chciano uważać za szpiega, ażem się paszportem wylegitymował. Jest tu strój przeważnie laski, język polski i prowincjonalizmów czeskich obficie, jak pod górami. Przenocowałem w Zawadzie, a kazawszy się rano przenieść przez Olzę, przeszedłem przez Dziecmorowice, wioskę wielką, zamożną, ale dużo pijaków liczącą i udałem się do Niemieckiej Lutyni. W kościele czytał prawie ksiądz ewangelję po polsku, napisy na chorągwiach czeskie, napis na kasie ubogich polski. Cmentarz około kościoła, napisów dużo niemieckich, jeden polski, reszta czeskie. Niemiecka Lutynia należy hr. Laryszowi (Henryk), ma piękny folwark z licznymi zabudowaniami, suszarnię rzepy cukrowej, owczarnię itp. Hr. Larysz ma na swoich dobrach przeszło 30.000 owiec hiszpańskich. Z Bogumina poszedłem do Kopytowa, a stamtąd ku ujściu Olzy do Odry. Poważnie już tam Olza dopływa, a nad wioską Olzą, leżącą na pruskiej stronie, podaje rękę swej siostrze Odrze. W okolicach Bogumina lud nazywa Olzę: Cieszynianką, a pruską stronę: prajską (prajskie pieniądze). — Dotarłem aż do Hermanic (Herzmanic). Tu spostrzegłem dotąd najwięcej morawskiego dialektu; jedni wymawiają słowa po polsku, drudzy po morawsku, i trzebaby tu na miejscu dłuższy czas pobyc, aby się dowiedzieć, kto tu jest urodzony, a kto tu przybył, bo jak mi mówiono, rozumią tu tak Polaka, jak Morawca. Będąc tu zahaczyłem i o Morawską Ostrawę. W kościele było kazanie po morawsku, ksiądz mówił o postach, chociaż według porządku miał wykładać ewangelję o trędowatym. W Polskiej Ostrawie na cmentarzu napisy niemieckie, mało czeskich. W Szonowie byłem na kazaniu P. Mączki, kazał dosyć dobrze po polsku, ale mieszał dużo prowincjonalizmów do języka i zakończył słowa naszym dialektem: joch — ja byłech — byłem itp. Temat kazania był: o poprawieniu się. Powróciłem do Cieszyna 23 września 1850 r.

Z tych wędrówek nie osiągnąłem wielkich korzyści, bo nie miałem towarzysza, z którymby można pomówić i zabawić się, a dlatego skracałem pobyt w każdej miejscowości, o ile można. Z ludem też nie miałem należytej styczności, bo wszystko pracowało w polu, a wieczór to chyba

w karczmie było można się z ludźmi rozmówić, lecz nie zawsze, bo jak sobie podpili, to się już nie trzymali granic pewnej przyzwoitości. Gdzie mogłem być na cmentarzu, byłem i zapisałem sobie, jakie tam nagrobki pod względem językowym się znajdują; sam się dziwiłem, że w czysto polskich okolicach, jakimi są dorzecza Wisły i Olzy, znajdują się napisy na grobach czeskie. Pochodziło to stąd, że językiem kościelnym był język morawski (mieszánina różnych języków), lud słuchał kazania po morawsku, śpiewał i modlił się z ksiązek morawskich, więc naturalną rzeczą było, że dawano także w języku morawskim nagrobki zmarłym tem bardziej, gdyż ksiądz, do którego się często gwoli zredagowania napisu udawano, nie umiał tylko po morawsku, a pisarze nagrobków wdroyli się w język morawski i nie chcieli nawet po polsku pisać, że po polsku nie umia. Pięćdziesiąt lat dobiega, jakem powyższe okolice — przeważnie przez lachów zamieszkałe — zwiedzał, może w ciągu pół wieku lud nasz polski otrząsł się przynajmniej pod tym względem z jarzma cudzoziemszczyzny.

JAK TO LUDZIE UCZENI PO POLSKU PISALI. Że księża katoliccy i nauczyciele katoliccy do roku 1850 nie posiadali wśród ludu czysto polskiego na Śląsku, i po większej części jeszcze dziś nie posiadają języka polskiego — na to już nie trzeba żadnych dowodów. Przez tę nieznanomość stawali się ciemężycielami ludu i pomagali czynnie i biernie do wynarodowienia naszego ludu. I na to nie potrzeba dowodów. Ale dla pamięci, jak to dawniej bywało, przytaczam odpowiedź przełożonego gminy na niemieckie pismo, otrzymane z urzędu parafjalnego i następne podanie urzędu parafjalnego do urzędu gminnego. Z tego dowiedzieć się można, jakim językiem przełożony gminy (chłop, ewangelik) władał, a na jaki język fararz katolicki się zdo był:

List przełożonego gminy brzmi dosłownie, jak następuje: „Do Wielebnego Pana Fararza w Goleszowie. Niżej podpisany odpowiada na przysłane mu niemieckie pismo z dnia 11 sierpnia 1851 r. Nr. 56 co następuje: Ponieważ wspomniane pismo było w mowie niemieckiej pisane, a więc w mowie, której Ślązacy nie rozumieją, i za cudzo-

ziemską uważają, dlatego nie wiedząc o co się jedna, nie mogą też żadnej dać odpowiedzi. Dziwi mię to bardzo, że W. Pan fararz, mając być nauczycielem ludu, przemawiasz do niego obcą, niezrozumiałą mową, która się o jego uszy jako groch o ścianę odbija. Żyć wpośród ludu polskiego, przeznaczonym być na przewodnika jego, żywić się z jego potu i pracy — a przemawiać do niego obcą, niezrozumiałą mową i dokuczać mu przez to, zasługuje zapewne w oczach sprawiedliwych sędziów na pogardę. Język nasz macierzyński jest nam zapewniony przez konstytucję, nie damy go sobie tedy przez nikogo wydrzeć. Niechże tedy W. Pan fararz w tej sprawie, jako też we wszystkich innych nastąpić mogących — w polskiej mowie do nas przemawiać ze-
chce.

W Górnych Kozakowicach, dnia 13 sierpnia 1851 r.

Jerzy Cinciała mp. burmistrz.“

Odpowiedź fararza goleszowskiego brzmi dosłownie jak następuje:

„Szczowanemu urzędowi gmini w Gurnich Kozakowitz Nr. 61.

Przepraszam wiele, że tak wielkom chibe zrobił, a tom prosbe ktorom niži przedniesem, w niemieckim języku Szczowanemu urzędowi przednios. Dziękujez tez raz za to wi-nauczenie, które bi sie węc dla pastyrza jako dla Xędza godzylo; a przyobecujem, że na przyżli czas węc tak ogromnego urazu polskigo języka się warować będem. Oto jeszcze przepaszam tez wiedzec, ze jo że żadnego potu ani praci ludu nie zijem a najmjeni z praci a potu szczowanego Pana Burmistrza z Gurno-Kozakowitz, ktori we swoji godności zapomniol tez jistego czasu na prawdziwe imje fararzowe, a w przitomności jinszych go przeziwal. Opo-ważi si tez temu oraz temto dzisaiszim przipisem sławne hetmaństwo w Bilsku przeświaczicz, jako ewangelicki urzę-di z katolickim xendzem obchodzm, a tem samem spuso-bem i z katolikami. Tato w nemeckim języku przedniosana a teraz po drugi powtarzana prosba w krutkości, abi sza-czowani urząd w imjeniu obie dal wiedzec, jesli tocmowe

rešta, które aż do odkupienia podle cesarskiego patentu sie zesuć powinny, dostanem, albo kiedi a działku odpowiedi, ale ne tak uszczipiwej.

Z fara Golleszowsky dnia 16 sierpnia 1851.

A Chroboczek mp. fararz."

Dodać tu jeszcze muszę, że już samo nazwisko Chrobaczek jest dowodem, że nie pochodził z familji niemieckiej, ale był, jeżeli nie Ślązakiem to Morawcem, tedy mu już w dziecinnych latach te języki nie były obce; zresztą nie był w urzędzie początkującym, ale już długi czas proboszczem.

JĘZYK POLSKI W GIMNAZJACH CIESZYŃSKICH.

Młoda polonja starała się też o to, aby nauka języka polskiego na obóh gimnazjach cieszyńskich zaprowadzona została. Podania Stalmacha i Kotuli w tym względzie nie osiągnęły pożądanego skutku, co już wtedy łatwo przewidzieć było można. I mnie, bawiącego wtenczas na wakacjach w Cieszynie, wezwano, abym szturmował. Zrobiłem tedy podanie do ewangelickiego gimnazjum. Gdy mi jednak powiedziano, że ciało nauczycielskie nie uważa się za kompetentne podanie to załatwić, bo jeszcze nie jest ostatecznie zatwierdzone, zrobiłem podanie do ministerstwa oświaty o pozwolenie wykładu języka polskiego na jednym lub obydwóh gimnazjach cieszyńskich, które to podanie z alegatami wysłane zostało z końcem grudnia 1849 r. Pod dniem 15 listopada 1850 otrzymałem na to podanie odmowną odpowiedź, między innemi z tego powodu: *weil dem Bedürfnisse des Unterrichtes in polnischer Sprache an den gedachten beiden Gymnasien vorläufig anderweit Genüge geleistet ist.* Z namowy Dra Kluckiego i Dra Plucarka podałem się także w r. 1849 o profesurę języka polskiego przy uniwersytecie ołomunieckim i odebrałem pod dniem 3 maja 1856, a więc blisko po siedmiu latach, odmowną odpowiedź, z powodu iż zadekretowanem zostało nieobsadzenie tej posady. Na posadę uniwersytecką byłem oczywiście niezdatny i podałem się o nią tylko z nalegania na mnie. W gimnazjum byłbym sobie już jakoś radził, ale było dobrze — dla mojej osoby tylko — żem nic nie uzyskał,

że mogłem rozpocząć studia prawnicze na uniwersytecie krakowskim.

I tak zakończyłem naukę uniwersytecką i przestałem być akademikiem. Gdy się żegnałem z uniwersytetem, bardzo się rozmarkociłem i łza stanęła mi w oku. Bawiłem tu przez pięć lat, drugi rok filozofji i cztery lata prawa. Pierwsze trzy lata były bardzo trudne dla mnie, ostatnie dwa zaś przyjemne i wygodne.

A teraz na Śląsk do pracy, której niech Bóg błogosławi.

CIESZYN.

PRAKTYKA ADWOKACKA. Powróciłem więc z końcem lipca 1853 r. do Cieszyna i wstąpiłem do praktyki adwokackiej u Dr. Kluckiego, który już dawniej się oświadczył, że mię każdego czasu do swojej kancelarji przyjmie. Kancelarja jego zatrudniała na razie trzech prawników i kilka pisarzy. Było więc dosyć do czynienia, bo wszyscy pobierali większą lub mniejszą płacę, a utrzymanie domu Kluckiego wymagało też dużo pieniędzy. Do pokrycia tego wszystkiego trzeba było dużo zarobić. Ale też zarobków było dużo, bo oprócz Ołomuńca, Opawy, Krakowa, Tarnowa i Cieszyna nie było adwokatów, a w Cieszynie było tylko dwóch, Dr. Klucki i Dr. Demel; z całej więc przestrzeni garnęła się praca do Cieszyna, a procesów z zachodniej Galicji, mianowicie grubszych, było dużo u Dr. Kluckiego. Dziś stosunki się zmieniły, roboty mało, a adwokatów dużo. W każdej dziurze znajdziesz adwokata a w Cieszynie jest ich obecnie piętnaście, między temi połowa żydów. Jest też obecnie w Cieszynie dwóch notariuszy, których dawniej nie było.

Zamieszkałem z początku u Stalmacha, który się cieszył, że wrócił do Cieszyna, bo potrzebował pomocy przy redakcji *Gwiazdki Cieszyńskiej*. Mieszkając u niego, miałem tam także i stół i płaciłem za śniadanie 4 krajcary m. konw., za kolację także 4 kr. a za obiad 8 kr., za obsługę miesięcznie 30 kr. mk. Powyższe ceny znalazłem w moich notatkach zapisane i przytaczam tu tę okoliczność, aby powtórnie stwierdzić, jak taniem tu w Cieszynie było życie, chociaż zresztą zaprzeczyć się nie da, że nasze żołądki bardzo skromnie urządzone były. A do tej skromności przymuszały nas szczupłe nasze dochody. Liczba prenu-

meratorów *Gwiazdki* nie była wielka, stąd też po zapłaceniu kosztów druku, Stalmachowi niewiele pozostało, ja zaś pobierałem od Dra Kluckiego pensji 20 reń. m. k. (= 21 w. a.) miesięcznie, i taką małą sumką trzeba było na wszystkie strony naciągać (tak jak szewc z skórą robi), aby pokryła wszystko to, co pokryte być musiało. Pomagałem więc Stalmachowi w redagowaniu *Gwiazdki*, o ile było potrzeba; tłumaczyłem powieści, wypisywałem z gazet bieżące wiadomości, zbierałem artykuły, dotyczące miejscowych spraw itp. Przygotować arkusz druku co tydzień nie jest wprawdzie wielką robotą dla jednego człowieka, mianowicie jeżeli się ma jaką dłuższą powieść, która służy za fejleton, lub artykuły wstępne, jeżeli czwartą czyli ostatnią stronicę zajmują inseraty, i kronika miejscowa jest obdużna — ale Stalmachowi było i to za dużo, starał się wszelkimi sposobami o współpracowników, mianowicie w Galicji, jak to widzieć można w listach do mnie pisywanych, gdy byłem w Krakowie na uniwersytecie. Wskutek prośb a nawet natarczywych nalegań znaleźli się stali lub dorywczy współpracownicy *Gwiazdki* tak, że wiele artykułów nie znalazło miejsca w *Gwiazdce*, z którego powodu się współpracownicy uskarżali.

Pobyty mój u Stalmacha nie był atoli długi, urządziłem sobie bowiem własne pomieszkanie, do czego mi się bardzo przydały pieniądze zaoszczędzone z lekcyj w Krakowie w ilości 200 reńskich. Pomieszkanie moje składało się z dwóch pokoi od frontu na Wyżniej Bronie i kosztowało mię wraz z kuchnią obszerną, spiżarnią rocznie 40 reń. m. k. = 84 koron. Obecnie by takie pomieszkanie przynajmniej 200 reńskich kosztowało.

Tu miałem wygodę i spokój do pracy. Myślałem przede wszystkim o egzaminach prawniczych, z którymi się z powodu ciągłego niedomagania znacznie spóźniłem. Zachęcał mię do składania egzaminów ścisłych były mój profesor prawa karnego Dr. Koczyński, któremu za to bardzo wdzięczny jestem. Nauka była trudna dla mnie — bo już też byłem w latach — ale byłem bardzo pilny i wytrwały, tak że w roku 1858 zdałem doktorat, a rok później egzamin notarialny, a tym sposobem otworzyłem sobie drogę do chleba.

Oprócz zatrudnienia w kancelarji i przygotowania się do egzaminów miałem w tym przeciągu czasu i później rozmaite inne prace i zatrudnienia. A tak:

TEATRA AMATORSKIE. Już ku końcu moich studyj w Krakowie zaczęto dawać przedstawienia amatorskie polskie, a ja z Krakowa dostarczałem amatorom odpowiednich sztuczek, często w odpisach, bo drukowanych nie było można dostać. Oprócz polskiego utworzył się także niemiecki teatr amatorski, z osobnymi amatorami. Grywano zawsze jedną sztukę niemiecką, a później zaraz sztukę polską. Widzowie byli ci sami, a zaproszenia niemieckie i polskie były w zgodzie na jednej i tej samej kartce. Teatr — w sali ratuszowej — był zawsze przepelniony a Niemcom podobały się zawsze polskie przedstawienia. Amatorowie polscy musieli się dopiero wprawiać w czytanie i wymawianie polskie, bo chociaż nie Niemcy z domu i z urodzenia, ale w szkole a może i w całym życiu nie widzieli polskiej książki i polskiego pisma, a posiadali tylko tyle polskiego języka, ile wynieśli z domu, lub się nauczyli w życiu potocznem.

Nie była to łatwa rzecz wprawiać amatorów do sztuki, ale wszystko szło jakoś gładko, a amatorowie nagrodzeni na przedstawieniu huczniemi oklaskami, brali się z tym większym zapałem do uczenia się roli w innych sztukach. Po części byli i wiejscy amatorowie angażowani i też się dziarsko trzymali. Sztuki grane w ten sposób znajdują się wyliczone w *Pamiętniku Czytelni Ludowej* w Cieszynie, a w *Silezjace* jest zbiór kilkunastu zaproszeń polsko-niemieckich na teatru amatorskie. Ta zgoda i dobre porozumienie między Niemcami i Polakami była jeszcze możliwa w latach 1850 i następnych, a było z tem obu narodowościom dobrze. Dziś byłoby niemożebnem, bo Niemcy się zpanoszyli na cudzem śmiecisku i na każdym kroku Polaków prześladują, a nawet sprzeciwili się umieścić obok niemieckich też i polskie nazwy ulic na tablicach, czyli raczej skasowali zupełnie tablice niemiecko-polskie, które za czasów burmistrza Dra Kluckiego były wszędzie na rogach ulic i placów poprzybijane, a na to miejsce tabliczki tylko z niemieckimi napisami przymocowano.

1050-NA ROCZNICA ZAŁOŻENIA MIASTA CIESZYNA. W roku 1860 wpadła mi w ręce broszurka *Die vier Jahreszeiten*. Na tytule tej broszurki stało, że *Die vier Jahreszeiten* przedstawione były publicznie z powodu 1000-letniej rocznicy założenia miasta Cieszyna w roku 810. Wskutek tego rozważałem, czyby nie można po upływie 50 lat od ostatniego jubileuszu w roku 1810 urządzić w roku 1860 jubileusz, tem bardziej, gdyż czekać na nowy jubileusz 100 lat, to jest aż do roku 1910, jest za długi przeciąg czasu, i że roku 1910 rzadko kto z dzisiaj żyjących dożyje. Udzieliłem tę myśl Drowi Kluckiemu, burmistrzowi miasta Cieszyna, a on zaraz na to się zgodził i dodał, że dziś będzie posiedzenie rady gminnej, że to na posiedzeniu przedniesie. Na posiedzeniu przyjęto tę myśl. Wskutek tego wybrano komitet, składający się z sześciu członków, do którego i ja wybrany zostałem.* Komitet wydał odezwę do obywateli miasta Cieszyna i postanowił — o ile sobie przypominam — i uchwalił następujący program: nabożeństwo, zabawa w alei, iluminacja, bal, wydanie pamiętnika jubileuszowego. Pamiętnikiem ja sam wyłącznie miałem się zająć. Wziąłem się też rączy do dzieła, bo czas był krótki. Pamiętnik, nazwany *Album*, składał się z części niemieckiej i polskiej. Wstęp czyli prolog napisał urzędnik sądu krajowego, Lamatsch von Warnemünde, potem umieściłem jego dawniej napisany: *Die Gründung der Stadt Teschen* i wydany *Aufruf*. To stanowiło część niemiecką. Polska zaś część zawierała: *Ostatni Piastowie na Cieszynie*, dalej poezję, a nakoniec kronikę miasta Cieszyna. Polska część zawierała $\frac{3}{4}$ części całego dziełka.

Ponieważ komitet nie żądał odemnie przedłożenia programu pamiętnika, to ja też nie śpieszyłem się przedkładać go komukolwiek, bo też komitet nie byłby się zgodził, żeby polska część tak obszerną była, a gdy przy zabawie ludowej w Alei wyłożono pamiętnik do sprzedania, a Niemcy go pierwszy raz widzieli i oglądali, czyniono mi

* Członkami komitetu: Dr. Józ. Fischer, prof. Jan Raszka, komisarz pol., Ed. S. Schröder, kupiec, Dr. R. Schuster, adwokat, Dr. Cinciała, Jan Świegor, szewc.

zaraz wyrzuty, że to polskie a nie niemieckie *Album*, że to jest wielka niewłaściwość, i o mało, że mię tam nie obito.

Uroczystość odbyła się według programu i wypadła bardzo dobrze. Składki na ten cel urządzone, po pokryciu wydatków, obrócone zostały na odnowienie „brackiej studni” w Cieszynie, które w parę lat po jubileuszu wykonano, przyczem umieszczono na studni stosowne napisy w polskim, niemieckim i łacińskim języku. (Patrz na końcu książki). Nadmienić tu muszę, że za lat 16 kończy się nowe pięćdziesięciolecie, i że będzie trzeba postarać się w roku 1910 o nowy jubileusz. Tego czasu ja nie dożyję, ale moi młodszy współpracownicy pamiętać będą o tem, aby się jubileusz odbył. Jeżeli zaś, co jest prawdopodobnem, porozumienia nie będzie można osiągnąć z Niemcami i wydać wspólnego pamiętnika w polskim i niemieckim języku, tedy narodowcy powinni się postarać o wydanie książki albo przynajmniej broszurki zbiorowej (składkowej), zawierającej prace naszych ziomków treści czysto śląskiej z powodu tego jubileuszu.

Pisma i druki, odnoszące się do jubileuszu 1860 roku wraz z pamiętnikiem, znajdują się w *Silezjace*. *Die vier Jahreszeiten* z 1810 r. nie posiadam.

Dodać jeszcze muszę, że według drukowanego spisu z dnia 1 lipca 1861 zebrano dobrowolnych darów 338.—
Za 450 sprzedanych egz. *Album* 104.50

Sa. 442.50

Wydatki na uroczystości	202.40	
Druk <i>Album</i>	93.93	296.33
Pozostało na odbudowanie studni brackiej		146.17

które złożone zostały do kasy oszczędności w Cieszynie.

CZYTELNIA LUDOWA W CIESZYNIE. Zaraz po założeniu pisma dla ludu pod nazwą: *Tygodnik Cieszyński*, którego pierwszy numer okazał się w dniu 6 maja 1848 r., myślano o założeniu czytelnicy i biblioteki polskiej w Cieszynie i wydano w tym kierunku odezwę, datowaną w Cieszynie, dnia 28 września 1848 r. w polskim i niemieckim języku pod nazwą *Uwiedomienie, Nachricht*. Po upływie pół roku, to jest 18 marca 1849 r., ogłoszono już ustawy dla

biblioteki Kraju Cieszyńskiego wraz z odezwą, wzywającą do brania udziału i przystępowania do Czytelni. Odezwa podpisana jest przez ks. Jerzego Prutka (który później stał się zażartym Niemcem), Dra Kluckiego, Dra Fiszera, P. Stalmacha i Andrzeja Kotulę. Ja wtedy bawiłem w Krakowie na uniwersytecie i starałem się wszelkimi sposobami o zbieranie książek, aby nimi pomnożyć biblioteczkę „uczących się języka polskiego na ewang. gimnazjum w Cieszynie“, którą istniejące jeszcze wtedy „towarzystwo“ się opiekowało, a która według mego życzenia miała być początkiem i kamieniem węgielnym zakładającej się biblioteki „dla ludu kraju cieszyńskiego“.* Własność tej biblioteki nadano ludowi kraju Cieszyńskiego głównie z tego względu, ponieważ się zdawało, że możliwe późniejsze prądy przeciwnarodowe nie tak łatwo zdobędą się na tę niesprawiedliwość, aby się targnąć na własność całego kraju.

Przekonanie, iż język polski u nas każdemu jest potrzebny, torowało sobie dosyć szybko drogę pomiędzy obywatelstwem i urzędnictwem, chociaż znachodzili się i nieprzyjaciele języka polskiego u nas, którzy twierdzili, iż tu u nas należy mówić i pisać tak, jak lud mówi. Jednym z pomiędzy takich ludzi był Nikodem Lippka (sic), prezydent sądu obwodowego w Cieszynie. Nienawidził on między innymi rzeczami także język polski, czego dowodem jest i to, że sobie do swojego nazwiska przypisał drugie p i pisał się Lippka, a był powinien pisać się po ludzku Lipka. Niezadługo zdarzyła mu się sposobność uwiecznić swoje zapatrywanie na język polski, właściwie śląski, w mowie, mianej dnia 1 lipca 1850 r. z powodu zaprowadzenia sądów przysięgłych w Cieszynie. Mowa ta pod nazwą *Ostrowieni* ogłoszona została drukiem wraz z mową prokuratora Huberta, którą Lipka także przerobił na śląskie kopyto. Szkoda, że tej zasady nie zastosował także do języka niemieckiego, i nie mówił i nie pisał tak, jak koloniści niemieccy przy Bielsku, a wogóle lud niemiecki wiejski w całej Europie.

* *Gwiazdka Ciesz.*, rok 1850, str. 263.

W kilka dni, bo 6 lipca 1850 r., wydał odezwę (*Wezwanie*) *Wydział towarzystwa dla wydoskonalenia się w języku krajowym*, w której witał przybyłych do nas urzędników i wzywał ich do przystąpienia do swego towarzystwa, dla wydoskonalenia się w języku „krajowym“; nie powiedziano już polskim, aby się tem Czesi i wasserpolacy nie zrażali.

Niestety, usiłowania narodowców o podniesienie ludu pod względem materialnym i pod względem oświaty, gwałtownie przerwane zostały i sprowadziły zastój w sprawach narodowców. *Towarzystwo dla wydoskonalenia się w języku polskim*, zwane także *Czytelnią polską*, po krótkim swoim istnieniu przez rząd krajowym rozwiązaniem zostało, a *Bibliotekę polską* skonfiskowano i oddano zakładowi Szersznika w Cieszynie. Stało się to w czasie systematycznie prowadzonej reakcji, gdy Niemcom żal się zrobiło, że też i inne narody mają mieć jakie takie prawa, i że one chcą zasiadać przy stole dla wszystkich zastawionym. Jedynym tętmem życia narodowego była w tych smutnych dla nas czasach *Gwiazdka Cieszyńska*, założona w roku 1848 i niezbyt częste przedstawienia amatorskie polskie, których chyba dlatego tylko nie zabroniono, ponieważ się odbywały wspólnie z niemieckimi w sali ratuszowej.

Gdy zapędy niemieckie pomału słabnąć i prądy polityczne zmieniać się zaczęły, ożywił się też i na Śląsku ruch narodowy, a mężowie dbali o dobro ludu powzięli myśl założenia nowego towarzystwa narodowego. Ta myśl dojrzała nareszcie w roku 1861 a owocem jej była *Czytelnia ludowa w Cieszynie*. Postanowiono założyć Czytelnię na szerokiej podstawie, Czytelnię dla ludu bez różnicy wyznania, stanu lub zatrudnienia, Czytelnię dla wszystkich, mającą za cel „podanie środków oświaty dla tutejszej ludności polskiej“ i krzewienie życia towarzyskiego. Po dłuższych naradach przygotowano statut i podano go do zatwierdzenia Rządowi krajowemu w Opawie w nadziei, że przy zmienionych nieco czasach Rząd przecie nie będzie robić trudności. Jakoż ku naszej powszechnej radości zatwierdzenie statutu nastąpiło pod dniem 31 maja 1861 roku. Po doręczeniu tegoż zatwierdzenia zwołano na dzień 31 sierpnia 1861 liczny zastęp mężów zaufania, a na po-

siedzeniu odnośnem wybrano między innymi komitet przygotowawczy, składający się z siedmiu członków, mianowicie czterech z miasta a trzech ze wsi, na których włożono obowiązek wynajęcia odpowiedniego lokalu na Czytelnię i poczynienia ostatecznych kroków przygotowawczych do otwarcia Czytelni. Komitet przygotowawczy wydał z tego powodu odezwę z dnia 15 września 1861 w języku polskim i niemieckim, w której donosi wszystkim o zatwierdzonym statucie Czytelni i uwiadamia wszystkich, „którzy do Czytelni przystąpić sobie życzą, że mogą każdą sobotę i niedzielę od godziny 11 przed południem do godziny 3 po południu w lokalu na to przeznaczonym w domu nr. 117 pod Złotym Lwem w Cieszynie na lewej ręce przy wchodzie głównym, statut Czytelni przejrzeć i oraz na liście tam otwartej na członków czytelni się zapisać.“ Dalej donosi Wydział, że członkowie już mogą korzystać z 40 czasopismów i szczupłej biblioteczki, dalej, że ustanowiono wkładki roczne dla fundatorów na 10 reń., dla członków miejscowych na 4 reń., a dla zamiejscowych na 2 złr. Czytelnię otwarto wobec licznego zgromadzenia w domu „pod Lwem“ przy Rynku Głównym położonym, dnia 7 grudnia 1861 r. Lud wiejski garnął się do Czytelni i do końca grudnia 1861 zapisało się na członków około 120 osób. Inteligencja cieszyńska również zapisywała się na członków; z pomiędzy niej wymienić należy: Ruffa, ck. starostę, Pospischila, prezydenta sądu obwodowego, Gabriela i Kalinczaka, dyrektorów obu gimnazjów, nadto radców sądowych, profesorów, doktorów a także i mieszczan i burmistrza miasta Cieszyna, Dra Ludwika Kluckiego, współzałożyciela Czytelni. Mowę pierwszą miał Dr. Klucki, potem następowali inni mówcy, zaczem przystąpiono do wyboru Wydziału a potem były zabawy.

Wydział ukonstytuował się następnie: Prezesem wybrano Dra Kluckiego, sekretarzem i kasjerem Dra Cinciałę, bibliotekarzem Stalmacha, gospodarzem Dra Fischera, a 5-ty członek zamiejscowy nie miał osobnej teki.

Pierwsze dzieje Czytelni ludowej i jej rozwój opisane są w protokołach z posiedzeń wydziałowych. Nadmienić tu jeszcze muszę, że po upływie pewnego czasu (zdaje mi się dwóch lat) na podania Wydziału zezwolił Rząd krajo-

wy w Opawie na zwrot skonfiskowanych książek z biblioteki Szersznika do Czytelni ludowej, przez co środki oświaty znacznie pomnożone zostały.

TOWARZYSTWO ROLNICZE W CIESZYNIE. Narodowcy nosili się już dawno z myślą, aby i rolników śląskich obudzić ze snu na większą skalę, aby założyć Towarzystwo rolnicze. Niebawem też, bo w dwa miesiące po otwarciu Czytelni zaczęto się na prawdę krzątać, aby tę myśl wprowadzić w życie. W tym celu zwołano znaczniejszych gospodarzy na dzień 15 lutego 1862 r. do Czytelni ludowej w Cieszynie. Zebrało się około czterdziestu obywateli, którym po wyłuszczeniu całej sprawy przedłożono wypracowany poprzednio statut tegoż towarzystwa do zastanowienia się nad nim i dania swojej opinii. Uchwalono nareszcie założyć towarzystwo i wybrać z pośród zgromadzenia komitet tymczasowy i polecić mu ostateczne wykończenie statutu i podanie prośby do władzy polit. względem uzyskania pozwolenia.

Do tego komitetu wybrano: Jana Gaszka z Żukowa, ks. Andrzeja Żlika z Cieszyna, Dra Ludwika Kluckiego, burmistrza i adwokata w Cieszynie, Jana Matuszka, gospodarza z Olbrachcic i Dr. Cinciałę z Cieszyna.

Komitet odbył kilka posiedzeń, na których główną rolę odgrywały debaty, w jakim języku mają być na posiedzeniach i walnych zebraniach towarzystwa prowadzone rozprawy, w którym języku protokoły spisywane, rachunki prowadzone i pismo rolnicze wydawane, gdyby towarzystwo takowe wydawać chciało. Ks. Żlik zastępował stronę niemiecką i okazał się bardzo uparty. Po długich naradach na kilku posiedzeniach nareszcie zredegowano ustęp 8 statutu następująco: „Każdemu członkowi wolno jest używać przy obradach języków krajowych; z powodu zaś, iż towarzystwo głównie ma na celu podniesienie gospodarstwa wiejskiego i szerzenie nauk w związku z niem będących u ludu wiejskiego, co z korzyścią jedynie w języku narodowym nastąpić może, lud zaś wiejski przeważnie jest polskim: dlatego te okoliczności przy obradach uwzględnione a wszelkie czynności Towarzystwa w języku polskim prowadzone i ogłaszane być mają.“ Podpisano:

A. Żlik mp., Gaszek mp., Dr. Klucki mp., Matuszek mp., Dr. Cinciała mp.

Chodziło tu też i o wynalezienie odpowiedniego *modus vivendi* między Polakami i Niemcami, bo strona polska miała na uwadze, że towarzystwo i niemieccy Verwalterzy itp. Niemcy przystąpić mogą i przystąpią, a że wtedy łatwo im będzie wybrać niemiecki wydział i wprowadzić niemieczkę do towarzystwa, tak żeby się stali w towarzystwie oficerami a lud wiejski pozostałby tylko szeregowcem i nie miałby z niemieckiego towarzystwa żadnej korzyści. Ostateczną redakcją ustępu 8 statutu sprawa narodowościowa ugłaskana została, a komitet, zredagowawszy ostatecznie statut, podał go w polskim i niemieckim języku do Rządu krajowego w Opawie, celem zezwolenia na utworzenie towarzystwa rolniczego i zatwierdzenie statutu. Po dłuższym czasie nadeszła odmowna odpowiedź. Nie mam odnośnej rezolucji pod ręką, ale pamiętam, że była szczytem biurokratyzmu i brzmiała mniej więcej tak: Ponieważ Opawianie zamyślają utworzyć towarzystwo rolnicze, a dwa towarzystwa rolnicze na Śląsku są niepotrzebne, tedy musiano podanie Cieszyniaków odmownie załatwić. Była to dla komitetu bardzo bolesna niespodzianka. Członkowie komitetu już wszyscy pomarli, tylko ja jeszcze zostałem, aby dać o tem świadectwo.

PODRĘCZNIK IN SPE. Narodowcy nasi starali się na wszystkie strony, aby budzić lud i prowadzić go do świadomości narodowej. Jedną z głównych przeszkód do dopięcia tego celu było pisarstwo gminne i prawnicze, prowadzone przez pisarzy gminnych po niemiecku a po części i po czesku. Chodziło więc o to, aby podać ludowi pewne wzory w polskim języku, których by się trzymać mogli, mając do czynienia w gminie, w sądzie i innych urzędach świeckich i kościelnych. Chciano więc na mnie włożyć obowiązek wygotowania różnych potrzebnych formularzy, w pierwszym rzędzie dla przełożonych gmin i radnych. Oświadczyłem na to wezwanie, iż podobne formularze same niewiele pomogą i pozostaną martwą literą, że tu trzeba podać ustawę lub rozporządzenie w tłumaczeniu polskiem, zaopatrzone komentarzem i wzorami, a że dopiero na podobny sposób chłop się pouczy i weźmie się do

pisania spraw różnych po polsku. Wziąłem się też zaraz do rzeczy, ale w sposób nieodpowiedni. Ponieważ nie było w tym czasie jeszcze ustawy gminnej i wyborczej i innych ustaw, jak: służbowej, ogniowej, polnej, o przynależności do gminy itp., które to ustawy dopiero później wydane zostały — wziąłem się do tłumaczenia i objaśniania ustaw wojskowych, których znajomość każdemu, mianowicie przełożonym gminy, jest potrzebna, i innych ustaw administracyjnych. Gdy po długiej przerwie i po powrocie do Cieszyna na posadę notariusza wziąłem się na serjo do wydania *Podręcznika*, znalazłem, że moja dawna praca zupełnie na nic przydać się nie może, bo pewnie wszystkie ustawy opracowane przezemnie doznały wielkich zmian, lub też całkiem zniesione zostały. Ale praca ta nie poszła zupełnie na marne, bo z niej wyniosłem przekonanie o potrzebie podobnej książki dla naszego ludu, a ta myśl ciągle mi towarzyszyła, aż nareszcie ze skutkiem urzeczywistnioną została.

SPRAWY ZBORU EWANG. W CIESZYNIE. Patentem ces. z dnia 8 kwietnia 1861 r. wprowadzone zostało w życie nowe urządzenie zborów ewang. w Austrii. W zborze cieszyńskim, największym na Śląsku, wybrano według liczby dusz odpowiednio do patentu 232 zastępców, a ci wybrali z pośród siebie 32 prezbiterów. Pierwszy wybór odbył się, zdaje się, w roku 1862 i ja do prezbiterstwa też wybrany zostałem. Nadeszła z tym wyborem dla mnie wielka i różnorodna praca, bo nie chciałem chodzić z założonemi rękoma i być sobie nieczynnym. Dziś po upływie trzydziestu lat z górą trudno by było przypomnieć sobie wszystko, co zdziałiałem i co za moją inicjatywą zrobiono. Pierwszą czynnością moją wielkiej doniosłości było spisanie protokołu z pierwszego posiedzenia presbiterstwa w polskim języku. Nie pytałem się ani przewodniczącego, którym był Żlik, ani kogo innego, ale pisałem sobie po polsku. Gdy przedłożyłem protokół przewodniczącemu do podpisu i tenże powiedział: *das ist ja polnisch* — zakłopotali się Niemcy, których może było 5 w prezbiterstwie — i dały się słyszeć głosy: *wer wird das Oben lesen?* Ja na to: Jest to starym, uświęconym zwyczajem pisać protokoły w takim języku, w jakim narady

prowadzone są, a ponieważ u nas obrady toczyły się w języku polskim, a nikt z obecnych ani jednego słowa po niemiecku nie przemówił, tedy spisałem protokół po polsku, a jeżeliby go było potrzeba *nach Oben* przedłożyć, to go przetłómaczę. Tym sposobem obyło się bez burzy, a Żlik podpisał protokół, jako przewodniczący. Była to, jakem wspomniał, rzecz wielkiej doniosłości, bo to był pierwszy krok wydobycia się polskiego nawskrós zboru z więzów kilku Niemców, którzy sobie rościli prawo rządzenia zborom po niemiecku. Jak mi mówiono, nie istnieje żaden starszy protokół polski, a ja też nie spotkałem się z żadnym polskim dokumentem. Odtąd pisano i dziś się jeszcze piszą wszystkie protokoły z posiedzeń zborowych po polsku i nikomu nie przyjdzie na myśl żądać w tym kierunku zmiany, chociaż dziś niemiecka strona ma przewagę w presbiterstwie.

Staram się, aby protokoły, które do odejścia mego z Cieszyna pisywałem, zebrano i w jedną książkę oprawiono. Dodać jeszcze muszę, iż na tem pierwszym posiedzeniu presbiterstwa członkowie podzielili się na sekcje,* aby każdy mógł łatwiej ale i gruntowniej zajmować się sprawami, należącymi do swojej sekcji. Znaleźliśmy wszędzie zastój, zaniedbanie spraw kościelnych, szlendrjan tak zwany, i prymitywną gospodarzę. Zaprowadzono kancelarję zborową czyli presbiterjalną, w której się odbywały posiedzenia presbiterstwa, posiedzenia sekcji, i w których załatwiano wszelkie inne sprawy. Zajęto się uporządkowaniem cmentarza. Porobiono ścieżki, których dotąd nie było, przyczem natrafiono na opór, bo ludzie nie chcieli dopuścić, aby przez groby ich krewnych zmarłych ścieżki prowadzone były; ścieżki obsadzono sprrowadzonymi drzewkami, przyczem ks. Żlik był bardzo pomocnym, otoczono cmentarz od drogi błogockiej wysokim murem i kratą żelazną, wybudowano marownię, wogóle zaprowadzono ład na cmentarzu. Pamiętano też o kościele, założono posadzkę marmurową koło ołtarza, pomalowano pawłacze,

* Utworzono następujące sekcje: 1. prawniczą, 2. budowniczą, 3. kasową, 4. szkolną, 5. miejscową, 6. alumnejską, który podział dotąd się utrzymał.

odnowiono organy kosztem blisko 3000 reń., co Sapalski z Krakowa przeprowadził. Niestety, że poprzednie kolarstwo, zarządzające zborom, powzięło zamiar i przeprowadziło go, zniżenia pawłaczy organowej i wyproszczenia kulistej formy na proste linje, przytykające z obu stron do pawłaczy sklepionych, przez co kościół bardzo oszpecony został, bo perspektywa przez to całkiem zmieniona została, a położenie kazalnicy zbliżyło się bardzo do pawłaczy przeciwległych. Uczynili to chłopci Cienciąła z Mistrzowic, Stonawski z Nieborów i Zabyszczyński z Dębowca. Otóż chłopci chcieli poprawić budowę po starych budowniczych kościoła — a to bez wszelkiej potrzeby, a księża, którzy mogli wkroczyć i oprzeć się temu, jak zwykle i jak we wszystkich sprawach kościelnych byli obojętni. Wielka szkoda, że się dawny stan nie da przywrócić.

I o dochodach kościelnych pomyślano. Mieszkowe pieniądze, które dały rocznego dochodu około 400 r., pod nowym zarządem wynosiły około 1200 reń., a to przez zaprowadzenie innej manipulacji z liczeniem centów i przez ścisłą kontrolę. Czysze z domów były tak niskie, że ludzie rwali się o kwatery; czysze zostały podwojone, a żaden nie opuścił pomieszkania.

Zaprowadzono też złotą księgę, w której wszystkie zapisy i legaty lub roczne i przyłytytościowe składki na potrzeby zborowe miały być zapisywane, a raz do roku z kazalnicy ogłaszane. Po mojem odejściu z Cieszyna przestano prowadzić księgę, chociaż mniejsze lub większe legaty wpływały i dotąd wpływają, bo lud pamięta o potrzebach matki zborów śląskich.

ALUMNEUM. Budynek alumnejski, stojący dawniej tam, gdzie teraz nowe gimnazjum, chylił się z każdym rökem bardziej ku upadkowi. Trzeba więc było obmyślić sposób, w jaki by ta sprawa korzystnie załatwić się dała. Już dawniej o budowie tej myślano i zbierano na nią w różnych czasach pieniądze, ale co dziś nabierano, to jutro przejedzono. Przyczyną tego była zła gospodarka w Alumnei. Gospodarzem był ks. Żlik, ale ten miał najróżnorodniejsze zatrudnienia zborowe, był oprócz tego profesorem w gimnazjum, bardzo często był posłem do sejmu

krajowego, miał obszerną własną gospodarkę, nie mógł więc gospodarce w Alumneum poddać, tem bardziej, gdyż nie było żeńskiej ręki, która w podobnych razach jest niezbędna. Zaprowadziliśmy przedewszystkiem nową gospodarkę w Alumnei i ściślejszy dozór i przekonaliśmy się, że przy cenach tak niskich, jakie alumniści płacili, można było jeszcze wyjść na swe, chociażby nawet i rząd odmówił zapomogi, którą dotąd corocznie dawał. Również było ważnem wzięcie się do myśli o budowie Alumneum. Na budowę nie było żadnych pieniędzy, i rozesłaliśmy ludzi do różnych miast, gdzie byli ewangelicy, aby jakiś kapitał na początek zebrać. Rozgłosiliśmy też we zborze potrzebę tej budowy, a gdy przyszła ta rzecz pod obrady (bo budynek alumnejski stary a teraz nowy, należał zborowi) — tedy były dwa główne wnioski: a) budować nie na starym, ale na nowym placu w równej linii z domem narożnym, b) budować Alumneę nie na 35 alumnistów, jak dotąd było, ale budować na 60 alumnistów. Ja zastępowałem obydwie wnioski i starałem się większe zastępstwo — bo sprawa budowy do niego należała — dla nich pozyskać, ale to bardzo trudno szło, bo co do budowy na 60 alumnistów, nie było albo było mało pieniędzy, a przeciw nowemu miejscu był ważny (?) argument: że szopa, którą starzy kolatorowie przed niedawnym czasem z kosztem 900 złr. dla koni, które przyjeżdżają po księdzów ku chorym, wybudowali na temże miejscu, musi być zburzoną i musi ustąpić Alumnei. W pewną niedzielę po nabożeństwie zebrało się większe zastępstwo zborowe do sali starego gimnazjum, gdzie o tej rzeczy debatowano, i z obu stron gorąco przemawiano. Na tem zebraniu przewodniczyłem i pamiętam dobrze, kto a jak przemawiał. Przy głosowaniu okazała się większość za budową na nowym placu — zaś przy głosowaniu nad wielkością budynku, okazała się większość za mniejszym budynkiem, to jest na 36 alumnistów. Byłem z tego wyniku bardzo zadowolony, bo w razie gdyby na starem miejscu budowaną była nowa alumnea, wjazd byłby się na Plac Kościelny bardzo zwięził, i cały plac byłby wyglądał bardzo nieforemnie; do małego zaś budynku można było i później część dobudować, jakby tego potrzeba się okazała (co też się rzeczywiście za lat 30 stało). Między tem nadeszły dość

znaczne składki na budowę, a zbor obowiązał się dać ręczną i ciągłą robotę zadarmo i wesprzeć także pieniędzmi ofiarami całe to przedsięwzięcie. Ks. Żlik darował na swoim folwarczku plac na robienie cegły, a gdy i węgle mieliśmy nieco taniej, a przywóz zadarmo, tedy nam było trzeba płacić tylko robotnika przy cegle, tak, że nas tysiąc cegły około czterech reńskich kosztował. Fundamenta na nowem miejscu założono w roku 1865 i budowa postępowała dosyć szybko.

STOSUNKI SZKOLNE. Według dawnych urzędzeń trwała nauka w każdej klasie, tak szkoły ludowej, jak też i gimnazjum, dwa lata. Wstępować do szkoły lub przenosić się z niższej klasy do wyższej można było tylko każdy drugi rok. W szkole przygotowawczej i w I klasie trwała nauka cztery lata, a potem przechodziło się do II klasy, czyli do gimnazjum. Do szkoły przygotowawczej i do I klasy uczęszczały prawie bez wyjątku dzieci z miasta i okolicznych wiosek, gdyż z gmin szkolnych zborowych i zdalsza przychodziła młodzież wprost do gimnazjum, ponieważ na wsi otrzymała przygotowanie takie same, jak w Cieszynie. Szkoła ta utrzymywała się z funduszków gimnazjalnych po większej części, zresztą mało kosztowała, bo jeden z nauczycieli był tak zwanym pisarzem kościelnym, a drugi organistą, pobierali więc z majątku kościelnego płace, tak, że się mogli kontentować małemi dochodami szkolnemi. Gmina szkolna cieszyńska na swoją szkołę nic nie płaciła. Gdy się okazała potrzeba rozszerzenia tej szkoły i powołania nauczyciela III klasy, a później, gdy chodziło o podniesienie tej szkoły na szkołę główną i powołanie czwartego nauczyciela, starano się o uregulowanie stosunku szkolnego do zboru cieszyńskiego i nakłonić gminę szkolną do płacenia podatku szkolnego stałego, rocznie 400 złr. Jeżeli to trudno szło, to jeszcze trudniej szło z otworzeniem IV klasy. Rząd robił trudności, żądał zabezpieczenia płacy nauczycielskiej i emerytury dla nauczycieli itp. I plan naukowy nie podobał się rządowi, bo język polski był należycie uwzględniony, co rządowi było nie na rękę. Zbor zaś czynił zabiegi, aby seminarjum nauczycielskie nie w Bielsku, ale w Cieszynie założonem było, a chcąc mieć seminarjum, potrzeba było wykazać się, iż tu istnieje szkoła główna czteroklasowa, bo

gdzie takowej niema, to też nie może i seminarjum istnieć. Jak skoro tedy zebrało się tyle środków, aby opłacić nauczyciela czwartej klasy, przystąpiono też do otwarcia tejże. Nie czekano już więc, aż wysoki rząd krajowy da swoje zezwolenie i zatwierdzi plan szkolny. Wychodziliśmy z tego zapatrywania, że może jeszcze kilka lat minie, nim rząd da swoje zezwolenie, bośmy bardzo często mieli sposobność widzieć, jakie trudności gminy szkolne na wsiach miały do przewyciężenia, nim na jednoklasową szkołę dano zezwolenie, a dalej opieraliśmy się na tem, że rząd raz otwartej klasy nie zniesie i nie zabroni, a że to wszystko, czego by jeszcze rząd wymagał, może być później wykonane i uzupełnione. W starym budynku gimnazjalnym, gdzie była szkoła ludowa o trzech klasach umieszczona, i gdzie były także i gimnazjalne klasy, znajdował się niewielki pokoik, ten kazano jako tako urządzić, ławki nadbytnie zewsząd pozbierane powstawiać, dziatwa się znalazła, równym sposobem i nauczyciel; i tak otwarto czwartą klasę. Zaraz na początku powstały lokalne nieprzyjemności, bo dyrektor gimn. Kalinczak twierdził, że okupowany pokoik należy do gimnazjum, ja zaś inaczej rzecz wykladałem — a gdy dyrektor kazał klasę zamknąć i zabrał klucz z sobą, tedy ja posłałem po ślusarza, kazałem zamek odbić, nowy klucz zrobić, tak żeśmy znów byli w posiadaniu lokalu i nauka mogła dalej bez przeszkody się odbywać. Jak przewidywano, potrwało to jeszcze kilka lat, nim IV-ta klasa zatwierdzoną została; prezbiterstwo też miało jeszcze niejeden kłopot z nauczycielami, ale to, co zbor w tedy do życia powołał, utrzymało się aż dotąd, a sprawa szkolna naprowadzoną została na właściwą drogę.

SEMINARJUM. Prezbiterstwo bardzo krótko jeszcze istniało, gdy nadszedł cyrkularz Rady kościelnej we Wiedniu (30 sierpnia 1862), wzywający wszystkie zbory ewangeliczne do składek na seminarjum w Bielsku. Z tego cyrkularza dowiedział się dopiero zbor cieszyński, że Bielszczanie mają zamiar założyć seminarjum u siebie i że do tego założenia otrzymali już pod dniem 7 kwietnia 1860 r. pozwolenie od ministerstwa. Widać stąd, że Bielszczanie działali cichaczem, aby ich kto inny nie przebiegł. Prezbiterstwo

oparło się jednomyślnie przeciw założeniu seminarjum w Bielsku, a mając wiele powodów za sobą i opierając się na patencie protestanckim z dnia 8 kwietnia 1861, uchwaliło na posiedzeniu swoim z dnia 30 grudnia 1862 jednomyślnie podać prośbę do senjoratu, aby sprawa seminarjna oddana była poprzednio przygotowawczemu rozpoznaniu i orzeczeniu wszystkich prezbiterstw, a żeby aż do nadejścia orzeczenia budowę seminarjum w Bielsku odłożono. — Bardzo gorąco się koło tej sprawy we zborze krzątano, i obmyśliwiano środki, które miały służyć do uzyskania pozwolenia na założenie seminarjum i na utrzymanie tegoż. Na posiedzeniu dnia 18 marca 1863 ofiarowało większe zastępstwo zboru jeden z swoich domów na umieszczenie seminarjum bezpłatnie, uchwalono zamienić szkołę ludową zborową na szkołę główną, starano się ustnie i pisemnie przedstawić rzecz zborom i władzom kościelnym i szkolnym, wydawano pisemka wyświetlające sprawę i przynoszące dowody, że seminarjum nie w Bielsku, ale w Cieszynie założyć należy. Takimi pisemkami były np. *Podanie do starszeństwa zboru cieszyńskiego*, Lwów 1862 (u Pillera). — *Protest starszeństwa zboru cieszyńskiego przeciwko założeniu ewang. seminarji w Bielsku, oraz powody, dla których też seminarja w Cieszynie założona być powinna*. Cieszyn 1863 (u Prochaski). Gdy z tym protestem przyszedłem do ks. Żlika, aby go do druku podpisał, bardzo mu się nie chciało dać swego podpisu, i dosyć długo odwlekał, ale gdy nalegałem na niego i przytoczyłem bliskie wybory superintendenta, i przyobiecałem mu podróż do zborów ew. na Morawie odbyć, aby tam wywrzeć jaki wpływ na te wybory, podpisał nareszcie protest, a ja polecałem do drukarni. — Wogóle księża nasi i profesorowie, będący w prezbiterstwie i poza prezbiterstwem, nie byli za seminarjum w Cieszynie, a drugi ks. Kłapsia odezwał się głośno na posiedzeniu 18 marca 1863 r. przed większym zastępstwem zboru: „Ludzie, złożcie ręce i dziękujcie Bogu, że Bielszczanie chcą ten wielki ciężar wziąć na siebie“. Tak wspierali księża rozkwit szkół ewangelickich u nas, tak wspierali prezbiterstwo i jego słabe siły w pożytecznych rzeczach. Seminarjum przepadło dla Cieszyna, a germanizacja jak dawniej góruje.

GODNOŚCI KOŚCIELNE. Niezadługo po wyborze prezbiterstwa przystąpiono do wyboru kuratora zboru, i wybrany zostałem na tę godność. Przy pierwszym konwencie senjoralnym wybrano mię także na kuratora senjoralnego, przez co mi różnych prac przybyło, mianowicie gdy ks. Żlik został senjorem, a ks. Terlica z Goleszowa konsenjorem. Niezadługo też zwołany został konwent superintendencjalny (przez ks. Lumnitzera, który jeszcze żył) do Berna. Tam uchwalono spisać protokół z posiedzeń w 3-ch krajowych językach, i ja wybrany zostałem do spisania polskiego protokołu, podobnie jak i na konwencie seminarjalnym. Między innemi przystąpiono do wyboru kuratora. Po obliczeniu głosów okazała się równość pomiędzy mną i jakimś Niemcem z Berna, którego nazwiska dziś nie pamiętam. Ten wynik wyboru mię bardzo zdziwił, bo mi ani przez głowę nie przeszło, żeby mi mógł kto dać głos; i ja mój głos oddałem Niemcowi, bo żaden inny kandydat nie był do wyboru postawiony. Przy drugim głosowaniu miał proponowany przez partję niemiecką, do której wszyscy Ślązacy należeli, Niemiec, o dwa głosy więcej ode mnie i został wybrany. Po wyborze przyszedł jeden ksiądz morawski do mnie i ubolewał nad tem, że z ich partji dwóch księży się uchwale sprzeniewierzyli, ja zaś byłem kontent i bardzo kontent, że mię nowa praca ominęła, a mianowicie, że nie będę musiał zasiadać w Synodzie. Jako mający mniejszość głosów, ogłoszono mię zastępcą kuratora superintendencyjnego, ale w tym przedmiocie nie powoływano mię ani razu na posiedzenia. Za to rozwijała się praca przy zborze cieszyńskim w najróżnorodniejszych kierunkach. Miano między innemi naukę katechizmową, która oddawna była w zaniedbaniu, na oku, bo z młodzieży prawie nikt nie uczęszczał w niedzielę na nią, a chociaż dosyć regularnie miewali księża *katezmus* po nabożeństwie przed ołtarzem, to z młodzieży szkolnej ani z tutejszej szkoły ludowej, ani z innych szkół zborowych nie było prawie nikogo.

Starszeństwo starało się też o to, aby przygotować zbowników na przyjęcie śpiewnika polskiego. Dotąd bowiem używano we wszystkich kościołach ewangelickich na Śląsku śpiewnika Trzanowskiego, wydanego w czeskim języku, i niewiadomo, czy kiedykolwiek śpiewali Polacy ewan-

geliccy w kościołach swoich z polskich śpiewników. Zajmowano się dłuższy czas układaniem polskiego śpiewnika dla naszych zborów, tłumacząc pieśni z czeskiego Trzanowskiego, z niemieckich śpiewników i zatrzymując polskie oryginały, ale praca nie szła sporo, aż nareszcie wziął się sam do pracy ks. Jerzy Heczko z Ligotki i dokończył i wydrukował śpiewnik polski. Ja byłem zdania, żeby przed wydrukowaniem przesłać manuskrypt ks. Otto w Warszawie do przejrzenia i poprawy, bo znalazłem w pracy ks. Heczki wiele usterek, ale druk się rozpoczął i manuskrypt został bez rewizji, co przynosi wielki uszczerbek zasłużonej pracy.

Na posiedzeniu starszeństwa i na posiedzeniu większego zastępstwa zboru uchwalono w roku 1864 zaprowadzić kancjonał polski we zborze, a w Wielkanoc 1865 r. pierwszy raz śpiewano w kościele Jezusowym z polskiego kancjonału. Ponieważ ustawa z dnia 8 kwietnia 1861 r. — tak zwany patent protestancki — wyszedł tylko w niemieckim języku, a dla nas Polaków ewangelików nie postarała się Rada kościelna o przetłumaczenie na język polski, a gdy się wielka potrzeba okazała, aby też zbory polskie wiedziały, jak się mają rządzić, tedy podjąłem się tej pracy, i miałem niejedną trudność przy tłumaczeniu do przewyciężenia. Równocześnie tłumaczył też ustawę ks. Heczko z Ligotki, a gdy oba tłumaczenia były gotowe przesłałem je do Lwowa, gdzie prezbiter Jan Bujak, radca dworu — Ślązak — poprawił te tłumaczenia, tak, że patent w nadwornej drukarni w Wiedniu wydrukowany został.

MOI PRZYJACIELE. Praca moja przy zborze była wielka i różnorodna i nie pamiętam już dziś, po więcej jak 30 latach, co tam wszystko wykonałem i przeprowadziłem. Protokoły z posiedzeń prezbiterjalnych i większego zastępstwa zboru dadzą świadectwo o moich czynnościach, chociaż rzadko występowałem osobiście z wnioskiem i wysyłałem zawsze innych kolegów do wstępnej walki. Wszystko czyniłem z prawdziwą chęcią i radością i poświęciłem bardzo dużo czasu do pracy, i do nadzoru, który mi był łatwym, gdyż z mieszkania mego widziałem cały Plac Kościelny i zabudowania zborowe i wiedzieć mogłem, co się tam

dzieje. Nieraz wychodziłem z domu w nocy, aby się przekonać, czy alumnea zamknięta i czy alumnisci w domu, czy domy kościelne są pozamykane, czy „wachtarze“ pilnują swego obowiązku itp.

Naturalnie, że moja czynność i mój nadzór nie podobały się całej Wyżniej Bronie, a raczej Placu Kościelnemu, a panie mówiły, że im do garnków zaglądam. Niekontenci byli mianowicie ci, którym na palce patrzyłem, i ukuli na mnie spisek, który mię miał pozbawić wszystkich godności kościelnych, a w dalszym ciągu i notarjatu. Zanieśli oni podanie do rady kościelnej, że ja prowadzę życie niemoralne, czy coś podobnego. Rada kościelna przesłała to pismo przez superintendenturę do senjora ks. Żlika, który mi o tem wprawdzie nadmienił, ale nie powiedział, o co właściwie chodzi. Podpisanych na podaniu było snadź trzech: Kajzar, Wojnar, a trzeciego nie wiem. Ks. Żlik wołał wszystkich Kajzarów, Wojnarów — aby się coś od nich dowiedzieć, ale nikt z zawołanych i wezwanych do protokołu nic nie wiedział, ani o podaniu, ani też o mojem życiu i złem zachowaniu. Sam Żlik zauważył, że podpisy muszą być zmyślone czyli podrobione, bo wszyscy Kajzarowie nie podpisują się Kajzar, jak było na podaniu, ale Kaizar, tym sposobem też nie Wojnar, ale Woinar. Ks. Żlik spisał kupę protokołów, a nie mogąc nic wyskumać odesłał akta superintendenturze i cała rzecz jako podła i nikczemna upadła.

SUBSTYTUCJA NOTARJALNA. W Cieszynie było 3-ch adwokatów i jeden notarjusz, Farnik. Nie wiem z jakich powodów uchwalono utworzyć drugą posadę notarjalną w Cieszynie i celem obsadzenia tejże rozpisano konkurs. O tę posadę ubiegał się między innymi Dr. Demel (później burmistrz miasta Cieszyna, poseł na sejm i do Rady państwa), również i ja. Naturalną rzeczą było, że Demel, mający już wtedy znaczne wpływy, posadę tę otrzymał. Gdy zaś sam na tej posadzie pracować nie mógł, ponieważ większą część roku bawił w Opawie i Wiedniu, tedy oglądać się musiał o substytuta. Ponieważ zaś takich ludzi bardzo mało było, tedy zrobił mi propozycję, czybym substytucji nie przyjął. Propozycję tę zrobił pewnie z niechęcią i z przymusu, ponieważ był *ein Urgermane*, ja zaś byłem sobie narodowcem, a stary Demel i Dr. Klucki, jak adwokaci

i dwa koguci nie żyli z sobą w wielkiej przyjaźni. I ja niebardzo chętnie traktowałem tę rzecz, bo znałem młodego Demla jako człowieka nieprzejednanego, i nie chciałem opuścić kancelarji Dra Kluckiego, w którego domu tyle lat bardzo przyjemnie sędziłem. Ale trzeba było się ruszyć, aby z czasem przecie dochrapać się samoistnej posady. Dr. Klucki nierad mię uwolnił z obowiązków, ale nic mu innego nie pozostało, a ja ułożywszy z Demlem wspólne stosunki, zostałem dekretem z dnia 12 maja 1863 zamianowany substytutem, a złożywszy dnia 15 maja 1863 przysięgę, objąłem w tym dniu urządowanie, postawiwszy wprzód warunek, że wszelkie dokumenty dla ludu pisać będę po polsku, na który warunek się Dr. Demel zgodził. Urządowanie moje było zupełnie wolne i swobodne; Dr. Demel nie mieszał się wcale do moich spraw, bo też nie troszczył się wcale o swoją posadę, nawet ani razu się jako notariusz nie podpisał. Na końcu drugiego roku mojej substytucji dowiedziałem się z pobocznej strony, że Demlowie chcą się między sobą mieniać, to jest, że młody Demel ma zająć posadę adwokacką starego Demla, a stary Demel posadę notariusza młodego Demla, i że minister wyjątkowo dał do tej zamiany swoje pozwolenie. Każdy wiedział, że po przeprowadzeniu zamiany stary Demel zrzecze się posady notariusza i poda w tym celu swoją rezygnację. A ze mną co w takim razie? Wszyscy mówili, że potem ja będę notariuszem na miejscu Demla. Ale młody Demel musiał być dobrze w górze poinformowany, bo mi radził, abym się ubiegał gdziekolwiek o posadę notarialną. I w samej rzeczy podałem się o Skoczów, który właśnie był opróżniony. Byłem na całe Księstwo Cieszyńskie jedynym kandydatem, miałem praktyki więcej niż było potrzeba, i miałem nareszcie kwalifikacje jak najlepsze, sądziłem więc, że się mi ta posada dostanie, a dlatego też nigdzie się nie ubiegałem i nie przedstawiałem, tem mniej, gdyż mi Dr. Demel przyrzekł, że moje zabiegi u ministra poprze. Tymczasem adjunkt sądowy Michel pojechał do Wiednia, i nagadał ministrowi na mnie, że jestem panslawista, że się wychowałem w kancelarji Dra Kluckiego, że jestem człowiekiem takim a takim, i że mi nie może powierzyć posady notarialnej na Śląsku. Sam Dr. Demel mówił mi, że się go minister pytał: *Können Sie mir für den*

Mann bürger? — a że mu on odpowiedział, że ręczyć za mnie nie może, czy będę trąbił w róg niemiecki, ale że się, o ile mię zna, nie będę wdawał w żadne agitacje. Koniec końców Michel otrzymał posadę notariusza w Skoczowie, a ja osiadłem na lodzie nietylko względem Skoczowa, ale i Cieszyna, gdzie drugą przed dwoma laty kreowaną posadę notariusza całkiem zwinięto. Z łaski i miłosierdzia dano mi nareszcie posadę notarialną w Schildbergu, na ostatnim krańcu Morawy, na granicy czeskiej i pruskiej, między Niemcami. Odpowiedni dekret datowany jest z dnia 14-go marca 1865. Nie leciałem zaraz do tego Schildbergu, ale gdy ministerstwo nalegało na objęcie posady lub wniesienie rezygnacji, a gdy Dr. Demel starszy zrezygnował z posady, tak, że zostałem między niebem a ziemią, zdecydowałem się pojechać do tego Schildberga i zainstalowałem się tamże dnia 15 listopada 1865 r. jako notariusz.

OPUSZCZENIE CIESZYNA. Różnorodnymi pracami, które z wielką gorliwością i sumiennością sprawowałem, tak mocno się przywiązałem do Cieszyna, iż mi się zdawało, że na innem miejscu żyć nie potrafię; dlatego też moje rozstanie się z Cieszynem było bardzo smutne. Trzeba było porozwijać węzły, które mię z nim łączyły. Najprzód złożyłem urząd mój w Czytelni ludowej w Cieszynie, który od początku istnienia tejże jako sekretarz i kasjer sprawowałem. Wkrótce po założeniu Czytelni pożyczyłem jej mojego fortepianu, abyśmy mieli muzykę i aby młodzież zachęcić do uczęszczania, starym zaś uprzyjemnić pobyt tamże. Przy pożyczaniu postawiłem warunek, że mi Czytelnia płacić będzie za to pożyczenie miesięcznie 5 zlr., a ja każdy miesiąc złożę te 5 reńskich do kasy oszczędności, i składać je będę tak długo, dopóki się tym sposobem nie uzbierze kwota, na zakupienie nowego fortepianu potrzebną. Na odchodnym tedy proszono mię, bym mój pożyczony fortepian pozostawił Czytelni we własności, czyli abym jej sprzedał mój fortepian, a pieniądze tymczasem za wypożyczenie uzbierane i będące w kasie oszczędności sobie jako cenę kupna zatrzymał. Naturalnie, zem się na tę propozycję zgodził, a Czytelnia nabyła na własność fortepian za cenę kupna, która właściwie tytułem czynszu mi się należała.

Złożyłem zkolei urząd prezbitera i kuratora zboru cieszyńskiego. Na ostatniem posiedzeniu uchwalono w mojej nieobecności ofiarować mi w uznaniu moich prac i zasług około kościoła i szkoły, bardzo skromne, jak się wyrażono, w ilości 50 reńskich wynagrodzenie, mianowicie też z tego powodu, iż wiele prac prawniczych wykonałem, za któreby jakiemu juryście trzeba było zapłacić. Za to uznanie podziękowałem starszeństwu życzeniem, aby owe 50 reńskich obrócono na zegar, który umieścić wypadało na budynku alumnejskim, gdyż zegar kościelny szedł nieregularnie i dla swojej wysokości nie można się było godziny dopatrzeć. Na moją przyłytyościową interpelację sprawiono nareszcie po kilku latach zegar na budynku alumnejskim, który się dzisiaj przysłuży nie tylko młodzieży gimnazjalnej, ale i wszystkim obywatelom Placu Kościelnego i zborownikom, idącym do kościoła i z kościoła. Doniosłem także senjoratowi w Bielsku, że z powodu opuszczenia Śląska jestem spowodowany złożyć moje godności kuratora senjoralnego. Senjorem był wtedy znany Haase, obecnie superintendent w Cieszynie. Na to moje podanie nie odebrałem żadnej odpowiedzi, a przecie zasłużyłem sobie na to, żeby na moje „Bądźcie z Bogiem“ odpowiedział mi senjorat „z Panem Bogiem“. Takiego uchybienia tylko Haase mógł się dopuścić.

Pożegnałem się i z Dr. Kluckim, który, chociaż mi gratulował, że się przecie samoistnej posady dochrapałem, przecie ubolewał, że z Cieszyna odchodzę, że mianowicie Czytelnia przez to wiele utraci, ale i po jego stronie jest wielka strata, ponieważ nie będzie mógł rozmówić się człowiekiem równych zasad i przekonań i dodał, iż mu to jest tem smutniej, gdyż zaniewidział i nie może bez obcej pomocy ani domu, ani pokoju opuścić. W chwili wyjazdu zebrałi się w mojem pomieszkaniu wszyscy młodzi prawnicy na pożegnanie, życząc mi prędkiego powrotu do Cieszyna a przynajmniej do Śląska. Gdy siadałem do powozu, który mię miał zawieźć do Pietrowic na kolej, rozplakałem się. Była to jedna z najsmutniejszych chwil mego życia.

SCHILDBERG.

Od 15 listopada 1865 do 5 listopada 1867.

Jechałem przez Ołomuniec aż do stacji kolejowej Hohenstadt, a stamtąd pocztą aż blisko na miejsce, niespełna trzy mile drogi do stacji pocztowej Bukowiec. Stamtąd przynosi poseł pocztowy listy i paczki do Schildbergu, blisko pół mili drogi. Pieszko nie chciałem wjazdu do Schildbergu odbyć, listonosz schildberski nie chciał mię wziąć na barana, bo miał na grzbiecie parę paczek pocztowych, więc pocztmistrz zmiłował się nade mną i dał mi wóz pocztowy, parę koni i parobka w mundurze, z trąbką pocztową na grubym sznurze z kutasami. I tak sobie jechałem do tego Schildbergu, a parobek pocztowy sobie potrębkował. Niezadługo stanęliśmy pod murami Schildbergu, a minąwszy przedmieście, składające się z kilku drewnianych stodół, wjechaliśmy odrazu do rynku. Pocztarz, zwolniwszy kroku, zaczął dać w trąbkę, a dał bez ustanku tak rozmaicie i tak straszliwie, że obywatele z rodzinami powypadali z domów, by się dowiedzieć, co się tu dzieje, czy gdzie nie gore, czy bliski Prusak nie najeżdża na miasto, ale widząc wóz pocztowy — niekażdy taki wóz już widział — i siedzącego w nim człowieka, uspokoili się i kiwali tylko głowami, mówiąc, kto też przyjechał? Jadąc przez rynek stępem, bo było spadzisto, nie dał się pohamować w trąbieniu, chociaż go za kabat rwałem, aż stanął przed oberżą Krasnego, na przeciwległej stronie rynku. Wytchnąwszy i posiliwszy się trochę, nawrócił, a jadąc pod górę po rynku, trąbił, aż się po mieście rozlegało, a ludzi było na rynku i przed oberżą Krasnego tyle, jak kiedy się wysypie lud z kościoła lub zjadą jarmarczniczy. Niebawem dowiedzieli się też obywatele, kto to przyjechał, a na rynku zrobiło się cicho i pusto,

tak, że się nie można było dopatrzeć człowieka. Zająłem pierwsze piętro domu w rynku na pomieszkanie i kancelarję i rozpocząłem niebawem moje urzędowanie. Nie miałem z początku wiele do czynienia, bo mój poprzednik Hesse nie dbał wiele o notarjat, trudnił się bowiem innemi sprawami, głównie urządzaniem teatrów amatorskich, koncertów, śpiewów itp. Zamykał się on w swojej kancelarji, a rozłożywszy płótna na podłodze, sporządzał malowidła do teatru. Pod takim zaniedbaniem nie mógł notarjat zakwitnąć, a gdy Hesse przeniósł się na inną posadę i przed 1½ roku przede mną opuścił Schildberg, to już notarjat zupełnie był podupadł. Parę pozostałości, jak zwykle wszędzie obciętych, parę podań do ksiąg gruntownych i niektóre drobiazgi — oto wszystko, tak, że ledwo mogłem potrzeby kancelarji i mojej osoby opędzić. I nie mogło być z początku inaczej, bo w mieście i na wsi, w sądzie i poza sądem kwitnęło pokątne pisarstwo. — To też tem więcej miałem czasu, aby prowadzić korespondencje z Cieszynem, Ustroniem, a najwięcej z Krakowem, gdzie miałem moją ulubioną Matyldę Klug, i zanosilo się jakoś na wesele. Mając jaką taką posadę, mogłem myśleć na serjo o ożenieniu, a żenić się koniecznie wypadało, bo miałem wieku 40 lat skończonych. I w samej rzeczy ożeniłem się, a wesele odbyło się w Krakowie, dnia 13 lutego 1865 r., a żonę zabrałem z sobą zaraz do Schildbergu. — Okolica Schildbergu jest pagórkowata, większe i mniejsze lasy liczne, ale drogi haniebne. Już aby z miasta wyjść, trzeba było przebyć błota bezedna, nie było tam mowy, aby błota zgrzynać lub położyć kamienie w kałuże, aby człowiek, skacząc z kamienia na kamień, nie musiał się tak haniebnie zaszargać. Ale pod tym względem nabyli Schildberżanie wielkiej sławy, bo nie chcieli, aby np. bita droga (cesarska) szła przez ich miasto, albo w bliskości miasta i bronili się zawzięcie przez długi czas, a to dlatego, aby nie być narażonymi na przemarsze wojska i kwaterowanie tegoż. I upartością swoją zwyciężyli i są dzisiaj bez drogi i cieszy ich to bardzo, że są sami przez się. Aleć im się to na niewelle przydało, bo w roku 1867 Prusacy zaglądali często na rekwizycje do Schildbergu i mieli nawet utarczki z naszymi przedniemi strażami, a rynek schildberski słyszał strzelby i widział

krew. Na rekwizycjach swoich zabierali Prusacy najróżnorodniejsze rzeczy, a obywatele chowali co mogli, wywozili nawet drzewo opałowe z miasta do lasów, a tak Schmid, kupiec, wywiózł cały swój zapas opału do swego dosyć oddalonego lasu, sądząc, że go tam Prusacy nie znajdą. Nawet większe masy wojska znalazły Schildberg, choć nie miał drogi, a tak jednego wieczora przybyło przez 10.000 naszego wojska na nocleg. W moim domu było ich przez osmdziesiąt na kwaterze, a gdy rano nadszedł, żołnierze nie mieli co jeść, bo chleba nie dowieziono, a mieszczanie też nic nie mieli, tedy żołnierze rozchwycili w momencie pierniki, które miały przekupki na stołach, a z takim posiłkiem szli, aby się bić z nieprzyjacielen.

Wieczory przepędzałem zwykle w domu, niekiedy poszedłem też do „Prachtla“, gdzie się inteligencja na taroka zwykle co wieczór schodziła; a do tej inteligencji zaliczyć należy sędziego powiatowego, adjunkta sądowego, poborcę i lekarza. Grano zwykle *königrufera* i pito piwo, kto się spóźnił, mógł tylko kibicować. Oto cała rozrywka. Raz do roku zapraszał sędzia inteligencję i parę innych obywateli na wieczorek, gdzie się zwykle dobrze bawiono. Ponieważ w kancelarji nie było wiele do czynienia, wychodziłem po obiedzie z żoną na spacer i zwiedziliśmy tym sposobem całą okolicę. Najczęściej chodziliśmy do Palenej hory zalesionej, przez którą górską rzeka z szumem przepływa, tam zbieraliśmy wczas na wiosnę dafnę i inne kwiatki, drapając się przez śniegi i błota, przez grapy i lasy na wierzchołki pagórków. Spacer te należały do zwykłego porządku dziennego i jeszcze teraz wspominamy sobie z przyjemnością te nasze wycieczki. Schildberg nie ma żadnych ulic, tylko dosyć duży rynek, ogrodzony domami, po większej części murowanymi. Szczyty tych domów wychodzą na rynek i składają się z dwóch, nawet trzech pięter, raczej strychów. W środku samego rynku jest duża kamienica, w której umieszczone są sąd powiatowy, urząd podatkowy, a na drugim piętrze jest pomieszkowanie sędziego.

Powiat szyldberski jest w połowicy niemiecki, w połowicy czeski czyli morawski; niektóre gminy są czysto niemieckie, inne zaś czysto morawskie, ale wszyscy mieszkańcy mówią po morawsku i po niemiecku, bo im są oba języki

potrzebne, gdyż prowadzą znaczny handel i przemysł. W życiu publicznym mówią dosyć dobrze po niemiecku, bo się uczą w szkole, ale między sobą mówią językiem czyli raczej dialektem niemieckim, którego trudno zrozumieć. Ja nigdy dobrze nie rozumiałem tego języka, a o ile był w kancelarji używany, tłumaczył mi mój pisarz niezrozumiałe ustępy. Podania do sądu wnoszone były czeskie lub niemieckie.

Byłem też raz zaproszony na bal w Schildbergu. Był to bal bardzo prymitywny, czterech muzykantów, kilkanaście osób, nędzny lokal a jeszcze gorsze oświetlenie. Oprócz zwykłych tanów śpiewano i grano „*Flachs in dem Walde*“, najulubieńszą piosnkę Schildberżanów. Tak jak w krakowiaku śpiewał pierwszy tancerz zwrotkę i wszyscy słuchali, poczem zagrała muzyka tę samą melodję a wszyscy tańczyli, zaczem śpiewał drugą zwrotkę i znów taniec, tak długo, aż się piosnka skończyła, którą potem inny śpiewak z początku śpiewał. Nie można opisać zapału, z jakim piosnkę śpiewano, grano i tańczono, zdało się, że wszyscy szaleją i że karczmę rozwalą. Podczas tańców jeden z obywateli (kupiec Schmidt), oparłszy się o ścianę, gryzł orzechy i łupiny rzucał tańczącym pod nogi na podłogę. — Zdaje się, że Schildberg leży już na samym końcu świata. Oddalenie od stacji kolejowej (3 mile), od stacji pocztowej ($\frac{1}{2}$ mili), brak porządných dróg, są przeszkodą, że się Schildberg nie może podnieść i pono za sto lat będzie taki, jakim jest w dniu dzisiejszym. A możnaby i tu co zrobić, bo okolica zdrowa, pola na najwyższych szczytach nawet urodzajne i do obrabiania lekkie. Pierwszy raz w życiu widziałem tu zaprzężone dwie kobiety do pługa, który mężczyzna prowadził, i tak orano pagórkowate pola. Takie zaprzęgi często można było widzieć na wiosnę i na jesień.

Niespełna po roku, bo 18 grudnia 1866 urodził mi się syn, Władysław, który w pomieszkaniu naszym ochrzczony został, bo parafja protestancka jest w Bernie. Chrztu dopełnił ks. Janik z Ustronia, który pomimo wielkich zawiei śnieżnych do nas przybył.

Muszę jeszcze wspomnieć, że na trzeci dzień po mojem przybyciu do Schildbergu, przybyli do mojego pomieszkania ks. proboszcz czy dziekan z dwoma adlatusami, i cała rada czyli wydział gminy z burmistrzem na czele, coś

wszystko koło piętnaście osób, aby mię jako notarjusza w Schildbergu powitać. Była to dla mnie przyjemna niespodzianka. „Svaty Vaclav modlil se, čerte vem némce“ — a ja się również modliłem, aby czart zabrał Prusaków, którzy najechali naszą ziemię. Tak mi się ten nieprzyjaciel zoszklwił, żebym był nie wiem co dał, aby go już djabli wzięli. Ale to codzień przychodzili nowi, i szli w stronę ku Wiedniowi, a wszędzie ich było pełno jako wszy w strupie. W tym ucisku moim nadeszła wiadomość, że ministerstwo pozwoliło rozpisać konkurs, celem obsadzenia drugiego notariatu w Cieszynie, właśnie tej posady, którą jako substytut zajmowałem. Wiadomość tę przyjąłem z wielką radością, i nie omieszkalem też wystosować odpowiednie podanie. Nie było wiele kandydatów, najgłówniejszymi byli Andrzej Kotula, notarjusz z Frysztatu i ja. Gdy wnioski w toku instancyj poszły do Wiednia z Berna, gratulowano mi, że jako będąc na pierwszym miejscu postawiony, posada cieszyńska mię nie minie. I ja byłem tego zdania, gdyż wiedziałem, iż minister wojny John wstawił się, jako krewny mojej żony, u ministra sprawiedliwości za mną, a dlatego nawet nie pojechałem do żadnej instancji, ani też do Wiednia, aby osobiście się przedstawić, i w ten sposób dopilnować korzystnego załatwienia sprawy. Po dłuższym czasie wyczytałem w Gwiazdce Cieszyńskiej, że, jak wieści z Wiednia dochodzą, Andrzej Kotula został do Cieszyna zamianowany, dowiedziałem się też, że Dr. Schmettan, mój kolega z kancelarji Dra Kluckiego, jest do Frysztatu na miejsce Kotuli przeznaczony. Na takie wiadomości zebrałem się do Wiednia i uzyskałem audjencję u ministra. Ten przyjął mię bardzo grzecznie, pytał się, czy to za mną John wstawił się u niego, ale dodał, że posadę otrzymał Kotula, że teraz nieda się już nic zmienić i poznałem z jego mowy, iż mu bardzo nieprzyjemnie, że o mnie zapomniał. Nie chciałem w tej sprawie broić, i prosiłem ministra, aby mi przynajmniej Frysztat dał. Najchętniej, odpowiedział, ale cóż zrobimy ze Schmettanem, który jest przeznaczony do Frysztatu, czy on pójdzie do Schildbergu? Nie wiem, ale zdaje się że pójdzie, a stamtąd może się ubiegać o lepsze miejsce. Za trzy dni miałem dekret, niestety że nie do Cieszyna, ale przecie do mojego kochanego Śląska — do Frysztatu. Od-

tąd kierowały się moje wszystkie myśli do Frysztatu, i po
 załatwieniu wszystkich formalności opuściłem z końcem
 października ten sławny Schildberg i otwarłem kancelaryę
 moją w Frysztacie dnia 5 listopada 1867 r. Później dowie-
 działem się od Kotuli, że on udał się do hrabiny Larisch
 w Frysztacie o protekcję na cieszyński notarjat, i odebrał
 od niej bilet rekomendacyjny do ministra sprawiedliwości,
 i tej tylko okoliczności ma do zawdzięczenia posadę nota-
 rjalną w Cieszynie. Kobieta pobiła czyli pokonała ministra
 wojny, z czego się okazuje, jak silne są te nasze słabe
 kobiety.

FRYSZTAT.

Od 5 listopada 1867 do 1 sierpnia 1881.

Gdy otwarłem moją kancelarję w Frysztacie, niewiele bardzo przychodziło do mnie, bo notariusz mój poprzednik, równie jak i w Schildbergu, niewiele dbał o kancelarję. Jego najulubieńszem zatrudnieniem było zbierać chrząszcze, grzyby i rośliny. Był on wielkim miłośnikiem natury, znał się wyśmienicie w przyrodzie, a jego zbiory, mianowicie chrząszczy, były znakomite. Rzadko bawił w kancelarji swojej, nieco częściej bawił w sądzie, gdzie strony w sprawach cywilnych i karnych zastępował. Naturalną rzeczą, że i tu w Frysztacie zakwitło pokątne pisarstwo, a to i mnie dało się we znaki. Z bezczynności kancelaryjnej wyrwało mię z 60 pozostałości zalegających stoły sądowe, które mi do przeprowadzenia przydzielone zostały, a pomału, pomału znachodziła się praca, tak, że mogę powiedzieć, iż byłem odpowiednio zatrudniony. Byłem także obowiązany odbywać w Boguminie *Amtstagi* i jeździłem tam raz na tydzień. Wtedy nie było jeszcze mostu przez Olzę pod Kąkolną, trzeba było przez wodę przejeżdżać, a przejazd ten przez wodę lub przez lód był kwestją dla mnie wielkiej wagi. Krytą bryczką nie można było przez Olzę przejechać, musiałem tedy jeździć na otwartym wózku, na ociepcie słomy, derką przykrytej, bo taka tylko okazja dała niejakię bezpieczeństwo przed przewróceniem się do wody. Niekiedy rano rzeka była mała i spokojna, ale zpowrotem, gdy w górach deszcze spadł, groziło niebezpieczeństwo, a gdy człowiek wjeżdżał w wodę, to się żegnał i robił testament, jak gdyby nie miał na drugą stronę rzeki przejechać. Często trzeba było jechać i wracać przez Karwinę, która

droga gorsza i dłuższa była. Czasem było trzeba wracać i przez Cieszyn i stracić dwa dni czasu i płacić podwójnie furmana. Jeździłem regularnie, aby ludzi na ten dzień przyzwyczać, a gdy w tym dniu słońca trafiła, to bardzo wiele wycierpiałem. Jazda trwała więcej jak dwie godziny, i trzeba się było zpowrotem śpieszyć, aby nie zaćmieć, bo przejazd przez wodę w ciemności był straszny. Niewiele przez te *amtstagi* zyskałem, bo albo ludzie dla słońca nie przyszli, albo też w dzień pogodny dużo przyszło ludzi i nie mogłem niczemu poradzić, bo sam byłem i ledwo mogłem spisać informację i księgę gruntową przejrzeć. Sędzią powiatowym był wtenczas Klein, który umiał człowiekowi dokuńczyć; i doznał tego mój następca Santarjus, który z nim w ciągłych zatargach żył, dopóki nie został pensjonowany. Pomału, pomału, miałem we Frysztacie pracy poddostatkiem; nie włóczyłem się po kancelarjach szukając zarobku, ale siedziałem w mojej kancelarji, a ludzie garnęli się do mnie. Pracowałem najwięcej sam i miałem tylko dwóch pisarzy. Wszystkie protokoły pertraktacyjne własnoręcznie pisałem, a po załatwieniu podawałem do sądu, oprócz tego odbywałem wszystkie strony, które podczas pertraktacji przybywały. Przyszedłem do przekonania, żeby mi była siła pomocnicza potrzebna, i wziąłem do kancelarji jurystę Kasprzykiewicza, ale się na nim bardzo zawiodłem, bo bardzo mało co wiedział i do niczego się nie dokładał. Po dłuższej próbie radziłem mu, aby wstąpił do starostwa powiatowego w Frysztacie, że tam może do czego doprowadzić, gdy zawód cywilny nie dla niego stworzony. Usłuchał mię i dziś jest już starostą. Natężona praca nadwreżyła moje siły, a gdy do tego cały dzień paliłem cygara, tedy podupadłem na zdrowiu i musiałem szukać ulgi w kąpielach, tak, że pierwszy raz pojechałem do Gleichenbergu w r. 1871, gdzie odświeżyłem siły moje, i gdzie też oduczyłem się szkodliwego bardzo dla mnie palenia cygar. We Frysztacie nie było wtedy żadnego adwokata, ale jak zapanował fałszywy liberalizm i zniesiono *numerus clausus*, pojawił się zaraz adwokat, a teraz jest ich nawet trzech. Ja nie miałem z sądowemi sprawami czyli z procesami nic do czynienia, chyba że mię który z odległych adwokatów substytuował do stania na terminie, co nie rad czyniłem, bom stracił dużo

czasu a w kancelarji ludzie czekać musieli. Burmistrzem był wtedy Altmann, kupiec towarów mieszanych; był to uczciwy ewangelik, a Frysztaczanie nie mogli się wydziwić, że mają protestanta na czele gminy. Gdy raz przy nowych wyborach zrezygnował z posady, na którą ponownie wybrany został, Frysztaczanie zrobili mu *fakelzug* i prosili go, aby znów urząd ten przyjął, co też nareszcie uczynił. Nawet proboszcz Hudziec, syn chałupnika z Karwinej, zgadzał się na to, chociaż nie chciał mieć żadnego ewangelika w zastępstwie gminy. Gdy po śmierci Altmanna nastąpiły nowe wybory, chodzili do mnie Frysztaczanie, czybym nie przyjął wyboru na burmistrza, a jak wybór przeprowadzono, pokazało się, że ani do Wydziału wybrany nie zostałem. Te deputacje powtarzały się przy każdym następnym wyborach, ale ks. Hudziec (dziekan *monsignore*) zawsze to umiał w inną stronę skierować, a ja miałem sposobność porównywania Frysztaczanów z Szyldbergerami.

Pewnego razu zanosilo się na serjo na założenie Czytelni ludowej na wzór cieszyńskiej, przystąpiło nawet już kilkunastu członków i zaprenumerowano kilka polskich gazet, ale to nie trwało długo i wszystko się rozlało, a ja sądziłem, że temu jest ks. Hudziec winą, i że nawet prenumerata nawskroś katolickiego *Czasu* nic nie pomogła. A Czytelnia byłaby się Frysztaczanom i okolicy bardzo przydała, bo to tam lud bardzo ciemny a Frysztaczanie naturalnie stoją na czele. Nie może też być inaczej, bo w szkole uczą przeważnie po niemiecku, ludzie nie czytają gazet a książek nie mają. W Frysztacie jest szkoła o 4 klasach, dzieci bez wyjątku wszystkie polskie, a szkoła jest niemiecka; po polsku nie uczą, bo też nauczyciele nie umieją języka polskiego. Jakże taka szkoła szerzyć może światło, gdy wszystko, co jest w niej, jest obce, a więc ciemne. Zabiegi moje, aby przynajmniej w pierwszych dwóch klasach uczono po polsku, spełżyły na niczem. I to nie pomagało, że *Obmanem* rady szkolnej miejscowej był Polak, adjunkt sądowy Szłapa Jan. Gdy jednego razu święcił swoje imieniny i zaprosił wszystkie frysztackie czoła do siebie, ja tam nie poszedłem, ałem mu przysłał, gdy wszyscy koło stołu siedzieli, następujący wierszyk:

Święty Janie Niepomucki, który siedzisz w niebie,
 Tobie dobrze, a nam tu źle, jesteśmy w potrzebie.
 Guty morgi, kis dy handy szkoła na nas miota,
 Tak się nam tu zagnieżdżyła niemiecka hołota.

Święty Janie weźże kij,
 Tych Prusaków wal a bij.

Czy ten wierszyk był wśród zebranych gości czytany czy nie, nie wiem, bom się nikogo o to nie pytał, a Jan Szłapa nic o nim nigdy nie wspominał.

Frysztat jest jakby na straconej warcie. A mogło być inaczej, gdyby Frysztaczanie nie byli się zagapili na Szyldbergerów. Gdy budowano kolej północną, był projekt prowadzić ją przez Frysztat a nie przez Zebrzydowice i zgoła granicą pruską. Ale Frysztaczanie oparli się temu, ponieważ mieli stodoły, któreby się były mogły spalić od iskier lokomotywy. Musiano więc budować kolej na nieodpowiednim miejscu, gdzie między innymi zbudować musiano wielki wiadukt w Zebrzydowicach, który miliony kosztował. Gdy tor przez Zebrzydowice i w bliskości pruskiej granicy był wyłączony, przyszli inżynierowie kolejowi do burmistrza Szalszy w Frysztacie i przedstawiali mu, jak to nierozsądnie sobie z koleją postąpili, i żeby się to dało jeszcze naprawić i kolej przez Frysztat przeprowadzić, gdyby koszta nowych pomiarów, które na 500 reń. oznaczyli, były przez Frysztaczan wynagrodzone. To mi sam stary burmistrz Szalsza opowiadał. Ale Frysztaczanie zostali na warcie przy stodołach, które kilkanaście lat później do szczytu się spaliły. Obecnie przebiegają koleje północna i koszycko-bogumińska w odległości każda pół mili od Frysztatu, a ten zamiast się podnosić, jak inne miasta, gdzie kolej przechodzi — jak np. Cieszyn — upada; a gdy się Karwina podniesie, Frysztat zupełnie upadnie i stanie się lichą mieściną. Już teraz nawet jest inaczej, jak dawniej bywało, gdy stary hrabia Larisch jeszcze żył i w Frysztacie bawił. Cały dzień roiło się przed zamkiem, powozy przyjeżdżały i odjeżdżały, panowie i panie wyjeżdżali konno, goście zdalsza i zbliższa przyjeżdżali, tak że zawsze było rojno przed zamkiem. Między gośćmi najczęściej bywali hr. Larischowie z Wielkich Kończyc, baron Mattencloit z Orłowej przyjeżdżał co niedziela na obiad,

a z dalsza była szlachta, byli ministrowie i inni. A jakże to odświętnie wyglądał Frysztat, gdy się odbywało wesele młodego hrabiego Henryka, gdy przyjechał następca tronu Rudolf w odwiedzinę, lub gdy sam cesarz przybył, jakie to bramy tryumfalne w mieście i przed zamkiem, jakie oświetlenie miasta i drogi do kolei w Karwinej, jaka masa górników z lampkami, jakie mnóstwo różnego narodu zbliśka i zdaleka a wszystko z nastrojem radosnym, wesołym. Takie chwile musiały utkwąć każdemu w pamięci i ja sobie rad o nich wspominam. Niestety wszystko się zmieniło, młody hrabia Henryk zdał maturę, profesorowie gimnazjalni z Cieszyna już nie przyjeżdżali na egzamina, *hofmeister* hrabiego opuścił Frysztat, hrabia się ożenił a wybudowawszy wspaniały zamek w Solcy przeniósł się dotąd na stałą siedzibę, hrabia Eugenjusz z Wielkich Kończyc i hrabina pomarli, córka pani Laryszowa także zmarła, a nareszcie przyszła kolej na starego hrabiego Jana Larischa. Tenże umarł na chorobę Brighta w Anglii, i przywieziony został do Frysztatu i tamże pogrzebany. Tak się wszystko a wszystko zmieniło, pozostała tylko stara hrabina, która zazwyczaj bawi przez lato w Frysztacie, sama jakby w klasztorze. Bóg wie, czy jeszcze odżyje kiedy frysztacki zamek hrabiowski, bo jedyny potomek po mieczu, hr. Henryk, nie opuści swego nowego zamku w Solcy, a skąd inąd zamek frysztacki się nie zaludni.

Ta przemiana jest wielką stratą dla Frysztatu, a gdyby, jak się na to pomału zanosi, przeniesiono starostwo i sąd powiatowy do Karwinej, to już potem po Frysztacie.

Frysztat, w którym dawniej rzadko kiedy słówko niemieckie słyszeć było można (a znam Frysztat od roku 1843, a więc zgórą lat pięćdziesiąt), zniemczył się już do połowy, a temu są jedynie szkoły winne, gdzie wyłącznie polskie dzieci uczą po niemiecku. Gdy był popis ludności w roku 1880, odezwał się były wtenczas starosta w Frysztacie, Klingner, obecnie przy rządzie krajowym w Opawie radca dworu, w publicznym lokalu: „Mamy popis ludności, zkadże my tu Niemców nabierzemy (*woher werden wir hier (in Freistadt) Deutsche hernehmen?*)“. Aleć ich dosyć nabierano, bo wszystkich, co umieli powiedzieć *gut morgen*, wpisano między Niemców. Pewnego wyrobnika, który

mieszkał w moim domku ogrodowym, zapisano *mit Umgangssprache „deutsch“*, bo umiał powiedzieć *gut morgen*, obejścia zaś nie miał z nikim, tylko z żoną i małymi dziećmi, z których nikt ani słowa po niemiecku nie umiał. Była to zawsze ciekawa *Umgangssprache*. Żal, prawdziwy żal robi się człowiekowi, gdy się na szkolną dziatwę popatrzy!

Do Cieszyna jeździłem częściej od czasu, gdy się skończyły *Amtstagi* w Boguminie; miło mi było utrzymywać styczność z moimi znajomymi presbiterami i innymi rolnikami. Od nich też najprędzej dowiedzieć się mogłem, co się dzieje w presbiterstwie zboru cieszyńskiego i w naszych towarzystwach narodowych. Z obowiązku zaś bywałem na posiedzeniach i walnych zebraniach. Gdym rano wjeżdżał do Cieszyna, serce mi się radowało, a gdy wieczorem opuszczałem miasto, smuciłem się, że nie mam posady w Cieszynie, i że muszę znów do Frysztatu, który wszystko we wszystkim nie był mi bardzo sympatyczny. Gdy założono w Cieszynie Towarzystwo naukowej pomocy, niejedna setka wpłynęła do tej kasy przez moje ręce, lub pośrednictwo, a projekt, aby tych członków, którzy złożą taki kapitał, z któregoby roczny procent wynosił jeden reński (zwyczajna roczna wkładka członków zwyczajnych), uważani byli za członków wieczystych i aby wpisywani byli do osobnej listy, jest moim projektem, co też zapisane jest (nad moje spodziewanie) w księdze protokołów. Jak wielce ta myśl przyczyniła się do podniesienia rocznych dochodów towarzystwa, przekonać się można z rocznych sprawozdań. I sprawa bazarowa zaprzętnęła mi głowę; lecz o tem przedsiębiorstwie napiszę później. Wogóle mało się przyczynić mogłem do rozwoju życia narodowego, bo we Frysztacie nie miałem nikogo a nikogo, z kimby można otwarcie i poufale o sprawach narodowych pomówić. Jedyne dziełem, które za mojej bytności i mojem przyczynieniem się w Frysztacie powstało, jest założenie filji Towarzystwa oszczędności i zaliczek w Cieszynie, jak to odezwa w grudniu 1876 r. wydana poświadcza, która to filja dotąd się utrzymuje. O podręcznikach myślałem wprawdzie, ale nic nie pisałem, tylko zbiór pieśni śląskich z roku 1847 i 1848 tą i ową piosnką uzupełniłem i zebrane przysłowia śląskie uporządkowałem.

W przeciągu lata, jeżeli nie pojechałem do dalszych kąpiel, bawiłem przez cztery tygodnie w Ustroniu, gdzie żona moja z dziećmi zwykle całe lato bawiła. Innych przyjemności lub odetchnień nie znałem i nie miałem. I tak mi przy pracy sporo upływał czas i zdawało się, że już w tym Frysztacie na wieki zostanę, chociaż mię nie opuszczała nigdy nadzieja, że się miejsce mojego pobytu zmieni i że moje długie marzenia urzeczywistnione zostaną. Droga do tego niezadługo otwartą została. Notarjusz Farnik po dłuższej chorobie umarł i posada notarjusza w Cieszynie otwartą została. Nadzieja, która bez przerwy we mnie tłała, ożywiła się naraz i już teraz tylko o Cieszynie myślałem. Naturalnie, że też dołożyłem wszelkich starań, aby ubieganie się o Cieszyn nie spełzło na niczem. Przekonawszy się, że bez protekcji człowiek na tym świecie nic nie osiągnie, starałem się przedewszystkiem o nią. Udałem się najsamprzód do Excell. ex-ministra a obecnie prezesa Koła polskiego Grocholskiego, który mię dobrze przyjął i sprawę moją u ministra Prażaka poprzeć przyobiegał. Następnie udałem się do Excell. Smolki, prezydenta rady państwa, któremu wręczyłem *pro memoria* z prośbą, aby takowe ministrowi doręczył i moją sprawę poparł, co chętnie uczynić przyrzekł. Minister Prażak, do którego się następnie, jako do osoby sprawę rozstrzygającej udałem, przyjął mię również dobrze, a gdy mu po dłuższej rozmowie napomknąłem, że na Śląsku w Księstwie Cieszyńskim potrzebny jest koniecznie notarjusz, umiejący język polski, odpowiedział z przyciskiem, że do Cieszyna przyjdzie z pewnością notarjusz, umiejący po polsku. O tę posadę ubiegał się między innymi i notarjusz Kadrnożka, Czech, i adwokat Eisenberg z Białej, Polak recte Ślązak, obydwaj zaprzyjaźnieni z ministrem. Mianowicie ubiegał się o tę posadę Kadrnożka, który przy wyborach różnych Prażakowi niejedną grzeczność wyświadczył i który bawił jeden rok w Krakowie na uniwersytecie, i tam się trochę po polsku nauczył, który nareszcie miał krewnych w Cieszynie i dawniej tu był adjunktem. Pomimo tego zdawało mi się z początku, że moja protekcja wszystkie trudności przemoże, ale później zacząłem nieco powątpiewać, mając często na myśli słowa ministra, że

do Cieszyna przyjdzie notarjusz, umiejący po polsku. Gdy sprawę tę przy sposobności przedniosłem Kotuli, notarjuszowi w Cieszynie, oświadczył tenże, że wobec Kadrnożki protekcja moja, chociaż jest cenna, nic mi nie pomoże i radził mi, abym tak jak on uczynił, i postarał się o protekcję u hrabiny Larisch, to wszystkich konkurentów przemoże. Wskutek tego udałem się jeszcze raz do Wiednia, a po przedniesieniu sprawy uzyskałem od hrabiny bilet polecający do ministra prezydenta hr. Taaffe, a ten przyobiecał poprzeć moją sprawę u Prażaka i dodał: *wollen Sie ihn sprechen, so lass ich ihn holen* (z sali posiedzeń rady państwa do biura prezydenta), ale ja nie chciałem już mówić z Prażakiem i podziękowałem hr. Taaffe za protekcję. Hrabina Larisch jeszcze więcej uczyniła, wysłała hrabiego, męża, do Prażaka, aby sam moją rzecz wsparł, a gdy to uczynił, już mogłem być pewny mojej posady. Jakoż wkrótce odebrałem list od Exc. Grocholskiego i inne telegramy, donoszące, że mię minister do Cieszyna zamianował. Opisałem to moje ubieganie się o Cieszyn obszerniej, aby stąd poznać można było, że bez protekcji nic niema na świecie. Zaś hrabstwu Laryszom dozgonnie wdzięczny będę, że się moją sprawą zainteresowali, i że sam hrabia wstawił się za mną, chociaż on nigdy i nikogo nie protegował.

CIESZYN.

POWRÓT DO CIESZYNA. Nominacja moja na posadę notariusza w Cieszynie położyła jednostajnemu życiu frysztaickiemu koniec, mieniłem się być bogatym, szczęśliwym, poczyniłem też wszelkie kroki, aby czem prędyj Frysztat opuścić. Trwało to jednak dosyć długo, bo się nikomu nie śpieszyło, mnie tylko zdawał się czas długi w Frysztacie. Nareszcie po załatwieniu wszystkich formalności zostałem upoważniony, 25 lipca 1881 kancelarję moją we Frysztacie zamknąć a takową dnia 1 sierpnia 1881 w Cieszynie otworzyć, co się też stało. Wiedziałem dobrze, że w Cieszynie nie będę miał takich dochodów, jak w Frysztacie, ale pomimo to ubiegałem się tak gorąco o Cieszyn. To, co mi Kotula notariusz już dawniej mówił: że w Frysztacie jego ludzie szukali, a w Cieszynie on musi ludzi szukać, było prawdą. O zatrudnieniu i dochodach miałem dokładną wiadomość z praktyki podczas substytucji Dr. Demla w Cieszynie, i nie ciągly mię też do Cieszyna wielkie dochody, ale chęć pracowania dla ludu we wszelkich możliwych kierunkach. I znalazła się też do tego niebawem sposobność.

PODRĘCZNIK PRAWNICZY. Brak pracy w kancelarji, pracy urzędowej i chlebobdajnej, umożliwił mi zajęcie się pracą około podręcznika prawniczego. Pracowałem podczas godzin kancelaryjnych, pracowałem wieczór i w noc bez przerwy, tak że byłem w przeciągu jednego roku z napisaniem gotów i podręcznik wyszedł z druku w roku 1883 objętości 20 arkuszy. Jaka to radość u mnie była, gdy zobaczył gotowy w półskórek oprawny egzemplarz. Przeznaczyłem 25 egzemplarzy podobnie oprawnych na prezenty, a 500 egzemplarzy oprawnych oddałem księgarzowi

Jerzemu Kotuli do sprzedaży. Resztę nieoprawnych egz. 750 złożyłem u siebie. W tym samym czasie przygotowałem, zachęcony przez Dra Bystronia, zbiór mój śląskich przysłów do druku, które wyszły drukiem u Feitzingera w Cieszynie w r. 1883. Również przygotowałem *Pieśni ludu śląskiego* do druku; te wydane zostały w Krakowie nakładem Akademii Umiejętności w r. 1883.

PODRĘCZNIK DLA GMIN. Skończywszy te prace wziąłem się z podwójnym zapalem do napisania podręcznika dla gmin, zawierającego ustawy z objaśnieniami, których wiadomość każdemu obywatelowi w gminie jest potrzebna a radnym i przełożonym gminy konieczna. Była to wielka robota, bo było trzeba najprzód ustawy z niemieckiego na polski język tłómaczyć a potem objaśniać. Zacząłem z ustawą gminną i wyborczą; miałem wprowadzić tłómaczenie ustawy gminnej, które rząd krajowy w Opawie wydał, ale tłómaczenie to jest tak haniebne, że ja go tylko zapomocą niemieckiego tekstu rozumieć mogłem. Innych tłómaczeń nie miałem pod ręką, bo też nie istnieją, gdyż Śląsk ma odrębne ustawy od galicyjskich. A ustawa musi być nie tylko zrozumiale tłómaczona, ale musi być duch ustawy oddany, aby nie mogły powstać różne zrozumienia tejże. W razach wątpliwych, jakiego wyrazu użyć lub jakie dać wyjaśnienie temu lub owemu paragrafowi, udawałem się do komisarza, obecnie starosty powiatowego p. Adolfa Zopota, który był zawsze skory mię objaśnić, za co mu też tu składam należne dzięki. Ustawa gminna i wyborcza, razem 12 arkuszy druku, wyszła w r. 1884 i stanowiła I część podręcznika dla gmin. Dalsze ustawy odłożyłem na później, bo chciałem się też przekonać, jako ta praca moja przyjętą i ocenioną będzie i jaki też pokup będzie miała.

SŁOWNIK. Za to wziąłem się do opracowania a właściwie uzupełnienia *Słownika dyalektologicznego*. Miałem już oddawna nagromadzone materiały, bo w tym celu będąc jeszcze na uniwersytecie w Krakowie już pracowałem, ale do obrobienia i ostatecznego wykończenia jeszcze było daleko. Ja nie miałem zamiaru podawać do druku tej pracy, chciałem tylko nagromadzić i opracować materiały tak daleko, aby przyszły leksykograf mógł z mojej

pracy korzystać, bo nie będąc filologiem z powołania, nie czułem się też na siłach postawić pracę moją na wysokości badań językowych i puszczać się na morze bez wiosła. Przy opracowywaniu moich materiałów służył mi za podstawę *Słownik* Lindego. Wziąwszy dany wyraz z moich zbiorów, szukałem w słowniku Lindego, czy go tam nie znajdem — gdy go nie znalazłem, wpisywałem go dopiero do mojego słownika z potrzebnymi objaśnieniami, a gdy go znalazłem, wpisywałem go wtedy tylko do mojego słownika, gdy mu mogłem nadać jeszcze inne dalsze znaczenia, których w Lindem nie było. Oznaczyłem też wszystkie wyrazy w słowniku Lindego znakami, a tak wyrazy znane i używane na Śląsku znakiem +, wyrazy mało znane lub mało używane znakiem ±, a nareszcie wyrazy u nas zupełnie nieznanne znakiem: —. Tak przeczytałem cały słownik Lindego, co było wielką pracą, ale jeszcze większą pracą było ułożenie mojego słownika, którego od lat uniwersyteckich aż potąd nie wypuszczałem z rąk, chociaż nie zawsze z zapalem nad nim pracowałem. Ale też sownie zostałem za moją pracę wynagrodzony, bo Akademia Umiejętności w Krakowie oceniła i wynagrodziła pracę moją na dorocznem zgromadzeniu drugą nagrodą dnia 28 maja 1889 r., która wynosiła 337 rubli. Sporządziłem dwa egzemplarze tego słownika, jeden znajduje się w Akademji i jest przeznaczony do druku, drugi zaś znajduje się w *Silesjace*, a tymczasowo u mnie.

PRESBITERSTWO. Oprócz tych prac i zatrudnienia kancelaryjnego miałem jeszcze bardzo wiele innych prac, które mi zabierały wszystek czas, tak że nie mogłem nawet świeżego powietrza zażywać. Oto wybrany zostałem do presbiterstwa przy zborze ewangelickim w Cieszynie. Wybór mój nie poszedł tak łatwo jak dawniej. W Cieszynie bowiem powstała i zorganizowała się od czasu jak ks. Haase powołany został na pastora do Cieszyna, pod jego przewodnictwem partja ewangelicko-niemiecka, która zaczęła przewracać wszystko, co dawniejsze presbiterstwa zdziały, a mianowicie usiłowała uzyskać większość w presbiterstwie i torować drogi do zniemczenia, jeżeli nie całego zboru, to przynajmniej jego przewodników. W takim stanie rzeczy nie zostałem w Cieszynie wybrany

do większego zastępstwa zboru, wybrano mię atoli w gminie Gutach. O tem wszystkiem dowiedziałem się dopiero później, po wyborach; mówiono mi też, że ks. Żlik (syn Andrzeja Żlika), który przewodniczył wyborom w Gutach, zbladł jak chusta, gdy po skończonem głosowaniu widział, że mię wybrano. Tak mię się bali cieszyńscy ewangelicy Niemcy, szczególnie mieszkańcy Placu Kościelnego. Będąc wybrany do większego zastępstwa, byłem wybrany także i do presbiterstwa, bo wtedy przeważała jeszcze strona narodowa. Szesnaście lat nie brałem uczestnictwa w kierowaniu sprawami zborowemi i byłem w tym okresie czasu tylko raz na posiedzeniu presbiterstwa, na które mię z Frysztatu jako znawcę w sprawie gimnazjalnej zaproszono. Rozpatrzywszy się na nowo w sprawach zborowych widziałem jak na dłoni, co działo się i co opuśczone przez ten czas mojej nieobecności w Cieszynie. Z dawnych kolegów moich pozostało tylko trzech, a reszta wszystko nowi ludzie, z którymi się było trzeba dopiero zapoznać, aby wiedzieć, co w nich siedzi, i jakiego kierunku się trzymają. Do tego nie miałem z powodu innych prac dosyć czasu, poznałem tylko zaraz, że odzyskanie dawnego mojego wpływu jest niemożliwem, że gwiazda moja zbladła. Uczęszczałem wprawdzie bardzo regularnie na posiedzenia, ale z mojami wnioskami często przepadałem, najwięcej z powodu tego, że sprawy nie mogłem gruntownie, jak dawniej bywało, z presbiterami naprzód omówić. Wiem tylko, że mię chciano kasjerem zborowym zrobić, ale toby sobie nawarzył piwa. Za moich czasów uchwalono założyć szpital ewangelicki na uczczenie jubileuszu 400-letniego Marcina Lutera, i założyć nowy cmentarz przy drodze polskiej, powiększyć budynek alumnejski z funduszków zaoszczędzonych z gospodarki alumnejskiej, z czego miałem satysfakcję, gdyż agitowałem przy przedsięwzięciu mającej się budowie w roku 1864 za większym budynkiem, którego potrzeba okazała się teraz konieczną. Kupiono także tak zwaną Engelmankę — budynek stary, leciwy, drewniany, między gimnazjum i starym cmentarzem, wprawdzie za drogie pieniądze, ale dla zaokrąglenia posiadłości zborowej koniecznie potrzebny. Szkoda wielka, że dwa stare chałupki między bronkami, miejską i puń-

cowską, nie zostały zakupione, a można je było za bardzo tanie pieniądze nabyć, aby posiadłość zborową zaokrąglić i zyskać odpowiednie place pod budowę kościelnych domów. Kupił je żyd i tu się rozgościł. Dodać muszę, że po rozszerzeniu budynku alumnejskiego przeniesiono i umieszczono tamże w odpowiednim lokalu kancelarję zborową.

Tak przebyłem przez 6 lat w presbiterstwie, usiłując szczerze, aby ta korporacja utrzymała się na stanowisku, jakie jej ustawa kościelna naznacza. Po tych sześciu latach już się o mnie nikt nie troszczył, nie byłem wybrany ani w Cieszynie ani w innej gminie do zastępstwa większego, a więc utraciłem w sposób naturalny mandat presbiterowski. *Sic transit gloria mundi!* A byłem z tego bardzo kontent, bo z jednej strony skończyły się ciągle utarczki z Haasem i z jego poplecznikami, a z drugiej strony, bo zyskałem dużo czasu, który mogłem w sposób również dodatni zużytkować dla dobra ogólnego.

HAASE I NOWY CZAS. Tu jeszcze dodać muszę, że powołanie ks. Haasego na miejsce ks. Otto było wielkiem nieszczęściem, wielką klęską dla naszego zboru. Wszędzie, gdzie Haase stąpił nogą, szerzyło się rozdwojenie, a stąd upadek. Wszystkiemu, co zbor przedsięwziął, stawiał opór, i starał się wszelkimi środkami udusić wszelki postęp we zborze. Haase po swoim przybyciu do Cieszyna zaczął wydawać *Nowy Czas*, pismo naturalnie niemieckie w polskim języku, które się później przemieniło w pismo ewangelickie z tendencjami niemieckimi, pisane w polskim języku. Redaktorem tego pisma jest a) Kazimierz Stanisławski, redaktor *Silesii*, znany Niemiec galicyjski, dla części politycznej tegoż pisma, katolik, b) Wałach, nauczyciel starszy szkoły ewangelickiej na Wyżniej Bronie, dla części kościelnej, ewangelik, a wydawcą jest Skalka (dawniej Skalka), szynkierz w Cieszynie, ewangelik. Hańba powierzać pismo ewangelickie takiej redakcji, takim ręką. Haase wydaje to pismo, bo on stoi na czele jego (jakoteż *Silesii*), nie aby oświecał lud, ale aby go bałamucił i przez bałamuctwo niemczył i aby przez to zniszczył pismo, wychodzące pod redakcją ks. Franciszka Michejdy, natchnione duchem ewangelickim i narodowym.

Gdy się utworzyło Towarzystwo ewangelickie oświaty ludowej w Cieszynie, zapisał się także i ks. Haase jako członek, ale gdy go nie wybrano za prezesa, wystąpił z Towarzystwa i założył Czytelnię ewangelicką w szynku pod krzyżem na Wyżniej Bronie, która z sobą wszystko łączy, politykę, gospodarstwo, kasę oszczędności itp., a Skalka, w którego domu jest ta czytelnia, agituje, rozszerza *Nowy Czas* i nagania ludzi w imieniu Haasego do Czyelni. Jeszcze za czasów pierwszego presbiterstwa, t. j. w r. 1863 powstała we zborze myśl założenia szkoły dla dziewcząt ewangelickich wiejskich połączonej z alumnatem, w której by pobierały nauki potrzebne im do życia, mianowicie gospodarstwa domowego. Bo to, co szkoła wiejska daje, i to, czego się w domu od matki nauczą, jest niewystarczające, tem bardziej, gdy nasze kobiety wiejskie same nie wiele wiedzą. Do tego alumnatu i szkoły miały być przyjmowane dziewczęta gospodarzy zamożniejszych, którzy córki swoje po skończonej wiejskiej nauce zwykle wysyłają jeszcze do Bielska na dwa lub trzy lata. Atoli szkoły bielskie nie dały dziewczętom potrzebnego wykształcenia, bo oprócz niemieckiego języka i jakiejś niepotrzebnej fajnoty nic się innego do życia i gospodarstwa potrzebnego nie nauczyły. Projektowi temu zbor okazał się bardzo chętny, bo ofiarował na ten cel na razie potrzebny lokal bezpłatnie, a inna pomoc by się też była znalazła. Rzecz ta atoli jakoś po mojem odejściu z Cieszyna zasnęła, i nie wiem, czy i co się w tej sprawie dalej stało. Gdy po powrocie do Cieszyna i wstąpieniu na nowo do presbiterstwa rzecz ta na nowo poruszoną została, zaczęto się niby to krzątać koło tej sprawy, ale nie znalazł się człowiek, któryby na serjo zabrał się do dzieła i na razie wygotował statut i plan naukowy do tego zakładu. Zbór chciał dotrzymać dawnego zobowiązania co do bezpłatnego ustąpienia potrzebnego lokalu, bogatsi i gorliwszy zborownicy poczynili znaczne ofiary, tak że, jak mi mówiono, fundusz zakładowy kilka tysięcy wynosił. Po wystąpieniu z presbiterstwa sprawa znów poszła jakoś w zapomnienie i ja też o nią nie mogłem się troszczyć. Aż tu naraz wieść niesie, że Haase bez zapytania się kogokolwiekbaż założył szkołę dla dziewcząt doroślejszych, i że nazbierane przez

stare narodowe presbiterstwo kapitały chce na ten cel zabrać. Naturalnie że ten zakład będzie germanizatorski, że głównym przedmiotem nauki będzie język niemiecki i przyswojenie sobie odpowiedniej w nim biegłości i że o nauce, którą miano na oku i dla której chciano zakład ten utworzyć, nie będzie mowy. Haase prawie cały rok nie jest w domu, zasiada on w radzie państwa w Wiedniu lub na sejmie opawskim, a gdy tam nie siedzi, to jeździ po świecie, to na zebrania Gustawa Adolfa lub na inne zebrania ewangelickie, na *partheitage* niemieckie i żydowskie, na posiedzenia rady szkolnej, na wizytacje kościelne itp. O zbor cieszyński bardzo mało dba, i zwykle wtedy tylko ma kazanie, gdy są główne święta, w których ludzie dla księży ofiarę składają. Gdyby zasiadanie w radzie państwa przyniosło jaki taki pożytek zborom i kościołowi ewangelickiemu wogóle, to by przecie była jaka taka zasługa, ale on bawi się tam w Niemca, jego mowy mają za przedmiot kwestje niemieckie i żydowskie, a dla tego też ma wielki szacunek u żydów i nazywają go *Oberrabinem*. On to przyczynił się głównie, że szkoły ewangelickie przeniesiono na bezwyznaniowe, gdzie szkoła ewangelicka istnieje jeszcze gorliwością ewangelików, to on nie przyczynia się do jej utrzymania, i jakby się cieszył, gdy jedna za drugą stała się bezwyznaniową.

To, że Haase założył szpital, jak się zwykle mówi, nie jest żadną zasługą dla zboru. Nie mówię tu, że zbor nie ma z tego korzyści, bo nie ze wszystkiego można mieć korzyści, ale dlatego, że przez to nałożył na zbor ogromny ciężar. Już to jest ciężarem, że zbor musiał się obowiązać płacić na szpital rocznie 500 reńskich (czem można opłacić jednego księdza), ale że cała administracja spada na zbor, a zbor składa się wyłącznie z ludności wiejskiej, między którą rzadkoby się kto znalazł, aby mógł administrację zrozumieć i prowadzić. A gdyby to był przynajmniej szpital ewangelicki! Haase mówił z początku tylko o szpitalu ewangelickim, a zbor cieszyński zgodził się nareszcie na budowę szpitala ewangelickiego, ale gdy Haase miał zbor w ręce, zaraz zrobił z niego szpital i dla katolików i żydów. Budowa i utrzymanie powszechnych szpitali należy do kompetencji gmin lub kraju, ale nie do kościoła.

Katolicy nas dręczą i uciskają ze wszech stron, żydzi nas oszukują i ostatni grosz z nas wyciskają — a my ewangelicy i pierwszym i drugim z wdzięczności za te przysługi szpitale fundujemy. Haase użył firmy zborowej, aby powszechny szpital wybudować i zyskać przez to sławę i szlachectwo, ale mu się to nie poszczęściło. Za taki szpital zbor cieszynski nie może być Haasemu wdzięczny, tak jak mu wdzięczny nie jest i nie będzie, że on, będąc jeszcze proboszczem w Bielsku, starał się wszelkimi sposobami szkodzić zborowi cieszynskiemu i jemu głównie do zawdzięczenia mamy, że się przyczynił do skasowania jedynego na całą Austrię gimnazjum ewangelickiego i że przeszkodził, iż zbor cieszynski nie mógł założyć seminarji nauczycielskiej przy swoim gimnazjum ewang. w Cieszynie. Gdy po Lumnitzerze superintendent Schneider w Bielsku umarł, miały zbory morawskie i śląskie przystąpić do wyboru nowego superintendenta. Już wtedy czuł Haase bardzo dobrze, że ma niewiele sympatji we zborze, a przecie mu chodziło bardzo o to, aby w Cieszynie, swojej siedzibie, został wybrany. Ja, nie będąc w presbiterstwie, nie mogłem brać czynnego udziału w wyborze, czyli przygotowywać zborowników do wyboru. Zdaniem mojem było wybrać Haasego na superintendenta wtedy tylko, jeżeli się zobowiąże opuścić Cieszyn a wrócić sobie do Bielska, gdzie właśnie wakowała posada po Schneiderze, i zdanie to wielokrotnie wypowiedziałem. Atoli narodowa strona zawarła kompromis z Haasem, według którego Haase poczynił różne zobowiązania i ustępstwa na korzyść narodową, za to zaś zobowiązała się strona narodowa (złożona z członków we zborze i poza zbozem) dać głosy jemu na superintendenta. Kompromis ten był jakiś czas w tajemnicy, aż go później *Gwiazdka Cieszynska* ogłosiła, a dlatego tu dalej nie będę się rozpisywał nad warunkami tego kompromisu. Haase został tedy wybrany na superintendenta, ale nie dotrzymał umowy zawartej i nie wypełnił ani jednego warunku, a sądząc po jego przeszłości, nie można było czego innego od niego oczekiwać.

OTOCZENIE HAASEGO. Haase otoczył się ludźmi bardzo pospólnymi, a tych używa jako swych adjutantów do wszystkich swoich agitacyj, których hasłem jest ger-

manizacja. Tymi są głównie Jerzy Skalka, dawniej *hausknecht* pod Wołem, potem ożenił się z wdową po Wojnarze bogato, nabył z żoną swoją dom w Cieszynie i szynk. Umie trochę po niemiecku i jest wydawcą *Nowego Czasu*; Jan Gabryś (Gabrisch), kominiarz i właściciel domu; Wojnar, ceglarz na Brandysie; Szygut, nauczyciel w Puńcowie, dawniej gorliwy narodowiec. Wszyscy pochodzą z ludu wiejskiego polskiego, a teraz bij zabij na Polaków. Tych ludzi można każdego czasu zastać na naradach u Haasego, a ci buntują we zborze i naganiają owieczki do owczarni — czytelni ewangelickiej u Skalki w Cieszynie. Oni też co chwila odzywają się w presbiterstwie, aby dawać zapomogi Haasemu z kasy kościelnej na jego wydatki, a gdy jak dawniej nie udawało im się to, tedy chodzili po zborze i wyciskali grosz ciężko zapracowany od ludu dla superintendenta. Opis takiego wyzyskiwania z powodu choroby Haasego wydał jakiś zborownik przed kilku laty i ten zaczyna się, jak sobie przypominam: Posłuchajcie w pokorze, co się dzieje we zborze (na nutę *Komarzy się żenili*). Haase ma znaczne dochody w Wiedniu jako poseł, również w Opawie, a największe w Cieszynie jako proboszcz, i tymże sposobem jako superintendent, ale pomimo to zawsze mu brakuje. Jeden ze zborowników wyrachował, ile kosztuje Haase do roku, a ile ma kazań, i wypadło snadź kilkaset reńskich na jedno kazanie.

Zresztą nie chcę tu pisać życiorysu Haasego, chciałem tylko nacechować jego ujemne strony; dodatnich stron jego nie odkryłem, a jeżeli ma jakie, to się znajdą szynkierze, ceglarze, kominiarze, którzy je opiszą. Ten krótki rys napisałem według prawdy i chciałem sobie przez to ulekczyć ciężaru, który mię gniecie, że lud polski ewangelicki po ks. Ottonie obrał sobie człowieka na duszpasterza, który się Boga nie boi a ludzi nie wstydzi, który na każdym kroku szczepi niezgodę i rozdziwienie pomiędzy zborownikami, który sięje kłakół do pszenicy.

DALSZY CIĄG O CZYTELNI LUDOWEJ W CIESZYNIE. Przy pierwszym walnem zgromadzeniu członków Czytelni po powrocie moim do Cieszyna wybrany zostałem do wydziału. Czytelnia znajdowała się w tym czasie

w stanie opłakanym. Posiedzenia wydziału nie odbywały się wcale, walnych zgromadzeń nie zwoływano i nie odnawiano według statutu co rok wydziału, nie pisano protokołów z posiedzeń, bo takowe nie odbywały się i sprawozdań nie drukowano. Wszyscy czuli, że czytelnia upada i mówili, że ją trzeba ratować, ale żaden nie dołożył ręki. Do wydziału w tych czasach należeli Filasiewicz Hilary jako prezes, Adam Sikora, kasjer; o innych członkach niema wzmianki, bo nie było posiedzeń i nie pisano protokołów. Członków nie było wielu a między tymi może połowa martwych, którzy nie uczęszczali do Czytelni, nie płacili wkładek od kilku lat i stali tylko na liście, aby innym o stanie Czytelni zamydlić oczy; finanse były również w opłakanym stanie. Nie było czem opłacić czynszu i oświetlenia. Czynsz należał się właścicielowi domu, tj. Bazarowi, Bazar zaś a Zaliczka były z sobą w przyjaźni, bo Filasiewicz i Sikora byli również na czele tych towarzystw, i nie dopominano się o czynsz, a tak Czytelnia wykazała na walnem zebraniu w maju 1882 r. długu rzeczywistego 2700 reńskich i zaległych wkładek nieściągalnych 300 r., razem tedy długu 3000 reńskich, między którymi znajdowała się rubryka petroleum 600 reńskich u kupca bazarowego Makowskiego. Rachunek bazarowy nie był, zdaje się, starszy jak od trzech lat, a więc musiał Makowski więcej jak potrójną kredą rachować; bo pod nową administracją czytelni całoroczny rachunek za oświetlenie bazarowi należało się tylko 70 złr. Naturalnie nie było kontroli, brał kto chciał i rachowano według dowolnych cen brane i niebrane towary. I pocóż by też prowadzić rachunki i żądać tego, co się należy! Przecież w Czytelni był rządcą Filasiewicz i Sikora, w Bazarze był rządcą Filasiewicz i Sikora, w sklepie bazarowym rządcami i naczelnymi kupcami Filasiewicz i Sikora, a w kasie oszczędności i zaliczek byli i są jeszcze dyrektorami Filasiewicz i Sikora, itd. I pocóż tu rachunki robić; dano, dawano i nie pytano się, kto i kiedy będzie wracał, kredytowano tysiące i nie pytano się, czy ten, któremu kredytowano, wart pięć centów. Bazar upadł bezpowrotnie, sklep bazarowy upadł bezpowrotnie (obydwa stracili wszystko i żaden spółnik ani centa nie odebrał zpowrotem),

Czytelnia upadła, chociaż się znów podniosła, a jak tam Zaliczka stoi, Pan Bóg raczy wiedzieć.

W takim stanie rzeczy nie miałem wiele chęci przyjąć wyboru do Wydziału Czytelni i odmówiłem przyjęcia, aż dopiero, gdy mię przy powtórnym głosowaniu znów wybrano, przyjąłem wybór ze względu na dobro publiczne, chociaż mię stan czytelnicy pod każdym względem odstraszał. Wszędzie znalazłem dziury, zastój, nieporządek, gospodarzę ze dnia na dzień. Jedyną czynność w Czytelni, zasługująca na uwagę, było zbieranie centów na fundusz żelazny, którem zbieraniem się głównie Adam Sikora zajmował, tak że fundusz ten z dawniejszemi zapasami przy moim wstąpieniu do wydziału około 1200 r. wynosił. Z wydziału starego przeszedł do nowego tylko Filasiewicz; nowy wydział się ukonstytuował i wybrano mię prezesem. Tak więc zaczęliśmy się krzątać około uporządkowania czytelnicy. Czynność nasza była głównie dwojaka, rozbudzenie życia towarzyskiego w Czytelni i uporządkowanie finansów. Oboje było trudnem zadaniem. Pod pierwszym względem postaraliśmy się urządzić raz w tygodniu zebranie wszystkich członków w sali czytelnicy na pogadankę dowolną, gry codzienne wieczór w karty, gry w bilard w dzień i wieczór, o ile można było turnieje bilardowe z premjami. Zaprowadzono także naukę śpiewu, z uwagi że śpiew najwięcej by się mógł przyczynić do ożywienia czytelnicy wewnątrz i zewnątrz, np. przy letnich wycieczkach w okolicę. Zebrania były z początku jakie takie, ale odzwyczajeni członkowie od Czytelni zaczęli się jeden po drugim tracić, a tak też było z graniem. Miano nadzieję, że gra na fortepianie rozbudzi nieco życie. Mój fortepian sprzedano a pieniądze zań się rozkulały, kupiono inny fortepian za pieniądze z Zaliczki przez trzech członków wzięte, ale ten nie był wiele wart, a zresztą się zużył (był w Czytelni może ze 12 lat), a gdy go nowy wydział chciał sprzedać i inny kupić, dopiero wtedy zgłosiła się Zaliczka, że fortepian nie jest zapłacony i że ona go sobie na pokrycie długu sprzeda. Niceśmy przeciw temu nie mieli i kupiliśmy pomimo tego fortepian nowy, po Makowskim, właścicielu sklepu bazarowego, który zbankrutował, i zapłaciliśmy ze składek całą sumę kupna 200 reńskich. Ale

cóż! fortepian był, ale grajka nie było. Czytelnia miała też bilard równym sposobem (jak dawniejszy fortepian) kupiony, ale nikt na nim nie chciał grać, bo był starej konstrukcji i źle się na nim grało. Otóż nabyliśmy nowy bilard z Wiednia, dawszy zań stary a gotówki nad 200 reńskich, którą trzech członków złożyło — nie szukając ani przy fortepianie ani przy bilarze pomocy Zaliczki. W niedługim czasie z dochodu bilardowego pokryto pretensje trzech członków, którzy dali bezprocentową pożyczkę na bilard. Wszystkie adaptacje, np. szafę administracyjną, godło czytelnicy, telefon itp. sprawiała się ze składek dobrowolnych lub zwrotnych, nie zaś z dochodów Czytelni lub pożyczek z Zaliczki. Przy takim krzątaniu się około Czytelni zaczęło się jakoś trochę roić wewnątrz, ale do życia jakoś nie mogło przyjść. I to też się przyczyniało do umartwienia Czytelni, że po pożarze wiedeńskiego Ringteatru zakazano w Czytelni przedstawień amatorskich, które znacznie przyciągały lud do Czytelni. Zakaz ten wychodził z gminy miejskiej jeszcze za starego wydziału. Proszono mię, abym jako dobry znajomy burmistrza Dra Demla poszedł do niego i prosił go w imieniu Czytelni, aby zakaz cofnął, boć zakaz ten nie był wydany z uzasadnionej obawy przed niebezpieczeństwem, ale w tym celu, aby przygnieść nienawidzoną przez Niemców Czytelnię. Poszedłem więc do Demla, a zastawszy go w kancelarji gminnej przedniosłem mu tę sprawę, lecz on, chociaż mię bardzo grzecznie przyjął, oświadczył, iż zakazu cofnąć nie może, i dodał nareszcie: *Verlangen Sie von mir was Sie wollen, aber polnische Vorstellungen in der Czeletnia werde ich nicht bewilligen*. Były też na żądanie wydziału różne komisje, aby badać, czy istnieje jakie niebezpieczeństwo przed ogniem, i jakoby temu zapobiegnać, ale zapisano dużo papieru i nie przyszło nic do skutku, bo komisje, natchnione instrukcjami dla nas nieprzychylnymi, stawiały takie warunki, że je ani Czytelnia, ani właściciel domu (Bazar) dla wielkich przebudowań i bardzo znacznych z tem połączonych kosztów nie mogła się podjąć wypełnienia tych warunków. Z przedstawieniami amatorskimi były także i koncerty zabronione. Jeżeli się zważy, że w sali Czytelni ledwie sto osób na przedstawieniach pomieścić się może,

że z sali są dwa wyjścia (według potrzeby nawet cztery), że schodów frontowych i tylnych naraz w razie potrzeby użyć można, to i w razie pożaru z łatwością schronić się można i publiczności w sali miejskiej, gdzie się teatru odbywają, groziłoby w razie pożaru sto razy większe niebezpieczeństwo. Dawano wprawdzie i później małe przedstawienia bez wstępu, tylko dla członków, nawet i teraz kiedy niekiedy zawita jeszcze jakie przedstawienie, ale te dalekie są od teatrów, grywanych przed istnieniem Czytelni i w pierwszych latach jej istnienia, bo coraz trudniej nawiązać ludzi do ról, bo starzy amatorowie roztracili się, a nowi ledwo czytać umieją trochę po polsku i niejedni nie chcą się narazić na przycinki ze strony Niemczuchów. Nawet teraz postawiono stałą scenę, chociaż szczupłą na miejscu ruchomej, która w razie potrzeby stawianą i uprzątaną bywała, a postawieniem tej stałej sceny zajął się głównie członek wydziału Adam Sikora.

Pod drugim względem, tj. uporządkowania finansów Czytelni rozwinął wydział również swoją czynność na wszystkie strony, bo też strona materialna każdego przedsiębiorstwa jest pierwszym i głównym fundamentem. Pierwszym zadaniem było zajęcie się członkami Czytelni, napomnienie zalegających z wkładkami, wykreślanie członków martwych, niepłacących i nieuczęszczających do Czytelni, nareszcie pomnożenie członków zbliska i zdaleka.

Szło to pomału, ale przecie jakoś szło. Największą przeszkodą rozwijania się Czytelni były nieprzychylnie artykuły *Gwiazdki*, nie wchodzę teraz w to, czy dobrym, czy złym zamiarze pisane. Jest to nie do uwierzenia, co Stalmach wszystko przeciwko Czytelni napisał, a mógł nie pisać, albo mniej pisać, ale zato w Czytelni pracować. Tej pracy w Czytelni bał się Stalmach jak djabeł święconej wody, łatwiej mu było sięgać po wawrzyny artykułami nieprzychylnymi i udawać przed światem, jakie on to pokłada zasługi koło dobra publicznego, jak na miejscu dokładać się pracą.

Według pamiętnika jubileuszowego Czytelni ludowej, który wyszedł w roku 1887, liczyła Czytelnia z końcem roku 1886 członków:

10 fundatorów płacących po	10 reń.	100
39 członków z Cieszyna	„ 4 „	156
57 „ śląskich	„ 2 „	114
38 „ z Galicji itd.	„ 2 „	76
<hr/>		
144	Razem	446 reń.

Były jeszcze dochody ze sali (z których trzeba potrącić oświetlenie), a Zaliczka płaciła za używanie mebli czytelnianych, co mogło czynić razem 150 reńskich. Było tedy dochodów stałych — że ja tak nazwę — koło 600 reńskich. Wydatki zaś wynosiły za lokal 700 reń. i inne wydatki, sługa, oświetlenie itp. 500—600 reń., razem tedy 1200 reń.; brakowało więc 600 reń. do pokrycia najniezbędniejszych wydatków. Celem pokrycia niedoboru opodatkowano wszystkie towarzystwa narodowe, które używały lokalu Czytelni, a towarzystwa te zobowiązały się płacić rocznie 15, 25, 50 i 100 reń., a ponieważ towarzystw było 9, które się w Czytelni mieściły, tedy z tego źródła był znaczny dochód. Dotąd gazety, które prawie bez wyjątku redakcje polskie przysyłały Czytelni bezpłatnie, brał sobie, kto chciał. Zaprowadzono tedy sprzedaż licytacyjną między członkami, z której około 60—70 reń. na korzyść Czytelni wpłynęło. I sala przynosiła daleko większy zysk jak dotąd, wynajmowano ją w adwencie czyli w jesieni na naukę tańców, w karnawale na zabawy taneczne, w ciągu roku na koncerta, obiady i różne przedstawienia. Z loteryjek urządzonych przez wydział był również jaki taki dochód. Wszystkie większe wydatki, jak już powyżej wspomniałem, pokrywane były osobnymi składkami członków. Przy tak urządzonej gospodarce zwiększyły się dochody Czytelni i wystarczyły jakoś na pokrycie niezbędnych wydatków zwyczajnych, a jeżeli co po pokryciu wydatków pozostało, obrócono na spłatę długów. — Długi Czytelni powstały z samych niedoborów, spowodowanych złą i niedbałą gospodarką w Czytelni. W pierwszym rządzie był tu Bazar (czyli Zaliczka) angażowany. Aby umorzyć stare długi, postanowił dawniejszy wydział czyli Filasiewicz i Sikora, zaciągnąć pożyczki bezprocentowe, co się jakoś powiodło, bo zaciągano te pożyczki, aby Czytelnię ratować, a więc kto mógł, to ratował. Największą kwotę złożył nasz dawny przyjaciel, mecenas Żółtowski Ignacy z Krakowa, ofiarując na ten cel pożyczkę

bezprocentową 800 reńskich. Inni, Ślązacy, zaś dali po setce. Ale tym sposobem klin klinem wybito, a tu trzeba było rzecz radykalnie załatwić. Miał więc nowy wydział wielkie zadanie, bo setkarze wypowiadali swoje pożyczki, a gdy Czytelnia nie miała funduszków, musiano wskazanym torem iść dalej i na pokrycie starych zaciągać nowe setki. Odetchnęliśmy wszyscy, gdy Ignacy Żółtowski oświadczył, że daną pożyczkę 800 reń. daruje Czytelni i nie będzie jej żądał. I zmarły adwokat cieszyński Dr. Sokal darował swoją setkę, również jubileusz Czytelni w roku 1887 przyniósł znaczną sumę od naszych członków miejscowych i zamiejscowych tak, że człowiek mógł już jakoś łatwiej odetchnąć. Później pokryto i resztę wszystkich długów — dług Zaliczce-Bazarowi nawet z procentem — przez różne starania i zabiegi, tak, że nikt ani grosza nie stracił. Była to powszechna radość, gdy na walnem zebraniu, w roku 1890 odbytem, oświadczyłem, że wszystkie jakiegokolwiek długi Czytelni są zupełnie pokryte i zapłacone.

FUNDUSZ ŻELAZNY CZYTELNI. Zaraz po założeniu Czytelni obmyśliwano sposoby, jakoby byt Czytelni pod względem finansowym na przyszłość zabezpieczyć. Powzięto myśl założenia funduszu nienaruszalnego, któryby się ciągle powiększał i służył na pokrycie nagłych i nieprzewidzianych potrzeb. Pierwszy zaczątek zrobił prezes Dr. Klucki, ofiarowując na ten cel obligację pożyczki narodowej na dwadzieścia reńskich; fundusz ten, zwany funduszem żelaznym wzrastał bardzo pomału, bo dawne wydziały jakoś o nim nie pamiętały. Dopiero gdy bieda zaczęła dokuczać Czytelni, przypominano sobie ten fundusz i wydano odezwę, aby wykazać potrzebę takiego funduszu i zachęcić do składek. Zaprowadzono tak zwane centowe składki, to jest członek, który przystąpił do klubu centaków, składał dziennie centa, a kasjer wybierał te centy co miesiąc od członków. Każdy więc członek płacił rocznie 365 centów i to stanowiło od kilkunastu członków już jakiś dochód. Gdy wstąpiłem do wydziału czytelni, było kapitału coś nad 1200 reńskich. — Fundusz żelazny leżał mi bardzo na sercu, widziałem w nim jedyny fundament materjalny Czytelni, aby ją uczynić niezawisłą od liczby członków, dających największy dochód, od łaski lub niełaski towarzystw

i od różnych nieprzyjaznych prądów, które przeciwko Czytelni z różnych stron wymierzone były. Chociaż czasy pod tym względem były bardzo niepomyślne, gdyż było trzeba Czytelnię uporządkować i popłacić długów starych około 2700 reńskich i doprowadzić dochody do równowagi z wydatkami, to przecież w ciągu ośmiu lat, tj. do końca roku 1889 zebrano około 3000 reń., tak, że z końcem tego roku wynosił fundusz żelazny przeszło 4000 reń. w. a. (Patrz sprawozdanie z roku 1889.) Mojem życzeniem było i jest, aby fundusz ten doprowadzić do 20.000 reń., tak żeby było procenta po 5 rachując tysiąc reńskich, a tem możnaby pokryć blisko wszystkie wydatki Czytelni, a tym sposobem nie potrzebowałaby Czytelnia troszczyć się tak bardzo o dzień jutrzejszy. Niestety jak słyszę, fundusz ten obecnie się nie pomnaża, ale topnieje.

BIBLIOTEKA BAGIENSKIEGO. Początek biblioteki należącej Czytelni ludowej dał zbiór książek w różnych językach słowiańskich, będący własnością „Towarzystwa uczących się języka polskiego na ewang. gimnazjum w Cieszynie“ z roku 1847. Zbiór ten przeszedł po rozwiązaniu się tego towarzystwa do biblioteki polskiej, a stąd do biblioteki Czytelni. Zbiór ten pomnażany został darami rodaków i wzrósł do znacznej biblioteki. Taż biblioteka znacznie i naraz powiększoną została darem ks. Kanonika Teligi z Krakowa. Ofiarował on swoją bibliotekę Czytelni Ludowej. Są to książki przeważnie treści religijnej, ale polskie, a między niemi wiele cennych, starych zabytków, biblij, postyl itp. Nie było z początku miejsca i szaf na uporządkowanie i złożenie tej biblioteki i rzecz została trochę w zaniedbaniu. Nareszcie sprawiono szafy i powstawiano książki w nie. Nadesłano też później katalog z Krakowa. Stalmach ujął w *Gwiazdce* na tę niedbałość i pisał listy do ks. Kanonika Teligi, jak tu się obchodzą z jego darem, tak, że kanonik żałował, iż dał bibliotekę swoją w tak lekko-myślne ręce, a zamierzonego czy też obiecanego wyposażenia biblioteki jakimś funduszem nie uczynił, tak, że na Czytelnię spadł ciężar utrzymywania lokalu potrzebnego i szaf, a ciężar ten na siły nasze był za wielki, chociaż dar ten był dla nas bardzo cenny. Sposoby, jakie po wejściu do

wydziału obmyśliłem, aby darodawcę udobruchać i zyskać jakie wsparcie na utrzymanie biblioteki nie powiodły się.

Inne bardzo znaczne pomnożenie naszej biblioteki zawdzięczać należy Ignacemu Bagińskiemu, obywatelowi z Odessy. Jakem słyszał, miał być pewnego czasu Bagiński w Cieszynie, aby poznać Śląsk i poznać się z naszymi stosunkami narodowościowymi. Wskutek tego spłynęły na nasze towarzystwo, mianowicie na Macierz, hojne dary. Jednego razu otrzymałem list od Dra Dłuskiego z Odessy, donoszący, iż Bagiński choruje, i posiada bardzo cenną bibliotekę, którąby chciał jeszcze za życia w dobre ręce powierzyć i czyni zapytanie, czyby może Czytelnia tej biblioteki na własność nie przyjęła. Wydział Czytelni, który natychmiast zwołany został, uchwalił bibliotekę z wielką wdzięcznością przyjąć, pomimo to, iż sobie nie tajono trudności, gdzie ten skarb umieścić i w co go włożyć. Dano nam do zrozumienia, że i jakiś fundusz się znajdzie. Niezadługo nadszedł ten skarb, spakowany w 16 wielkich pakach, ważący razem przeszło 3000 kg. Zapłaciliśmy za przesyłkę około 150 reńskich, które nam później z Odessy wynagrodzono. Po tej przesyłce nie odebraliśmy z Odessy na nasze kilkakrotne listy od nikogo odpowiedzi i cała korespondencja jakby uciał się skończyła. Funduszu na utrzymywanie tej biblioteki, tak bardzo nam potrzebnego nie nadesłano, i ani o nim nie wspomniano. Sądzone, że znów Stalmach wlaź w te sprawy, a z zazdrości, że nie on tę bibliotekę dla Czytelni wyjednał — co sobie o bibliotece Teligi rościł — pisał listy, że Czytelnia niegodna takiej ofiary, że ona bibliotekę zaprzepaści, tak samo pewnie napisał, jak to można o bibliotece Teligi w *Gwiazdce* czytać. Nareszcie umieszczona została ta biblioteka nienaruszona w pakach na strychu, gdzie nie mogła ponieść szkody, tylko przed ogniem nie była ista. Radzono, gdzie i jakby tę bibliotekę umieścić — ale nie uradzono, bo Czytelnia nie była w stanie ponieść kosztów jednego pokoju na umieszczenie biblioteki i sprawienia potrzebnych szaf. Zajęto się przynajmniej rozpoczęciem spisania katalogu, a przede wszystkim miał się tem wydział zająć. Ale wydział był niedbały. Sprawozdanie Czytelni z roku 1889 mówi wprawdzie, że cztery paki skatalogowano, ale któż to uczynił? Filasiewicz ledwo trzy

czy cztery kartki napisał, zato zaś Sikora pomagał rzetelnie przy rozpakowywaniu książek i zajmował się zestawieniem i kompletowaniem tychże. Aby mieć książki pod ręką, kupiłem odpowiednią szafę i siedziałem całymi wieczorami w kąciku, pisząc przy lampie kartkowy katalog, podczas tego, gdy inni obok mnie się w Czytelni bawili. Książki oprawne, których była daleko mniejsza połowa, były przez robaków na grzbiecie zgryzione i przewiertane, a gdy książki przy pakowaniu wogóle nie były z kurzu oczyszczone, tedy wywijały się stąd bardzo nieprzyjemne zapachy, a wywijający się ciągle kurz miał, zdaje się, na moje płuca tak niekorzystny wpływ, że od tego czasu ciężko choruję. Pracę rozpoczętą musiałem przerwać i dotąd jej nanowo nie rozpoczęto.

AKADEMICY KRAKOWSCY W CZYTELNI. Nie pamiętam już skąd wyszła myśl, aby akademicy odwiedzili Czytelnię, czy wyszła z Krakowa czy z Cieszyna. Korespondowałem w tym względzie dłuższy czas z akademikami, mianowicie z p. Górskim. Narazie nadeszła depesza, że przeszło 40 akademików jest w drodze do Cieszyna. Wybrano do tych odwiedzin dzień naznaczony na wieczorek Mickiewiczowski. Akademicy nadjechali wieczorem i przyjęci zostali na kolei w Cieszynie przez komitet do tego wybrany. Tam były z obu stron przemowy, a po przemówieniach zaśpiewali akademicy po polsku i po rusku swoją pobudkę czyli pozdrowienie. Stąd udali się do Czytelni, gdzie ich jako prezes powitałem, a po odpowiedzi na powitanie zaśpiewano znów pobudkę. Nastąpiła potem wieczera w sali czytelnianej, gdzie się aż do późnej nocy wesoło bawiono. Przenocowano wszystkich w drugim piętrze Bazaru. Nazajutrz zwiedzano (była to niedziela) kościoły, zamek, gdzie z wieży piastowskiej akademicy zaśpiewali hejnał, i inne miejsca. Wkrótce przed obiadem odwiedzili mię w mojem pomieszkaniu akademicy *in gremio*, a po przemówieniu naczelnika zaśpiewano znów pobudkę po polsku i po rusku. Była to dla mnie tak wielka niespodzianka, że moje przemówienie się jakoś poplątało. Wieczór odbył się wieczorek Mickiewiczowski, w którym akademicy czynny udział brali. Rozesłany program, zawierający nasze i akademików produkcje zwabił mnóstwo ludzi

do Czytelni, że było jakby nabił. Gdy się odezwał chór akademików, to aż się trzęsła Czytelnia. Rozwinęło się gorąco, że nawet trudno było grać na fortepianie spotniałym. Wszystkie produkcje udały się jak najlepiej i panowało w zgromadzeniu ogólne zadowolenie. Czesi gratulowali mi z tego powodu. Po produkcji odbyła się uczta w Czytelni i przemówień przygotowanych i nieprzygotowanych było bez liku i bawiono się jak najlepiej aż do późnej nocy. W poniedziałek po obiedzie udali się akademicy w towarzystwie naszych do Trzyńca, a stąd do Stonawskiego w Dolnej Lesznej, gdzie bardzo gościnnie przyjęci zostali. Z Trzyńca jechali już wprost przez Cieszyn, gdzie przez wydział Czytelni pożegnani zostali, do Krakowa. Towarzystwo nasze było temi odwiedzinami zelektryzowane i będziemy mieli te miłe chwile długo w pamięci. Uprosiłem jednego z członków Czytelni, jurystę, aby te odwiedziny i wieczorek Mickiewiczowski na pamiątkę dla Czytelni opisał, co tenże chętnie uczynić przyobiegał. Ale niestety jeszcze chętniej o tem zapomniał. Akademicy tylko w sprawozdaniu rocznem uczynili wzmiankę o tej wycieczce, którą wycieczkę — w nawiasie to mówiąc — p. Żółtowski z Krakowa znacznie umożliwił.

JUBILEUSZ CZYTELNI. Czytelnia doczekała się szczęśliwie 25-letniej rocznicy założenia swego. Od sporego czasu już myślano, jakoby tę chwilę upamiętnić, a przede wszystkim aby donieść szerokiej publiczności, że jeszcze istniejemy i żyjemy. Oddawna bowiem nie wydawano rocznych sprawozdań, bo też nie było się czem chwalić, gdyż Czytelnia była w ciągłym upadku. Zaproszeni zostali różni członkowie, aby przemawiali na jubileuszu, i aby swoje mowy tak ułożyli, aby mogły być drukowane. Staraniem mojem było głównie, aby Stalmachowi odpowiedzieć na jego zaczepki w *Gwiazdce*. Ile razy chciano sprostować artykuły *Gwiazdki*, wymierzone przeciwko czytelni, opierałem się temu z przyczyny, iż Stalmach sprostowania nie umieści, chyba za interwencją prokuratora, a potem i dlatego, że sprostowanie przebrzmi bez śladu, i odkładałem odpowiedź na później. Uznałem za odpowiednie umieścić artykuł odpowiedniej treści w pamiętniku jubileuszowym Czytelni, który Czytelnia wydać zamierzała. Prze-

wertowałem więc *Gwiazdkę* od początku do końca i zrobiłem wyciągi z artykułów, pisanych przeciwko Czytelni i innym towarzystwom narodowym, a tych excerptów użyłem do artykułu odpowiedniego. Praca ta, nie wiem w jaki sposób, dostała się w manuskrypcie do Krakowa. Uznano atoli przez członków wydziału Czytelni, że artykuł jest za ostry i cytat za dużo, żeby to długie czytanie zniechęciło czytelnika i napisano inny artykuł, na który się zgodziłem, mój zaś artykuł włożyłem do *Pomnika*, który sobie *Stalmach* za życia wystawił a raczej do wycinków z *Gwiazdki*, przy których się w manuskrypcie (*ad Silesiaca*) znajduje. Uroczystość jubileuszowa odbyła się dnia 6 lutego 1887 i zaczęła się o godzinie 5 po południu zaraz po walnem zebraniu Czytelni. W obecności pełnej sali czytelnianej i w obecności komisarza rządowego zagailem uroczystość przemówieniem,* w którym skreśliłem przebieg czynności narodowych od pierwszego przebudzenia się, to jest od założenia towarzystwa uczących się języka polskiego na ewangelickiem gimnazjum, aż do otwarcia Czytelni (1847 do 1861). Potem miał Dr. Dyboski mowę jubileuszową, w której skreślił czynność Czytelni podczas 25-lecia, a następnie mowcy z własnego obozu i innych towarzystw narodowych: Dr. Fischer, ks. Świeży, Gryczowie, Stonawski, Sikora, Mamica, Kotula, Jerzy Cienciała, ks. Janik, ks. Fr. Michejda, Glajcar, Kubisz. Po tych przemówieniach odczytał Filasiewicz nadeszłe telegramy: z Opawy, Białej, Warszawy, Frysztatu, Wadowic, Przemyśla, Zatora, Andrychowa, Bogumina, Paryża, Krakowa, Lwowa, razem 51 telegramów i 10 listów gratulacyjnych. Po odczytaniu telegramów zakończyłem przemówieniem, na którym wzniosłem trzechkrotny okrzyk na cześć Najjaśniejszego Pana, powtórzony całą pierśią przez publiczność, po którym muzyka zaintonowała hymn narodowy. Uprosiłem nareszcie komisarza rządowego, aby objawy lojalności ludu polskiego na Śląsku do tronu i dynastji na właściwem miejscu oznajmił, co tenże uczynić przyrzekł. Uroczystość jubileuszowa skończyła się o godzinie dziewiętej i później nastąpiła zabawa, która aż do rana trwała.

* Patrz na końcu tej książki.

Uroczystość odbyła się wyznaczonym torem i powiodła się jak najlepiej.

Po tej uroczystości przystąpiono zaraz do druku *Pamiętnika jubileuszowego* z nakładem 500 egzemplarzy, które między członków Czytelni i redakcje pism rozdano.

Jubileusz Czytelni i odwiedziny akademików krakowskich Czytelni były dwie najpiękniejsze gwiazdy na firmamencie Czytelni podczas mojego prezesowstwa.

TOWARZYSTWO NAUKOWEJ POMOCY. O tem towarzystwie wspomniałem już poprzednio, z czasu, gdy jeszcze we Frysztacie bawiłem. Przyszedłszy do Cieszyna wybrano mię zaraz do wydziału. Nie miałem tu jako prosty wydziałowiec wiele do czynienia, chyba uczęszczać na posiedzenia, które bardzo często dla niekompletu udaremniane były. Jeżeli przyszło posiedzenie do skutku, to Stalmach rachował się z kasjerem przez dwie godziny blisko, co żadną miarą nie należało na posiedzenia, a reszta członków mogła sobie spokojnie zasnąć. Raz do roku tylko, gdy chodziło o uwzględnienie podanych próśb o zapomogi i rozdzielanie zbieranych funduszków pomiędzy proszących, było posiedzenie nieco ożywione. Mnie już oddawna nie podobał się sposób rozdzielania zapomóg. Wspierano wielką liczbę proszących małemi datkami, zaczawszy od 5 reńskich w górę. Takie wsparcie na nic się nie przyda. Obdarczony nic sobie małą kwotą nie pomoże, i obraca ją często na wydatki niepotrzebne. A to nie jest cel Towarzystwa, wspierać w tak niewłaściwy sposób szkolną młodzież. Celem towarzystwa jest dopomóc młodzieży, aby się wychowała i wykierowała na dobrych narodowców, którzyby byli obowiązani po skończonych studjach, o ile tylko można osiadać na Śląsku i tu nad oświatą i dobrem ludu pracować. Tę sprawę przedniosłem na jednym z posiedzeń wydziałowych, zapytując się między innymi, gdzie też są ci ludzie, których towarzystwo wspierało, gdzie osiedli, czem się trudnią, jako się nazywają, i czy jeden lub drugi odwdzięcza się towarzystwu za doznane dobrodziejstwa, czy należy do naszych towarzystw narodowych. Postawiłem nareszcie wniosek, aby polecono kasjerowi sporządzenie dokładnego spisu wszystkich uczni pobierających zapomogi od początku towarzystwa aż potąd, oraz, o ile to

jest możliwem, wybadać, gdzie się znajdują, czem są i czy należą do naszych narodowych towarzystw. Dodałem narzeczcie, że ja, przeglądając dla własnego użytku listę obdarowanych, nie znalazłem ani jednego (!), któryby się w jakikolwiek sposób okazał wdzięcznym towarzystwu lub żeby się przyznawał do swojej narodowości, że tedy cały zaprowadzony zwyczaj wspierania jest może nie całkiem odpowiedni, a jeżeli się to okaże, że tu trzeba będzie koniecznie reformę zaprowadzić.

Przy przeglądaniu listy znalazłem, że dano wsparcie przeszło 40 teologom katolikom, będącym w seminarjum ołomunieckiem, a tylko trzem teologom ewangelickim, będącym w Wiedniu, i że znaczną liczbę kandydatów stanu nauczycielskiego także drobnemi datkami wsparto. Moje wnioski przyjęto, ale czy je wykonano, nie wiem, bo niezadługo nastąpiły wybory do wydziału, a Stalmach zwołał na posiedzenie mnóstwo księży katolickich, i zapomocą ich wszyscy ewangelicy i ja też, wyrzuceni zostali z wydziału, czyli mówiąc wyraźnie, ani jednego ewangelika nie wybrano do wydziału, a od tego czasu wydział tego towarzystwa jest całkiem katolicki. Od tego czasu upłynęło znów kilka lat, a tych ludzi, których towarzystwo wychowało, jak nie widać tak nie widać. Nikt też ani z towarzystwa, ani poza towarzystwem nie troszczy się o naszą młodzież i cały zastęp naszych synków, skończywszy uniwersytet ginie dla nas, wszyscy się zniemczą i idą w świat, co jeszcze dla nas lepiej, jak w domu, w ojczyźnie, zostaną, bo wtedy z podwójną zażartością nas prześladują. Przynajmniej na teologów mógłby ks. Świeży lub ks. Sikora wpłynąć, a teologów narodowych, tj. po polsku dobrze umiejących, nam bardzo potrzeba.

Aby przysporzyć majątku na stypendja dla uczącej się młodzieży, przedsięwziąłem następującą operację. Ks. Alojzy Pukalski, biskup tarnowski, zapisał w swoim testamencie (po niemiecku napisanym) swój cały majątek bratu Janowi Pukalskiemu w Cieszynie z warunkiem, aby połowicę tego majątku ustąpił Janowi Passendorfowi na używanie, a że po jego śmierci ta połowa majątku ma być obrócona „na fundacje dla ubogich studentów, mianowicie na stypendja“. Ponieważ biskup bliższych rozporządzeń co do

tych stypendyj nie uczynił, tedy myślałem z tego korzystać, aby te stypendja, albo przynajmniej część ich na Śląsk skierować. Nakłoniłem tedy spadkobiercę Jana Pukalskiego w Cieszynie, z którym w bliższych stosunkach zostawałem, aby on jako dziedzic uniwersalny co do majątku na stypendja przeznaczonego bliższe rozporządzenia poczynił, gdyż w pierwszym rzędzie on do tego jest kompetentny, do czego chętnie się nakłonił. Sporządzony tedy został przede mną akt notarialny dnia 9 maja 1887, mocą którego, odwołując się na testament zmarłego biskupa, i na śmierć Jana Passendorfa, użytkowcy tego majątku, Jan Pukalski w ten sposób uwolnionym od użytkowania majątkiem rozporządził, iż majątek ma być obrócony na stypendja dla ubogich i pilnych uczni czyli studentów, urodzonych w Księstwie Cieszyńskiem i pobierających nauki w Cieszynie, a po skończeniu tychże, w dalszym ciągu na uniwersytecie krakowskim, a wyjątkowo i na innych uniwersytetach, a to między innymi i z tego powodu, iż biskup Pukalski urodził się w Cieszynie, że tu kończył swoje nauki i spędził swoją młodość, i że pewnie miał zamiar uczynić Cieszynowi pamiątkę po sobie, — oraz mianował Towarzystwo naukowej pomocy w Cieszynie kuratorem i wykonawcą tej fundacji stypendyjnej z powodu, iż on dla podeszłego wieku (88 lat) i dla choroby tą sprawą osobiście zająć się nie może. Coś innego nie dało się w tej sprawie zrobić, a przecież odezwać się było potrzeba, choćby tylko dlatego, aby uwagę Wydziału Krajowego lwowskiego na śląską młodzież zwrócić. Tak sporządzony akt notarialny wniósł wydział towarzystwa naukowej pomocy do Wydziału Krajowego, skąd nadeszła odpowiedź tej treści (jak mi się zdaje), że majątkiem po biskupie Pukalskim już w innym kierunku uczyniono rozporządzenie, którego cofnąć nie można. Szkoda, przeskoda! majątek ten wynosił 50.000 reńskich. Gdy biskup umarł, przyszedł brat jego, Jan Pukalski, do mnie z prośbą, abym go w sprawie spadkowej zastąpił. Ja, leżąc również chory, poleciłem mu pełnomocnika adwokata Michejdę w Cieszynie, ten zaś, mając pełnomocnictwo, substytuował Dra Gałęckiego w Tarnowie. Chociaż cały spadek był bardzo prosty, to przecież wziął jeden adwokat 1000 reń. a drugi 2000 reńskich, ale o naszych studentach obydwaj zapom-

nieli. Familja Pukalskiego chciała przeciwko wysokim kosztom remonstrować, ja, jako doradca, rozmarkocony niepowodzeniem stypendyjnym, odpowiedziałem: *habeant sibi*.

POLITYCZNE TOWARZYSTWO LUDOWE. Po śmierci Dra Ludwika Kluckiego nie było jakoś przywódcy sprawy narodowej na Śląsku. Za jego życia wszystkie oczy na niego zwrócone były; po jego zaś śmierci swoje oczy każdy raczej na siebie jak na kogo innego zwracał. Tem bardziej okazała się potrzeba utworzenia towarzystwa, któreby kierowało sprawami narodowymi. Ta potrzeba uczuć się dawała na każdym kroku, najbardziej zaś przy wyborach zastępstwa gminnego, szkolnego, drogowego, do sejmu, do rady państwa itp. i tu najłatwiej zrozumieli obywatele wiejscy, że takie kierownictwo jest koniecznie potrzebne. Stalmach zajął się tą sprawą, ale nie na korzyść ogółu, tylko na jego szkodę. Towarzystwo polityczne tak było trzeba urządzić, żeby do niego wszyscy narodowcy należeć mogli. Stalmach zaś, który wszędzie lekceważył ewangelików, poszedł inną drogą, a przybrawszy kilku księży katolickich przygotował towarzystwo, składające się z samych tylko katolików, które to towarzystwo weszło rzeczywiście w życie pod nazwą „Związek śląskich Katolików“ a jego statut zatwierdzony został przez rząd krajowy w Opawie. Przygotowania poczyniono tajnie i w cichości, tak że o zamiarach katolików dowiedzieli się ewangelicy dopiero wraz z ogłoszeniem towarzystwa. Lecz i druga strona, to jest wszyscy ci, którzy byli zdania, że jest szkodliwym dzielić się na wyznaniowe obozy w sprawach politycznych, a przez to wykluczać ludzi, nie będących tego samego wyznania od współdziałalności, nie chodzili z założonemi rękoma, ale zwoławszy mężów zaufania, przedłożyli rzecz o utworzeniu towarzystwa niewyznaniowego do narady, a gdy uchwalono podobne towarzystwo założyć, podano tegoż statut do rządu krajowego w Opawie, który to statut w dniu 5 marca 1884 zatwierdzony został, tak że urządzić było można pierwsze walne zebranie dnia 19 kwietnia 1884, na którym między innymi wybrano wydział, składający się z 9-ciu członków. Sprawozdanie to z przemówieniami, między którymi zasługuje na wzmiankę mowa ks. Franciszka Michejdy o solidarności, ogłoszone zostało jeszcze w kwietniu 1884

drukiem. Na tem zebraniu zapisało się członków 85. Większa część była ewangelików, ale byli także i katolicy, a nawet jeden czy dwóch żydów; do wydziału wybrano trzech katolików, między którymi jeden rolnik, co jest dowodem, że do tego nowego towarzystwa należeli także katolicy wieśniacy, którzy nie podzielali zasady, że wszystko musi być katolickie, i że z ewangelikami nie trzeba żadnych styczności utrzymywać. Towarzystwo nowo założone przybrało nazwę „Polityczne towarzystwo ludowe“. Stalmach nie mógł takiej klęski w cichości znieść i roztaczał w *Gwiazdce* w sposób nieprzyzwoity i ubliżający narodowcom, tak że *Czas krakowski* widział się spowodowanym wystąpić w artykule *Ziemie polskie* z dnia 7 maja 1884 Nr. 106 w obronie narodowców śląskich i przy tem udzielił porządną lekcję Stalmachowi, tak że jej nie prędko zapomniał. (Nr. 106 *Czasu* znajduje się w *Silesjace*.) Ale pomimo tego Stalmach szkalował towarzystwo polityczne ludowe i wzywał na narodowców aż do ostatniej chwili swojej redakcji *Gwiazdki*.

Zwykle rzecz nowa ma dobre powodzenie, tak też i oba towarzystwa polityczne. Związek śląskich katolików odbywał bardzo często zebrania w różnych miejscowościach i wydawał broszury pod nazwą *Posel*. Już w pierwszej broszurze zahaczył o ewangelików, na co mu odpowiedziano również broszurą, która wprawdzie nie wyszła z obozu towarzystwa ani żadnego z jego członków, ale zawsze dostarczyła dowodu, że kłótnie i swary wyznaniowe i w naszym stuleciu do niczego nie doprowadzą, i że lepiej żyć w zgodzie, jak w niezgodzie. I towarzystwo polityczne ludowe wzięło się rączo do pracy. Niezadługo po wejściu w życie zwołano zgromadzenie ludowe do Ustronia na dzień 25-go maja 1884. Zebrała się wielka liczba ludzi, a ponieważ starostwo bielskie (Klingner) zakazało odbywania narad pod gołem niebem, musiano się wnieść do sali hotelowej, w której ani połowa zgromadzonych nie znalazła miejsca, reszta musiała przed oknami stać. Mówiono tam o uprawnieniu języka polskiego w sądach, urzędach politycznych i w szkołach — a dalej o wyborach i ich znaczeniu. Kwestja, czy zgromadzenie ustronkie mogło się odbyć pod gołem niebem, bez zakłócenia spokoju publicznego, została załatwio-

ną niepomysłnie przez rząd krajowy w Opawie i przez ministerstwo, dopiero Trybunał państwa orzekł na korzyść Towarzystwa z powodu, iż przez zakaz zgromadzenia pod gołem niebem naruszoną została ustawa zasadnicza o prawie zgromadzenia się. O tem zgromadzeniu wydrukował krakowski *Czas* bardzo obszerny i sprawie towarzystwa przychylny artykuł (*Czas*, 8 czerwca 1884, Nr. 131). Drugie zgromadzenie ludowe odbyło się w Ligotce Kameralnej dnia 6 lipca 1884. Ludu było daleko więcej, jak w Ustroniu, a narady odbywały się pod gołem niebem. Przemawiano o potrzebie i rzeczach naszego towarzystwa, o równouprawnieniu językowem, o wyborach i potrzebie ustawy przeciwko pijaństwu. Na to zgromadzenie przybyli z Krakowa nasz protektor Żółtowski, hrabia Rej, Hopcas, współredaktor *Czasu* i prof. Molin. Pogoda nam sprzyjała i zgromadzenie powiodło się jak najlepiej. Wspominać nie będę, ile Stalmach wylał żółci nad powodzeniem tych dwóch zgromadzeń ludowych, na których naturalnie jako nadzwyczajny narodowiec nie był. Dalej odbyło się zgromadzenie walne dnia 2 maja 1885 w sali Czytelni ludowej, na którem omawiano pomiędzy innymi sprawami wybory do rady państwa. — Z tych powyżej wymienionych czynności towarzystwa wydrukowano w październiku 1885 obszerne sprawozdanie.

Z powyżej wyliczonych dat powziąć można, iż z początku, mianowicie w roku 1884 towarzystwo było bardzo czynne i odpowiadało zupełnie zadaniu swemu. W późniejszych latach odbyło się kilka posiedzeń wydziału czyli walnych zgromadzeń, wtedy gdy nadchodziła chwila wyborów, ale gwiazda, która nawet wśród chmur jasno przyświecała towarzystwu w pierwszym powiciu, bladła pomału, aż zupełnie zbladła, a towarzystwo wygląda dziś tak, jak gdyby nie istniało. Prawdą jest, że Związek śląskich Katolików też bardzo rzadko ma swoje zgromadzenia, ale to nie uniewinnia bezczynności naszego Towarzystwa. Jest to wiadomą rzeczą, i prawie każde towarzystwo opiera się o główną osobę, którą jest sekretarz, a gdzie sekretarz nie jest czynny, to też towarzystwo upadnie, a przynajmniej moralnie się rozwiąże. Już dawno chciałem złożyć godność prezesa tego towarzystwa, do czego mnie przedewszystkiem pode-

szły wiek i długa choroba uprawniają, ale sądziłem, że towarzystwo martwe jakoś odżyje, i że będzie uciecha na tem polu pracować — teraz widzę, że wszelkie czekanie jest próżnem. A pracy jest tak wiele!

BAZAR CIESZYŃSKI. Już dawniej okazała się potrzeba nabycia domu w Cieszynie, któryby był własnością ludu w Księstwie Cieszyńskim zamieszkałego, w którym to domu mieściłyby się wszystkie towarzystwa narodowe i skupiało się wszystko życie swojskie. Na naradę w tym względzie przyjechali także panowie z Krakowa, i uchwalono, aby się utworzyła spółka handlowa i ta starała się nabyć odpowiedni dom, ponieważ własność domu pod tym znakiem jest pewną i nie może być konfiskowana, co mogłoby się łatwo wydarzyć, gdyby jakie inne towarzystwo było właścicielem tego domu. I spółka się utworzyła i nabyła dom zajezdny pod Wołem, który przebudowała, dodawszy drugie piętro i urządziła sklep towarów mieszanych (bazar). Ale sklep nie miał powodzenia, bo zarząd jego okazał się jako wielka niezdara. Do zarządu należeli Filasiewicz i Sikora, a żaden z nich nie miał pojęcia o handlu i o towarach, bo się żaden nie uczył kupiectwa ani teoretycznie, ani praktycznie. Już ta okoliczność stawia nam zarząd w właściwym świetle, że przyjął do sklepu jakiegoś Borowkę, przed tem, nim sklep wybudowany został i płacił mu przez czternaście miesięcy służbę i mieszkanie, a gdy po 14 miesiącach jego próżniaczej obecności w Bazarze sklep otwarty został, okazało się, że Borowka na kupiectwie i towarach bardzo mało się zna i nie jest w stanie sklepu prowadzić, tak że go musiano usunąć. Nim zdołano innego kupca sprowadzić popsulo się mnóstwo towarów, co było wielką stratą dla sklepu. W ciągłych niepowodzeniach przyjęto nareszcie niejakiego Makowskiego do sklepu. Był on sprytny, ale na szkodę Bazaru. Ponieważ kasa zaliczkowa i Bazar były przez tych samych ludzi zarządzane, tedy Zaliczka dostarczała kapitału, ile Makowski zażądał. Tym sposobem nakupił Makowski za kilkadziesiąt tysięcy reńskich towarów do sklepu, a gdy mu zarząd Bazaru (Filasiewicz i Sikora) bez wszelkiej gwarancji wszystek towar sprzedał, którego Makowski nie zapłacił, ale w terminach bez rękojmi spłacać miał, Makowski towary wysprzedał a pie-

niądze zabrał i poszedł sobie, skąd przyszedł. Taki koniec przepowiadał każdy Makowskiemu, tylko jedyny zarząd nie wiedział i nie widział, że Makowski cały dzień nie był w sklepie, ale po szynkach łąził i wił i szachrował. Tym sposobem stracił Bazar czyli spółka około 30.000 reńskich. Nielepsze powodzenie miał budynek bazarowy, dawniej Złoty Wół w Cieszynie. Do przebudowania jego wzięto się nie bardzo radykalnie. Postanowiono wybudować na starej podstawie drugie piętro, a od strony Małego Rynku cały front. Fundusze, które zebrano, były niedostateczne, nazwano je udziałami i te udziały oprocentowano sześcioma od sta. Budowę samą rozłożono sobie na dwa lata, przez które Bazar prawie żadnego dochodu nie dawał, natomiast trzeba było cenę kupna procentować, jak również i udziały. Po ukończeniu całej budowy i urządzeniu wewnętrznem obliczono, że cały Bazar z ceną kupna i rachunkiem budowniczym kosztuje 80.000 reńskich, a później obliczył zarząd, iż Bazar spółnikom swoim będzie przynosił sześć od sta rocznie. Póki budowa trwała, wypłacano procent od udziałów, po skończonej budowie i obrachowaniu, że Bazar będzie 6 procentów przynosił, już nikt nie doczekał się wypłaty procentu. Gospodarka była tak urządzona, że za kilka lat przyrobiono długo 30.000 reńskich, tak, że cały Bazar kosztował spółników przeszło 100.000 reńskich, a przecież Bazar był przez 15 lat wolny od podatku czynszowego. Spółnicy się skarżyli na taką gospodarkę, ale zarząd szedł zawsze jedną drogą, i aby się pozbyć krzykaczy, wypłacił najbardziej krzyczącym ich udziały, ze szkodą drugim współników, a pieniądze potrzebne wziął z kasy zaliczkowej, naturalnie bez pytania, kto i kiedy je będzie wracał. Szło to bardzo łatwo z pieniędzmi, bo zarząd Bazaru był także zarządem Kasy zaliczkowej. Przez cały czas nie było sprawozdań i wszystko żyło sobie bez troski o dzień jutrzejszy. Później zmieniono spółkę handlową na spółkę zarobkową, ale to nie pomogło, sprawa musiała dla złej gospodarki runąć. Nareszcie, gdy już nie można było sprawą ani w prawo ani w lewo kręcić, a gdy na walne zebranie, które tak sztucznie zwołano, żeby nikt się nie stawił, w samej rzeczy nikt nie przyszedł, uchwalił wydział, aby Bazar sprzedać, i szczęściem trafił się kupiec w osobie hotelisty

Pustelnika z pod Jelenia, który cały ten kram kupił za około 80.000 reń., tak że straty około 30.000 wynosiły, tak że wszyscy spółnicy swoje udziały całkowicie stracili, a kasie zaliczkowej też się po plecach dostało. I ja straciłem całkowicie mój udział, który według zobowiązania 400 reń. wynosił, a który, gdy była gwałtowna potrzeba pieniędzy na budowę, na 1000 reń. podwyższyłem. Sprawa narodowa na Śląsku poniosła przez upadek Bazaru wielką klęskę, i lud stracił przez to całkiem zaufanie do swoich przywódców. Upadku Bazaru nie opisuję bliżej, bo nie byłem w zarządzie i nie znam bliższych dat. O tak wstrętnej rzeczy i tak dosyć napisałem.

DOM NARODOWY W CIESZYNIE. Nasze przysłowie „po szkodzie Polak mądry“ sprawdziło się jak najzupełniej w kwestji bazarowej. Domu narodowego, któryby był własnością towarzystw narodowych na Śląsku nie można było budować za pożyczone pieniądze, za pieniądze zaciągnięte na procent po sześć od sta, za pieniądze, które tak czy tak trzeba było za krótszy lub dłuższy czas wracać. Nie można też było tworzyć spółki handlowej, skoro nikt z nas, a nawet ze wszystkich spółników nie miał pojęcia o handlu, a tem mniej wykształcenia handlowego. Takim przedsiębiorstwom można było w samych początkach śmierć przepowiedzieć. Przyszliśmy więc po tak smutnych doświadczeniach do przekonania, że sprawę domu narodowego trzeba oprzeć na zdrowym, rozumnym fundamencie. Dom narodowy w Cieszyni potrzebny nam jest jak głodnemu kawał chleba. My, Polacy w Cieszynie, jesteśmy tu jak na wygnaniu. Pamiętam, że w roku 1839, gdy poszedłem do gimnazjum, rzadko kto z obywatelstwa mówił po niemiecku, a dziś cały Cieszyn (inteligencja i mieszczaństwo) jest niemieckie. Wszystko jest w rękach niemieckich, a nawet żaden dom nie należy Polakowi. A Niemcy nas nienawidzą i prześladują i należy to do dobrego tonu natrzasać się z nas. Dlatego też lud śląski nie ma w Cieszynie przytuliska, gdy się chce naradzać nad sprawami publicznymi; liczne nasze towarzystwa nie mają wspólnego ogniska, a jeżeli dotąd Czytelnia ludowa ma swój własny (wynajęty) lokal, który użycza i innym towarzystwom, to kto wie, jak długo ten lokal będzie miała, bo gdyby jej został wypowie-

dziany, toby już potem trzeba chyba pod szczerem niebem obozować. Otóż trzeba nam domu, któryby był nasz, a taki dom ma stanąć za staraniem Towarzystwa domu narodowego w Cieszynie. Myśl wybudowania takiego domu zaczęła kiełkować w roku 1884. Zaczęto zbierać pieniądze na dom narodowy, ale tylko w Cieszynie. Właściwie chciano zebranymi pieniędzmi ratować upadający Bazar, czyli pokrywać roczne niedobory z administracji Bazaru. Myśl ta przybrała ciało dopiero w roku 1887, w którym to roku związało się w Cieszynie „Towarzystwo domu narodowego“, ułożyło odpowiedni statut, który w dniu 24 maja 1887 przez rząd krajowy w Opawie zatwierdzony został. Celem tego towarzystwa jest zebranie funduszu potrzebnego na założenie Domu Narodowego w Cieszynie. Z początku nadchodziły dosyć sporo wkładki czyli dary, mianowicie z poza Śląska; ale i nasi Ślązacy zaczęli się jakoś ruszać koło tej sprawy. — Niestety każda dobra rzecz znajdzie swego robaka, który ją podgryzie. Tak też było i jest jeszcze z domem narodowym. *Gwiazdka Cieszyńska* zaczęła się jeżyć i zmyślać niestworzone rzeczy na odstręczenie od brania udziału w tej sprawie. Argumenta, które Stalmach wystawił do boju były głównie te, że założyciele tego towarzystwa należą do klikki, która chce ratować upadający Bazar i że zebrane na dom narodowy pieniądze chcą obrócić na pokrywanie dziur bazarowych, że nam nie potrzeba Domu narodowego, bo katolicy już mają swój dom narodowy na Starym Targu, że utworzone towarzystwo mamy darodawców, aby nie dawali na Macierz Szkolną swoich darów, ale na dom narodowy itp. Wprawdzie katolicy, czyli raczej towarzystwo błogosławionego Sarkandra wybudowali częśćią z funduszków tego towarzystwa, częśćią z zapomogi biskupa wrocławskiego, który na ten cel ofiarował około 25—28 tysięcy reńskich, dom na starym Targu w Cieszynie, ale to nie był dom narodowy, to był dom, przeznaczony na cele katolickie, nikt go też nie nazwał domem narodowym ani w pismach, ani w przemówieniach, ani w życiu potocznym. Z tych dwóch funduszków wybudowano dom Sarkandra, tak że pokryte zostały wszystkie odnośne koszta i wydatki. Ale Stalmach w niepohamowanych zapędach przeciwko wszystkiemu, co nie wyszło z jego głowy, aby szko-

dział naszemu towarzystwu, nazwał Sarkandra domem „narodowym katolickim“, i pisał w *Gwiazdce*, że ponieważ ten dom jest gotowy i bez długu, nie potrzeba, aby się ktokolwiek przyczyniał datkami swemi na budowę domu narodowego. Stalmach chwycił się i tego środka, że gdy obywatel Cięciel z Krakowa przysłał na ręce Stalmacha 50 reńskich z przeznaczeniem, aby połowę dał na Macierz, a połowę na dom narodowy, on prędko umieścił w *Gwiazdce*, że X. X. z Bogumskiego nadesłał na dom narodowy katolicki jednego reń. (co było pewnie fikcją), a na drugi tydzień umieścił w *Gwiazdce*, że Cięciel z Krakowa nadesłał na dom narodowy katolicki 25 reńskich. Stalmach popełnił taką niegodziwość, aby i na tej drodze szkodzić naszemu Towarzystwu, zabierając dla niego przeznaczone pieniądze, gdyż sam ks. Świeży oświadczył, iż katolicy nikogo nie prosili o wsparcie, bo ich dom jest bez długu.

Aby zaznajomić lud polski poza Śląskiem z naszymi stosunkami, wydało towarzystwo broszurkę zawierającą wszystkie statystyczne wiadomości o Śląsku a względnie Księstwie Cieszyńskim ze stanowiska narodowego, opisując konieczną potrzebę domu narodowego, zawierającą na końcu apelację do wszystkich Polaków, aby nas w tem przedsięwzięciu wspierali. Drugie wydanie tej broszury wyszło w październiku 1891 r. Sprawozdania drukują się co rok, a z nich można widzieć postęp i rozwój tej sprawy. Z końcem roku 1894 będzie zebrany fundusz wynoszący blisko 19.000 złr. Że lud wiejski na Śląsku, a pomiędzy nim głównie katolicy, nie należą do towarzystwa i nic nie chcą ofiarować na sprawę własną, jest zastanowienia godnem. Według zestawienia, zrobionego podczas mojej kuracji w Abazji było, o ile sobie przypominam, około 50 członków Ślązaków w towarzystwie, a między tymi 13 czy 14 rolników. Doradzają nam z Krakowa, żeby tylko zacząć budować, to pieniądze się znajdą. Ale na takich frazesach nie można polegać. Za zebrane dotąd pieniądze ledwo można plac pod budynek w miejscu odpowiedniem nabyć. Przez podobne zakupno utracilibyśmy procent od zebranego kapitału około 800 reń., a dochód z placu pod budynek nie byłby prawie żaden. A z czegoż kupić materiał budowlany, a z czego zapłacić robotnika? Ja się na taką gospodarkę nie

piszę i według mego zdania, trzeba przede wszystkim zebrać potrzebny kapitał (około 100.000 złr.) a potem dopiero przystąpić do budowy. Jeżeli Polacy chcą bronić kresów dawnej Polski, tedy powinni nam na Śląsku zbudować fortecę obronną przeciw germanizmowi i przeciw daleko niebezpieczniejszemu czechizmowi, a Polska nie śmie budować byle jakiej lepianki, boby to nie było dla niej zaszczytnem, ale postawić powinna gmach odpowiedni naszym potrzebom, gmach, któryby przynosił zaszczyt narodowi polskiemu. Grosz zebrany jest ulokowany w Towarzystwie zaliczkowem, tylko około 5000 reń. jest na hipotecę. Wnosiłem już kilka razy na posiedzeniach wydziału, aby kapitały rozpozyczyć na hipoteki, bo tam bezpieczniejsze będą, jak w towarzystwie zaliczkowem; uchwalono to wprawdzie, jeno nie wykonano, a nawet moich wniosków do protokołu nie zapisano.

TOWARZYSTWO ROLNICZE DLA KSIĘSTWA CIESZYŃSKIEGO. Wspomniałem już poprzednio o zabiegach celem założenia towarzystwa rolniczego w Cieszynie w roku 1862 i o odmownem załatwieniu tej sprawy przez rząd krajowy w Opawie. Około pięć lat później ponowione zostało podanie o pozwolenie do założenia towarzystwa rolniczego, a odnośny komitet był szczęśliwszy od pierwszego, bo uzyskał pozwolenie. Czasy i osoby się zmieniły jako tako na korzyść oświaty i postępu. Towarzystwo, na czele którego stanął Jerzy Cienciała, rolnik z Mistrzowic, rozwijało się pomału, ale konsekwentnie i podtrzymywane było przez porządek we wszystkich sprawach i przez regularne posiedzenia wydziału i walne zebrania coroczne. Obok tego założono filjalkę towarzystwa leśniczego i gospodarskiego opawskiego w Cieszynie. Było to towarzystwo składające się z samych panów *Verwalterów*, pisarzy i innych osób, towarzystwo niemieckie, z celami germanizacyjnymi, założone, aby paraliżować czynności Towarzystwa rolniczego. To niemieckie towarzystwo dało sobie wiele pracy, aby przyciągnąć towarzystwo rolnicze do siebie, bo mu było trzeba kogoś, kimby mogło komenderować i pomiatać, a do tego jeszcze po niemiecku. Byli to oficerowie bez żołnierzy, sztab bez armji. Obiecywano towarzystwu rozmaite korzyści z tego połączenia dla towarzystwa

wypływające, mianowicie zapomogi, subwencje, któremi rząd tylko filjałkę obsypywał. Nieraz nawet chwiała się sprawa, ale przecież zdrowy rozum zwyciężył, a towarzystwo nie dało się podbić pod obce żywioły, ale stanęło tem mocniej na własnych nogach, a od tego czasu już nie przypuszczano szturmowi do towarzystwa rolniczego. Owszem, zaczęły się pojawiać w tem towarzystwie te same beneficja, które miała filjałka zgóry zapewnione. A tym sposobem pozostali oficerowie bez wojska a nawet bronią robić zapomnieli. Towarzystwo rolnicze rozrosło i wzmocniło się na siłach przez zakładanie kółek rolniczych na Śląsku, których już jest znaczna liczba. Nim Towarzystwo zaczęło się opiekować kółkami, utworzono parę towarzystw czyli Kółek rolniczych katolickich np. w Ustroniu, w Suchej. Towarzystwo rolnicze nie poszło za tą zwodniczą wskazówką i tworzyło kółka rolnicze, obejmujące wszystkich rolników w gminie, bez względu na wyznanie. I tak się też należy, bo rolnictwo katolickie lub ewangelickie nie ma sensu. Pismo *Rolnik Śląski* wpłynęło wiele na rozwój towarzystwa, a chociaż jest ks. Michejda redaktorem, to przecież i gospodarze wiejscy dużo do *Rolnika* piszą. Wielkiego wzięcia i sławy nabyło towarzystwo rolnicze dla Księstwa Cieszyńskiego przez obchodzenie 25 letniego jubileuszu swego istnienia. Uroczystość pomimo dłuższej słoty wypadła bardzo świetnie, bo wzięli w niej udział rząd krajowy, wydział krajowy i inni dostojnicy jak hrabia Lärish, a co było dla wszystkich nas wielką niespodzianką, że Niemcy okazali się bardzo przychylnymi Towarzystwu i uroczystości jubileuszowej a ku podziwieniu naszemu zaczęła *Silesia* — zawsze zwykle wroga — pisać hymny pochwalne na towarzystwo i jego usiłowania. Miało to wielkie znaczenie dla towarzystwa i jubileuszu, że Jerzy Cienciąła z Mistrzowic, który przez całych 25 lat był prezesem tego towarzystwa, został na jubileuszu odznaczony złotym krzyżem zasługi z koroną. Chociaż należałem jakiś czas do wydziału, nie mogłem przecie brać szerokiego udziału w czynnościach towarzystwa. Pamiętam tylko, że postawił raz wniosek, aby oprócz rozdawania rewików posyłano znawców, aby w każdej wsi choć parę drzew za darmo zaszczepili, ale wniosek ten upadł. Pisałem także

artykuły o szkole gospodarskiej i wychodziłem z tego punktu zapatrywania się, że daremną rzeczą jest prowadzić wojnę ze szkołą rolniczą niemiecką w Kocobędzu i chcieć ją przemienić na szkołę polską, że tu trzeba się domagać założenia innej szkoły gospodarskiej czyli rolniczej, szkoły nie dla rozmaitych przybłędów i ludzi, co już wszystkiego próbowali a nareszcie uważają rolnictwo jako ostateczną ucieczkę, aby znaleźć jaki sposób do życia, ale szkoły dla synów naszych rolników, szkoły z wykładowym językiem polskim. Szkoły rolniczej dla naszego ludu — a nie mamy w całym Śląsku żadnej — nie możnaby nam było odmówić, a chociażby z początku był krzyk, to by się było pomału uciszyło, a po jakimś czasie bylibyśmy uzyskali szkołę polską. Przez to by była szkoła rolnicza kocobendzka, nie mająca najmniejszej racji bytu, sama przez się upadła. Na moje artykuły w tym przedmiocie żaden się nie odezwał, natomiast cieszyli się rolnicy, gdy im obiecano, że jak będzie w Kocobędzu miejsce, to obsadzone zostanie przez nauczyciela, umiejącego też po polsku; nie powiedziano, że dla polskich wykładów, a więc może dla tego, aby mógł ten nauczyciel zrozumiale kląć i przezywać.

TOWARZYSTWO EWANGELICKIE OŚWIATY LUDOWEJ. Omawiając sprawy presbiterjalne napomknąłem już o tem towarzystwie. Założone ono zostało w roku 1881 a statut tegoż zatwierdzony został przez opawski rząd krajowy dnia 7 sierpnia 1881 r. Gdy się Haase obraził, że go nie obrano prezesem tego towarzystwa, założył on dla swoich popleczników „Czytelnię ewangelicką“, której statut 15 lutego 1882 zatwierdzony został. Nastąpiło więc rozerwanie pomiędzy ewangelikami, bo Haase zamiast zgody sieje wszędzie niezgodę. Czytelnia ewangelicka nie jest utworzona dla rozwoju i podniesienia ewangelictwa. Ewangelictwo jest tylko przybraną firmą, aby ludzi przywabić do siebie, celem jej jest, jak to statut w § 2 wyraźnie mówi, pouczenie się o prawach zasadniczych (= polityka), wzajemna pomoc w sprawach ekonomicznych (= rolnictwo); pierwszym i ostatecznym celem jest, jak się domyśleć można, germanizacja, i jest to prawdziwym szyderstwem, gdy w § 2 c wymienione jest pielęgnowanie języka pol-

skiego między celami towarzystwa. Wskutek założenia czytelnicy nastąpiło między ewangelikami zboru cieszyńskiego rozdzielenie i rozgorczenie, ale to nie osłabiło towarzystwa ewangelickiego oświaty ludowej. Owszem czynność tego towarzystwa jest nieporównanie większą i skuteczniejszą jak Czytelnia ewangelickiej. Towarzystwo wydaje co rok jakie dziełko, które członkowie otrzymują darmo, a nieczłonkowie mogą nabyć za bardzo przystępną cenę. Tak np. wydało towarzystwo między innymi: *Postylę* Dr. M. Lutra, historję reformacji D'Aubigne'go, *Postylę* Dra Otto i jego rozmyślenia i kazania, *Dzieje Kościoła chrześcijańskiego p. Jerzego Badury* itp. Niezmordowanym pracownikiem na tem polu był i jest ks. Dr. Pindór w Cieszynie, on to po największej części dostarcza książek, stanowiących roczne premje dla członków. Jest też obecnie prezesem tego towarzystwa. Drugim filarem jest ks. Franciszek Michejda z Nawsia, od początku towarzystwa jego sekretarz. On utrzymuje ład i porządek w towarzystwie, stara się o przysporzenie członków, o sprzedaż wydawnictw towarzystwa, w czem mu wiele dopomagają pisma przez niego wydawane, a pomiędzy temi *Przyjaciel Ludu*. Towarzystwo to zjednało sobie wzięcie nietylko na Śląsku, ale i pomiędzy ewangelikami w Galicji, w Królestwie polskiem, pod Prusami itp. i było by się stało dźwignią piśmiennictwa ewangelickiego polskiego, gdyby nie był szatan nasiał kłokółu do pszenicy. Raz do roku jest walne zebranie w sali Czytelnicy ludowej w Cieszynie, i mają się później odbywać walne zebrania i poza siedzibą towarzystwa, co by miało zbawienny wpływ na rozwój tegoż. Jestem członkiem wieczystym tego towarzystwa i byłem dłuższy czas wiceprezesem jego. Wszystkie wydawnictwa tegoż znajdują się w *Silezjace*, — a ponieważ jestem tegoż Towarzystwa członkiem wieczystym, tedy i po mojej śmierci wszelkie dalsze wydawnictwa należeć będą do *Silezjaki*, do której je przeznaczyłem.

MOJE WYDAWNICTWA. Gdym w roku 1881 powrócił do Cieszyna i objął posadę notariusza, zaczęły się powtarzać zapytania (Vide rok 1862), czy wydam książkę prawniczą dla naszego ludu i kiedy wyjdzie. Z tych częstych zapytań mogłem wnosić, że odbył tej książki będzie odpo-

wiedni. Wydałem więc w r. 1883 podręcznik prawniczy, przeznaczony dla Śląska i dla Galicji, a w roku 1884 I część podręcznika dla gmin — ustawę gminną i wyborczą, a nieco później 2-gą część I-go tomu, przeznaczonego li dla Śląska. Cieszyłem się temi wydawnictwami, sądząc, że mi się bardzo podarzą, i nadesłano mi też zewsząd pochwały. Niestety, podręczniki się nie bardzo prędko rozchodziły, mianowicie po śmierci Jerzego Kotuli, księgarza w Cieszynie, który do tej rozprzedaży był jakby stworzony. Spodziewałem się, że nasi narodowcy zajmą się lub poprą rozprzedaż książki, tak ważnej dla ludu, ale to się nie stało. Śpieszyłem się z wydaniem podręcznika dla gmin i z tego powodu, bo się obawiałem, aby Czesi nie rozrzućili ustawy gminnej i wyborczej i innych najpotrzebniejszych ustaw na Śląsku w języku czeskim — całkiem darmo — i nie zabrali nam terenu, nie już do sprzedania mojego podręcznika, ale do prowadzenia spraw gminnych w polskim języku, która to obawa, jak się już dziś pokazuje, nie była próżną. Koniec końców, zaniechałem wydania drugiego tomu podręcznika dla gmin, do którego już większą część materiałów miałem nagromadzonych. Ja sam nie mogłem się zająć rozprzedażą, bo też ciągle niedomagałem i postanowiłem podręczniki moje i przysłowia sprzedać ryczałtowo Feitzingerowi, porozumiewszy się wprzód z wydziałami Domu narodowego i Czytelni ludowej, którym już na początku przyobiecałem czysty dochód przekazać. Gdyby podręcznik prawniczy nie był się rozszedł w Galicji — około 600 egz. — i gdyby mi wydział krajowy w Opawie nie był wyznaczył subwencji na podręcznik dla gmin (o którą zresztą nigdzie nie prosiłem) w ilości 200 reń., byłbym miał przy tych wydawnictwach znaczny deficyt. Tak więc nie straciłem na gotowych wydatkach, ale owszem wypadło czystego zysku 250 reń., które w równych połowach po 125 reń. Domowi Narodowemu i Czytelni Ludowej wręczyłem, a właściwie dla Czytelni w kasie oszczędności cieszyńskiej złożyłem.

SILESIAKA. Pierwsze początku *Silezjaki* odnieść należy do roku 1848. Zebrałem wtedy o ile mogłem nasze, galicyjskie i wiedeńskie ulotne listy, które gruby tom w 8 stanowią. Oprócz tego zebrałem także ulotne listy 4^o

i afisze. Od tego czasu dodawałem do tego zbioru różne książki drukowane lub wydane w Cieszynie, a zwłaszcza wychodzące u nas gazety a między temi *Tygodnik Cieszyński* (*Gwiazdkę*), który zgoła kompletnie posiadam. Zaginął mi niestety gruby fascykuł podań, załatwień, rekursów itp. w sprawach języka polskiego na Śląsku z czasu przed rokiem 1848 i późniejszych lat, które z archiwu Dr. Kluckiego za jego wiadomością ułożyłem. Tej zguby nie mogę odzalaować. Mogłem więcej zrobić, jak zrobiłem, ale dawniej nie miałem zamiaru zakładać *Silezjaki*. Myśl ta powstała dopiero od roku 1881, czyli od czasu przeniesienia się do Cieszyna, odtąd aż do obecnej chwili znacznie się zbiór mój powiększał, chociaż jeszcze wiele materiałów z ubiegłych czasów trzeba zakupić, a nabyte oprawić i uporządkować. W miesiącu wrześniu 1894 wystosowałem odezwę do ziomków, donosząc im o *Silezjace* z wezwaniem, aby ofiarowali do tego zbioru swoje zasoby, które pojedynczo po naszej ziemi roztrzęsione i tak z czasem niepowrotnie giną. Od tej odezwy nie należy wiele oczekiwać, bo nikt nie śpieszy się, aby co przesłał, jak tego mam dowód, zbierając fotografie mężów wybitniejszych śląskich u nas i poza Śląskiem.

ODEZWA DO ZIOMKÓW. Poznanie kraju naszego należy do pierwszych naszych obowiązków narodowych. Dla tego powinniśmy zbierać i skrzętnie gromadzić wszelkie pomniki naszej przeszłości i wszystko, co może być świadkiem o bieżącej chwili, o losach naszych w tym kraju, w którym od niepamiętnych czasów mieszka nasz naród. Nawet rzeczy pozornie mało znaczące z czasem mogą nabrać wagi i znaczenia i pogardzać niemi nie należy. Wspólną pracą i wspólnemi zabiegami wszystkich ludzi dobrej woli i kraj swój szczerze miłujących możnaby dokonać pracy ważnej i pięknej i dowieść zarazem, że myślimy i pamiętamy o sobie. Do takiej zbiorowej pracy wzywam serdecznie Szanownych ziomków, prosząc ich uprzejmie, by raczyli się rozejrzeć koło siebie i poszukać, czy nie znalazłoby się coś uwagi godnego i by zechcieli przysłać to na moje ręce. Od wielu bowiem lat, prawie od czasów szkolnych, zbieram różne rzeczy Śląska. Wydałem przysłowia i pieśni naszego ludu, zebrałem właściwości naszego narzecza czyli słownik prowincjonalizmów ślą-

skich i zgromadziłem także dość już znaczny zbiór innych materiałów, które kiedyś mogą mieć swoje znaczenie. Są to materiały, odnoszące się do historii Księstwa Cieszyńskiego i do poznania społecznych, narodowych i politycznych stosunków w kraju naszym. Zbiór ten rzeczy śląskich (*Silesiaca*) zamierzam w swoim czasie złożyć w Czytelnii Ludowej w Cieszynie, gdzieby każdy, kogo interesują sprawy nasze, mógł z niego korzystać. Z czasem z tego zbioru mogłoby powstać archiwum i muzeum śląskie, może niewielkie i niebogate, ale nie mniej dla nas ważne i cenne. Nie ociągajcie się przeto, Szanowni ziomkowie, i raczcie nadsyłać na moje ręce wszelkie materiały, odnoszące się do Śląska, przeznaczając je do przyszłego zbioru rzeczy śląskich. Nie da się ściśle określić, jakie mianowicie przedmioty byłyby pożądane dla naszego zbioru, gdyż właściwie wszystko, co w jakikolwiek sposób odnosi się do naszego kraju i do nas, co w nim mieszkamy, jako też do naszych przodków, znaleźć się tam powinno. Na przykład wymieniam tu niektóre przedmioty, o których nadsyłanie do naszego zbioru Szanownych ziomków uprzejmie proszę:

1. Wszelkie książki i czasopisma drukowane na Śląsku, a więc: książki szkolne, kościelne i wydawnictwa ludowe, kalendarze, gazety, pisma ulotne, mowy i odezwy, sprawozdania poselskie i t. d.

2. Wogóle wszystkie książki, drukowane gdziekolwiek, odnoszące się do Śląska, a więc: opisy kraju, książki historyczne traktujące o Śląsku, opisy podróży i wycieczek po naszym kraju, opisy strojów, przedstawienia zwyczajów śląskich, wycinki gazet z artykułami o Śląsku, dalej ilustracje, fotografie i t. d.

3. Książki jakiegokolwiek treści pisane przez Ślązaków, żyjących za granicami kraju. Wiadomości o życiu i działalności wybitniejszych rodaków. Ich fotografie.

4. Przyczyny do ludoznawstwa: pieśni, przysłowia, baśnie, gadki, zwroty językowe, reguły gospodarskie, opisy zwyczajów, wspomnienia historyczne, utrzymujące się w pamięci ludu i t. d.

5. Ustawy i rozporządzenia władz krajowych.

6. Wiadomości o istniejących w kraju naszym towarzystwach. Ich statuty i sprawozdania i t. p.

Cieszyn, w wrześniu 1894.

DR. ANDRZEJ CINCIAŁA,
notarjusz w Cieszynie.

POLITYCZNE TOWARZYSTWO LUDOWE. Co rok w miesiącu lutym żąda nasze starostwo od wszystkich towarzystw dat statystycznych według nadsyłanego formularza. I ja odebrałem podobne wezwanie jako prezes politycznego towarzystwa ludowego. Chcąc się już od dłuższego czasu uwolnić od prezesostwa, zrobiłem doniesienie, że nie mogę podać statystycznych dat, ponieważ już od dłuższego czasu nie należę do wydziału towarzystwa politycznego i nie jestem jego prezesem, a że te daty sekretarz Dr. Michejda poda, i że do niego a nie do mnie o nie zwrócić się należy. Ciekawy jestem, czy starostwo co uczyni co do ukonstytuowania się na nowo towarzystwa. Ja przynajmniej pozbyłem się na drodze na jakiej było tylko można, zaszczytu być prezesem towarzystwa faktycznie od kilku lat nie istniejącego i nieczynnego, który to zaszczyt był dla mnie raczej hańbą, choćby już tylko wobec roszczeń, jakie Czesi w obecnej chwili do naszego Śląska podnoszą. Powyżej nadmienione podanie skutecznem dnia 9 lutego 1895 r.

SPÓR O GRANICĘ ŚLĄSKO-MORAWSKĄ. Kilka miesięcy temu będzie, najechali a raczej napadli na nas spokojnych Ślązaków sąsiedni Czesi w sposób najhaniebniejszy. Mówią, że Księstwo Cieszyńskie spolszczone zostało i że musi wrócić na łono czeskie. W tym celu piszą niestworzone rzeczy w *Narodnich Listach*, w *Opawskim Tygodniku* i w *Nowinach Cieszyńskich*, wychodzących tu w Cieszynie od 1 grudnia 1894, zakładają czytelnie, nadsyłają do nich furami książek i pism ludowych, tworzą kółka rolnicze, besedy itp., wogóle tak się tu u nas Czesi nadymają, jak gdyby tu od wieków byli panami. Pierwszą lekcję po plecach dał im Dr. Jan Bystron, prof. w Krakowie, w licznych artykułach *Nowej Reformy*. Ja tu tylko kilka słów powiem. Granica sporna tylko przez języko-

znawców może być oznaczona i wytknięta. Jeżeliby granica między narzeczem czeskim a polskim wytknięta została na stronie śląskiej (co jednak nastąpić nie może, bo język polski sięga jeszcze aż poza Ostrawicę), tedy trzeba się starać, aby skrajki czyli okrajki uznane za morawskie odłączone zostały pod każdym względem od Śląska, a przyłączone zostały do morawskich sądów powiatowych w Mistku i w Morawskiej Ostrawie. Gminy odłączone będą mieć daleko bliżej do tych sądów, jak obecnie do Frysztatu lub Bogumina. A z tem odłączeniem pozbędziemy się pomału czeskiej inteligencji, która cały nasz Śląsk zalega. Obecnie wszyscy radcy sądu obwodowego z podrzędniemi siłami są Czesi, urząd podatkowy czeski, sąd powiatowy czeski, poczta czeska, i w starostwie są Czesi, księża i nauczyciele po większą część Czesi. Dodajmy do tego jeszcze licznych wyższych i niższych urzędników górniczych w Karwinej, Dąbrowej, Orłowej itp., którzy wszyscy z Czech przyszli do nas, a będziemy mieli cały kontyngent Czechów — czeskiej inteligencji, ale bez ludności wiejskiej czeskiej, którą muszą dopiero tworzyć, co też już gwałtem czynią, przemieniając szkoły polskie na szkoły czeskie. Tych Czechów nasyłają głównie do Śląska: sąd wyższy krajowy w Bernie, dyrekcja poczt w Bernie, seminarjum w Ołomuńcu, a gdy się ich człowiek zapyta, gdzie język polski? odpowiadają, że tu są Czesi i Polacy i Niemcy, a nikt nie powinien umieć trzech języków. Po odłączeniu skrawka czeskiego, jeżeli by takowy musiał się zrobić, od Śląska i przyłączeniu go do Morawy, przestałby zupełnie obowiązek dla urzędników wogóle dla całej inteligencji posiadania języka czeskiego w urzędowaniu, i Polacy mogliby ze skutkiem wystąpić przeciwko nadsyłaniu nam Czechów, i żądać polskich urzędników dla polskiego Śląska. Gdyby zaś skrawek od Śląska nie został odłączony, to nie będzie między nami miru i spokoju, bo Czesi będą poza skrawkiem jedną wioskę za drugą czeszczyc, narzucając, jak to się teraz dzieje, w szkole czeski język wykładowy; wszyscy urzędnicy Czesi pozostają i podwoją się, a nam pozostaje tylko chłop, który z latami też nachramować zacznie, aż się pomału zczeszczy. Czesi są nam Polakom na Śląsku daleko niebezpieczniejsi jak Niemcy. Przy tem

wszystkiem trzeba się najpierw o to starać, aby jak dotąd Ostrawica była granicą między Morawą a Śląskiem i abyśmy mogli śpiewać: Opawsko jest wasze, a Cieszyńsko nasze, Nie dmuchajcie nam z Opawy do cieszyńskiej kasze! Z powodu niniejszego sporu słyszałem z różnych stron przysłowie, które ma być u nas rozpowszechnione: „Za każdym Czechem, stoi czert z miechem“.

JAKOBY SIŁY NASZE POMNOŻYĆ. Nietylko u nas, ale i w Galicji jest dosyć utartem zdaniem, że trzeba zachęcać inteligencję polską, aby się na Śląsku osiedlała lub o posady ubiegała. Nie ganię tego zdania, ale też od niego nie wiele oczekuję. Ileż to już, o ile ja pamiętam, przeszło polonji przez Śląsk, a gdzież są ci Polacy, co tu krótszy lub dłuższy czas byli i cóż u nas po sobie pozostawili? Wszyscy przychodzą do nas, aby znaleźć chleb, a większa część z nich aby tu się zбоżycić, jak gdyby Śląsk był Kalifornją. Tegoby nie można brać nikomu za złe, ale to jest nagany godnem, że pracować nie chcą, i nie umieją grosza oszczędzić. Zarobiony pieniądz wyrzucają lekkomyślnie, potem zaciągają długi a na ostatku znikają, pozostawiając po sobie złą reputację. Większa część ich, mianowicie urzędnicy państwowi i kameralni, mają się za Niemców i ugniatają nas Polaków. U nas jest znaczna liczba Polaków z Galicji, ale czy się trzymają kupy, czy należą do naszych narodowych towarzystw? A mogliby znacznie wesprzeć nasze prace narodowe i inteligencją swoją i stanowiskiem, które zajmują.

My musimy stanąć na własnych nogach i siły nasze pomnożyć naszymi ludźmi, musimy się starać o własną inteligencję, dopomagając młodzieży naszej, aby mogła wyższe szkoły ukończyć i aby u nas chleb znaleźć mogła. Na towarzystwo naukowej pomocy nie można w tym względzie rachować, bo tam mianowicie teraz zdają się przeważać wszystkie inne względy, ale nie narodowe. Otóż musimy młodzież naszą do Krakowa na uniwersytet kierować i postarać się, aby tam znalazła stałe wsparcie. W Krakowie było za moich czasów dla ubogich akademików kilka burs, w których dano im pomieszkanie, opał, oświetlenie i usługę za darmo. Bursy te pewnie będą jeszcze istnieć. Otóż gdybyśmy mogli jedną taką bursę

dla naszej młodzieży uzyskać, to by było dla naszej młodzieży wielkiem wsparciem i dobrodziejstwem i toby ją bardzo zachęciło udawać się do Krakowa. Już dawno trapię się z tą myślą, ale jej jeszcze nie poruszyłem i nie uczyniłem potrzebnych kroków, aby ją w życie wprowadzić, co zdaje się nie powinno przedstawiać trudności, boć przecież bursy są dla akademików. Naturalnie musiano by młodzież zobowiązać, że po skończonych studjach osiedzi na Śląsku i tu siedzieć będzie całe życie i pracować dla ludu, i że sobie obierze zawód (medycynę, adwokaturę itd.), gdzieby była niezawisłą co do miejsca pobytu swego. Nad tą młodzieżą trzeba by było mieć nadzór w tym kierunku, aby ją utwierdzać i wzmacniać w myśli o Śląsku i podniesienia jego ludności do świadomości narodowej, bo inaczej przytułek w bursie nie przyniósłby większej korzyści naszej młodzieży, jak jej daje towarzystwo naukowej pomocy.

PRZYSŁOWIA ŚLĄSKIE. *Przysłowia ludu polskiego na Śląsku w Księstwie Cieszyńskim* wydałem w r. 1885 w Cieszynie, drukiem Feitzingera. Do tych przysłów wyszedł I dodatek i był drukowany w *Wiśle* w r. 1888, zawiera przysłów od 940 do 1150. Drugi dodatek do przysłów wydrukowany został na końcu roku 1894 w *Wiśle* i zawiera przysłów 162. Liczba wszystkich dotąd zebranych przysłów w Księstwie Cieszyńskim wynosi 1312. Na tak mały kraj zaiste wielka liczba przysłów, a wszystkie swojskie, tu słyszane, tu zebrane. Odbitki z II dodatku nie posiadam jeszcze, a dlatego uznałem za stosowne wzmiankę tu zrobić o dodatkach.

MISKA NARODOWA. Wynałazcą miski narodowej był Stalmach. Na nią składaliśmy prenumeratę za *Gwiazdkę* i wspieraliśmy ją, jak kto mógł, a Stalmach krzyczał w *Gwiazdce* i rozpisywał listy: *Gwiazdka* upada, przyszlizcie mi artykuły, przyszlizcie liczną prenumeratę, przyszlizcie gotówkę. I przysłało kto co chciał i mógł, a gdy Stalmach był z miską gotowy, na nowo burzył i szturmował.* Na-

* Patrz *Wisła*, pismo zbiorowe, Kraków 1873, str. XVIII. Książka ta wydana za staraniem Krakowianów, mianowicie Żółtowskiego, przyniosła z jej sprzedaży Stalmachowi czyli misce narodowej 4 do 5000 zlr.

turalnie, że na te ofiary, ponoszone niby dla dobra publicznego, nie było żadnej kontroli. Ale Stalmach poszedł o krok dalej i głosił na różnych miejscach w *Gwiazdce*, że klika (do której on wszystkich narodowców prócz siebie zaliczał) nic nie robi, jeno przy misce narodowej zasiada, zapomniał atoli powiedzieć, kto jest kucharzem i kto daje potrawy do tej miski. (Patrz *Gwiazdka Ciesz.* 1884, str. 212, 220, 248, 264...). Była to haniebna potwarz, a podobne potwarze powtarzały się co chwila u Stalmacha. Przecież on sam był kasjerem towarzystw macierzy i naukowej pomocy i on sam a nikt inny nie odbierał nadchodzących pieniędzy. Dla innych towarzystw naszych nie nadchodziły żadne ofiary lub składki, a jeżeli kto z nas działał lub napisał co dla Ślązaków, to mu praca jego nie przyniosła żadnych materialnych korzyści, a w razie, gdyby był mógł mieć jaki zysk, to się go zrzekł na jaki dobry cel. Nie od rzeczy będzie nadmienić tu, jakie ja miałem zyski z moich prac. W roku 1848 napisałem broszurkę o wypadkach wiedeńskich, za którą mi nakładca księgarz Wäscher nic nie dał, tylko kilka egzemplarzy, które kolegom rozdałem. Za kilkomiesięczne redagowanie gazety *Tygodnik Cieszyński* nic nie dostałem, bo nikt mię się nie spytał, czy żądam co za te prace, a ja też do nikogo się nie zgłaszałem, chociaż jako ubogi student, utrzymujący się z lekcyj, byłbym parę reńskich bardzo potrzebował. Za *Pieśni ludu śląskiego z okolic Cieszyna* otrzymałem z Akademji umiejętności w Krakowie 63 reńskich, za które kazałem sporządzić 100 odbitek tych pieśni. Z tych stu i z 50 gratisowych egzemplarzy płynął zaraz czysty dochód, który obracałem na pokrycie kosztów drukarskich moich podręczników. *Podręcznik prawniczy* i *Podręcznik dla gmin*, a nareszcie *Przysłowia* sprzedałem po 10 latach, tj. w roku 1894 Feitzingerowi w Cieszynie, za porozumieniem się z wydziałem Czytelni i Domu narodowego, a uzyskaną z tej sprzedaży nadwyżkę nad koszta druku w ilości 250 reńskich, która stanowiła cały czysty dochód, rozdzieliłem między Dom narodowy i Czytelnię ludową po 125 reń. w dopełnieniu zobowiązania, włożonego na siebie w przedmowach do tych trzech publikacyj. Za *Słownik dialektologiczny* otrzymałem z Akademji umiejętności w Krakowie jako nagrodę kon-

kursową w roku 1889 rubli 337, którą to kwotę obróciłem na umorzenie długu Czytelni ludowej w Cieszynie. Innych dochodów nie miałem, a Stalmach mi także za różne, dla *Gwiazdki* podjęte prace nic nie dał. Nie siedziałem więc przy misce narodowej, owszem darowałem na cele potrzebne wszystko, co poza obrębem zwykłego kancelaryjnego zajęcia zarobiłem. A cóż Stalmach za darmo zrobił?

JAKO MI TEŻ DZIĘKOWALI. Zostawszy w roku 1882 wybrany do wydziału Czytelni, postanowiłem pozostać na tem miejscu przynajmniej tak długo, aż Czytelnia z upadku podniesioną zostanie. Bystre to było przedsięwzięcie, ale spełnione zostało. Dług Czytelni 3000 reń. zapłacono pomału, liczba członków znacznie się podniosła, sprawiono nowy fortepian, nowy bilard, sprowadzono bibliotekę Bagińskiego z Odessy, podniesiono fundusz żelazny z 1200 reń. do 4000 zhr., ograniczono wydatki i podniesiono dochody, tak że równowaga była zupełna. Zaczęto też po jubileuszu Czytelni wydawać regularnie roczne sprawozdania, aby obznajamiać bliższe i dalsze społeczeństwo z każdorazowym stanem Czytelni. — Taki zarząd Czytelni atoli nie podobał się niektórym członkom Czytelni i wydziału i zaczęto przeciwko mnie agitować; poznałem to z książki życzeń i bezpodstawnych w niej pisanin i z corocznych wyborów nowego wydziału, przy których coraz to mniejsza liczba głosów na mnie padała. Zdaje mi się, że niezadowolone ze mną miało miejsce w tem, że nie chciałem zezwolić, aby bale i zabawy tańczące w Czytelni pokrywane były z dochodów Czytelni lub z funduszu żelaznego. Wiem dobrze, że Ślązacy przeciwko mnie nie podnosili rokoszu, tylko Galicjanie, którzy szukając chleba, przybyli do nas na dłuższy lub krótszy czas. Na prośbę walnego zgromadzenia pozostałem jeszcze we wydziale, dopóki nowy statut Czytelni nie został ostatecznie zredagowany i zatwierdzony i dopóki na zasadzie nowego statutu nowy wydział, składający się zamiast z 5 obecnie z 10 członków, nie został wybrany. Ponieważ ciągle przede mną dołki kopano, a nawet bibliotekę z I piętra na II przeniesiono, podczas gdy byłem w kąpielach, bez mojej wiadomości i mego głosu, a gdy członkowie nie przychodzili na posiedzenia, i wogóle bardzo niedbałymi się okazywali, gdy jeden z członków

Czytelnia (przybysz) napisał do książki życzebnej, że ja Czytelnię zgubiłem i że mię nie należy wybierać na prezesa, zrzekłem się na walnym zebraniu 1891 r. dalszego przewodniczenia w Czytelni. Przez cały czas mojego przewodnictwa, które 9 czy 10 lat trwało, ani razu nie podziękowano wydziałowi na walnych zgromadzeniach za gorliwe sprawowanie czynności, chociaż wszystkie sprawozdania przyjęto z zadowoleniem do wiadomości. Ani na walnym zebraniu, na którym mój zarząd złożyłem, nie odezwał się żaden głos uznania, a przecież tyle czasu i pracy poświęciłem Czytelni a nadto grosza gotówką około 800 zlr. na spłacenie długów starych i na inne potrzeby. Aleć nowy wydział zdobył się przecież na okazanie swej wdzięczności i mianował mię na pierwszym swoim posiedzeniu członkiem wieczystym Czytelni i wręczył mi dyplom, datowany w dniu 5 maja 1891 przez deputację, atoli w następnym rocznym sprawozdaniu nie umieszczono mię między członkami wieczystymi, owszem wyrzucono mię ze spisu członków fundatorów, płacących rocznie 10 reń. do Czytelni i umieszczono mię w spisie członków honorowych. Gdzie i czy mię jeszcze później umieszczą, nie da się obrachować, bo się nie odbywają walne zebrania Czytelni, bo nie wychodzą roczne sprawozdania, jak dotąd drukowane, a nawet cały rok nie schodzi się wydział na posiedzenia, a więc niema ani protokołów z posiedzeń wydziałowych. Przez lekkomyślność utraciła Czytelnia wszystkich członków, zebranych przez nadinspektora kolejowego Karola Monne w Przemyślu i jak slysze, niedobór pokrywany jest przez fundusz żelazny, co się statutowi sprzeciwia. Dawna gospodarka, bo Filasiewicz i Sikora stoją na czele wydziału Czytelni!

* * *

Jestem na końcu opisu mego życia. Chciałem być we wszystkim krótki i zwięzły, a przecież praca okazała się za obszerna. Nie pisałem pamiętników przeznaczonych dla publiczności, bo materiał nie jest tak ważny i zajmujący, i niniejszy życiorys przeznaczony jest tylko dla moich dzieci, aby widziały, jak trudne i mozolne jest to życie, i jak trudno dorobić się chleba. Nad tą pracą siedziałem zwykle

w kąpielach, bo w domu na to nie było czasu, nie miałem wtedy pod ręką potrzebnych materiałów, co mi pracę utrudniało. Wszystko co napisałem, starałem się poprzeć dowodami, a to z tej przyczyny, ponieważ zgoła na każdym miejscu musiałem zaprzeczyć twierdzeniom lub przechwałkom Stalmacha — że on od *a* aż do *z* na Śląsku wszystko zrobił, a my jemu tylko przeszkadzali. Co nie mogłem udowodnić, opuściłem raczej z mego opisu. Dowody na moje twierdzenie znajdują się w *Silezjace*.

Jeżeli posłów, które śmierć i tego roku do mnie zaczęła wysyłać, potrafię udobruchać, tedy za niespełna trzy miesiące będę miał lat skończonych siedemdziesiąt.

Dr. Andrzej Cinciała.

DODATKI

PIERWSI SZERMIERZE NA KRESACH ŚLĄSKICH.

Było nas pięciu Ślązaków. Wszyscy kamizelkorze, wszyscy synowie chłopscy, wszyscy ewangelicy, gimnazjaliści cieszyńscy, w jednym wieku i w jednej klasie, wszyscy *kostgängerzy*, wszyscy Niemcy, chociaż rodzice nasi ani słówka po niemiecku nie umieli.

Objasnić muszę, że kamizolkarzami nazywano gimnazjastów, którzy zamiast surdutów nosili kamizole lub szpencery, tj. kurtki, sięgające tylko do pasa, tak jak je chłopcy na Śląsku noszą, wogóle, którzy się zupełnie tak ubierali, jak chłopcy wieśniacy u nas. — *Kostgängerami* zaś nazywano tych uczni gimnazjalnych, którzy się sami stołowali, a byli to prawie wyłącznie Ślązacy; resztę zaś uczni, która mieszkała i stołowała się w zakładzie alumnejskim, nazywano alumnistami; ci pochodzili zwykle z Czech, po części także i z innych krajów austriackich.

Tak wyglądaliśmy w roku 1842.

1. KOTULA ANDRZEJ, pomiędzy nami najstarszy wiekiem i największy wzrostem, pochodził z Grodziszcz, wioski o milę drogi od Cieszyna położonej, gdzie ojciec jego miał posiadłość chałupniczą. Był to chłopak zdatny, pilny i dobrze się sprawował. Po ukończeniu nauk w gimnazjum cieszyńskim udał się do Preszburga (Brzetysławia) na filozofję, a po dwóch latach na wydział prawniczy do Wiednia, przybył w roku 1848 do Cieszyna, gdzie był krótki czas auskulantem, potem udał się na Węgry jako urzędnik ksiąg gruntowych, stamtąd przeniósł się do Frysztatu jako notariusz, a w roku 1867 przeniósł się na opróżnione miejsce notariusza w Cieszynie, gdzie aż do końca życia swego 1891 r. urząd ten sprawował. Całe życie swoje trudził się z wielkiem zamiłowaniem przyrodoznaw-

stwem i był raczej na uczonego lub profesora odpowiednim. Posiadał on liczne zbiory chrabąszczy i motyli, roślin i grzybów, które sam zbierał i porządkował. Nie mógł atoli zebrać się do napisania swoich badań i spostrzeżeń, chociaż był do tego wielokrotnie zachęcany. Czas, który mu poza zatrudnieniami przyrodzawczemi i urzędowemi pozostawał, poświęcał chętnie sprawom narodowym, zasilał Tygodnik Cieszyński (Gwiazdkę) artykułami, pracował w towarzystwach narodowych, zajmował się sprawami kościelnymi i szkolnymi, i był na każde zawołanie gotów do pracy narodowej. I wiersz nie był mu obcym, lubił i korespondencję w tej formie, i miał pozostawić wiązanek wierszy po sobie. Do ostatnich prac jego w tym kierunku należy wiersz: Placzą aniele, odczytany na 25-letnim jubileuszu Czytelni ludowej w Cieszynie i wydrukowany w wydanym *Pamiętniku jubileuszowym*.

Kotula poszedł Niemcem do Preszburga, ale tam przetań sobie oczy między Słowakami i poznał że ze swoją niemieckością znajduje się na błędnej drodze i stał się tem, czem właściwie z domu był — Polakiem.

2. BUJAK JAN pochodził z Wisł (z Wisły). Jego ojciec miał tamże siedlaczy grunt, który chociaż w górach, miał zawsze znaczną wartość. Był to chłopak zdolny i sprytny, dobrze się uczył.

Jak zwykle nasi chłopcy poszedł i on na jedno z liceów słowackich, zdaje mi się do Preszburga, a po ukończeniu filozofji tamże, do Lwowa na wydział prawniczy i obrał sobie po ukończeniu uniwersytetu zawód skarbowy, dorobiwszy się z czasem rangi nadradcy skarbowego i tytułu radcy dworu. Na Węgrzech przejął się duchem słowiańskim, i poznał, że kierunek, jaki mu dało gimnazjum cieszyńskie, był fałszywy. Szkoda, że nie osiadł w Cieszynie, bo by tu był pracował gorliwie na polu narodowem. Ale i ze Lwowa nie zapominał o Śląsku, chociaż ubolewał, że Stalmach, jako redaktor Gwiazdki Cieszyńskiej, dał jej kierunek czysto katolicki i jezuityczny, że nie oświeca i nie godzi ludzi, ale je jątrzy. W liście pisanym do mnie ze Lwowa dnia 10 sierpnia 1857 charakteryzuje Stalmacha, opisuje jego działalność ujemną i dodaje w końcu listu, że Stalmacha będą za jego katolicyzm kiedyś kanonizować.

To pisał Bujak przed 40 laty blisko. (Wyjątek z listu patrz str. 186; list zaś znajduje się w *Sileszjace*). Umarł 19 lipca 1886 we Lwowie. O ile wiem, napisał *kolędę wielkanocną*, która drukowaną była 1871 r. w Krakowie i zebrał materiały do historii Socynianów w Polsce, które atoli zaginęły.

Chociaż Jan Bujak nie prowadził wraz z nami walki na kresach śląskich, to przecież wrachowałem go w powyższą liczbę, bo był zawsze nam przychylny, bo należał do pierwszych, którzy się przebudzili i otrząśli z siebie jarzmo niemieckie.

3. STALMACH PAWEŁ, syn wyrobnika w Bażanowicach o milę drogi od Cieszyna. Ojciec jego przeniósł się później do Cieszyna i żył tak jako i jego żona z dziennej pracy. Był to chłopak pilny i zdolny, ale stronił od kolegów, za to też nie był bardzo lubiany. Po ukończonych naukach w gimnazjum cieszyńskim udał się do Węgier na filozofję, a potem do Wiednia na teologję, a po ukończonych naukach powrócił do Cieszyna w roku 1848. Zajął się następnie redagowaniem wychodzącego tu od maja 1848 r. pisma ludowego Tygodnik Cieszyński. Życiorys jego wyszedł w piśmie zbiorowem *Wisła* i jest także zawarty w nekrologach *Gazety Narodowej* i *Gwiazdki Cieszyńskiej*. Wogóle *Gwiazdka Cieszyńska* daje nam dokładny rys jego czynności a dlatego nie będę tu rozwodził się bliżej o jego pracach i zasługach, atoli nadmienić muszę, że jest nieprawdą, iż on wydał jakikolwiek kancjonał, i że zebrał z wielkim trudem i wydał pieśni ludu śląskiego, jak to oba wymienione nekrologi pisały.

4. HECZKO JERZY, syn chałupnika z Łyżbic, wioski przeszło milę od Cieszyna, zdatny, pilny i dobrze się sprawujący. Po ukończeniu nauk gimnazjalnych w Cieszynie poszedł na nauczyciela ludowego do Wrbki na Morawie, lecz po kilku latach poszedł znów do szkół a skończywszy teologję w Wiedniu, był dłuższy czas pastorem w Gawłowie w Galicji, skąd przeniósł się do Ligotki, gdzie dotąd jest w urzędzie. Napisał i wydał on: *Kazania* pod nazwą *Pierwiastki*, modlitewnik, katechizmus, broszurkę *Katolicytwa i Ewangielictwa* i śpiewnik kościelny, który zamiast Trzanowskiego używany jest przez wszystkie polskie zbory ewangeliczne na Śląsku z wyjątkiem Nawsia i Wisły.

Wielkiego udziału w krzwieniu narodowości polskiej na Śląsku nie brał Jerzy Heczko, bo bawił dłuższy czas poza Śląskiem, a dwumilowa odległość jego terażniejszego pobytu od Cieszyna była przeszkodą, iż nie mógł osobiście brać udziału w sprawach narodowych. Szkoda wielka, że sobie wziął za żonę Niemkę z Bielska i że język niemiecki jest u niego językiem domowym, a ten odciąga mu wiele ciepła, które kierować potrzebaby było ku sprawom obcho-
dzącym bliżej nasz lud.

5. CINCIAŁA ANDRZEJ (ja sam), syn chałupnika z Górnych Kozakowic, wioski o półtora mili od Cieszyna odległej — przerwałem w roku 1842 studja gimnazjalne, udając się za chlebem. Byłem w praktyce księgarskiej, potem gospodarskiej a nareszcie pisarskiej, będąc pisarzem w kancelarji Dra Kluckiego, adwokata a później burmistrza w Cieszynie. Tu przejrzałem na oczy, porzuciłem niemieckość i stałem się Polakiem. W roku 1846 wstąpiłem napowrót do gimnazjum cieszyńskiego a nauki filozoficzne i prawnicze kończyłem w Krakowie. W 40-tym dopiero roku dochrapałem się posady notarialnej i byłem 1½ roku w Szildbergu na Morawie, potem w Frysztacie na Śląsku a jestem obecnie od roku 1881 notariuszem w Cieszynie, dokąd się z wieloma trudnościami i z wielką protekcją dostałem. Ponieważ napisałem mój życiorys, dlatego tu o niczem więcej nie wspominam.

Przed nami wszystkimi był tu w Cieszynie DR. LUDWIK KLUCKI — rodem z Morawy — jako adwokat od roku około 1830. Był on gorliwym Słowianinem, przemawiał za równymi prawami Polaków z Niemcami i potępiał wszelki ucisk narodowościowy i pragnął w tym kierunku lud miejski niemczyzną zaślepiony objaśnić, a lud wiejski obudzić, aby się praw swoich domagał.

Chociaż nie był biegły w języku polskim, to przecież postępowaniem swoim i wpływem, jaki w Cieszynie posiadał, przełamał pierwsze trudności i utarował nam wszystkim drogę do dalszej pracy w tym kierunku, tak, że mieliśmy u niego zawsze mocny punkt oparcia. Jemu należy się prawdziwa wdzięczność nasza za poświęcenie się sprawie narodowej, my zaś powyżej wymienieni spełni-

liśmy tylko obowiązek, żeśmy pracowali nad ludem. — Inni pracownicy narodowi, których liczba niestety bardzo pomału wzrasta, są znacznie młodszy od pierwszych pięciu, chociaż i oni się także już starzeją.

Taki był początek przebudzenia się narodowego w Księstwie Cieszyńskim na Śląsku. Stalmach, Kotula i ja, pracowaliśmy tu w Cieszynie całe życie (ostatni dwaj z przerwami powyżej wymienionymi) nad rozbudzeniem ludu polskiego na Śląsku.

I cóż tu odpowiedzieć Niemcom na ich głupie gadaniny, że Śląsk został przez emisariuszy galicyjskich spolszczony, a że ci teraz usiłują jeszcze spolszczyć nawskróś niemieckie miasta śląskie, że Śląsk znów musi stać się niemieckim, a jeżeli nam się tu między Niemcami nie podoba, żebyśmy sobie dalej poszli (niemiecka prasa cieszyńska). A cóż odpowiedzieć Czechom na ich próżne gadania, żeśmy spolszczyli Śląsk, i że on musi znów się zczeszczyc i powrócić do korony czeskiej (czeska prasa cieszyńska).

Obaj są w wielkim błędzie. Trzeba się nam atoli na obie strony bronić, bo niemczyzna i czeszczyna zaczęły przybierać wielkie rozmiary.

Szkic niniejszy napisałem z tego powodu, aby późniejsze generacje wiedziały, jak się rozpoczął ruch narodowy na Śląsku po sześciowiekowym odłączeniu jego od Polski i kto miał udział w tym ruchu, dalej, że Śląska naszego nie potrzeba było nikomu polonizować, bo był i pozostał przez całych sześć wieków polski, i że sam Cieszyn — o którym Niemcy mówią, że był zawsze *urdeutsch* — aż do roku 1830 był nawskróś polski, co sami pisarze niemieccy stwierdzają. (Patrz *Erlebnisse eines Landpfarrers v. Schneider ad Silesiaca*).

Cieszyn, 15 kwietnia 1896.

EMISARJUSZE.

Od jakiegoś czasu pojawiają się w rozmaitych czasopismach polskich artykuły z naszego Śląska, które widocznie usiłują zniszczyć to, czegośmy się tu przez pół wieku własną pracą dorobili i zozydzić Śląsk w opinii publicznej. Autorami tych artykułów są KS. STOJAŁOWSKI, znany agitator galicyjski, który po różnych niepowodzeniach tamże przesiedlił się do Cieszyna i tu wydaje różne pismka dla ludu a co chwila siedzi w areszcie za różne przestępstwa, raz tu, raz tam; przeszłego (1895 r.) roku odsiadywał karę aresztu przez siedem miesięcy w więzieniu cieszyńskim. Napisał on dłuższą rozprawę pod tytułem *Ze spraw śląskich* pod pseudonimem „Warszawiak“ i umieścił takową w *Gazecie Narodowej*, wychodzącej we Lwowie. Artykuł ten wyszedł w osobnej odbitce we Lwowie 1895, stronic aż 179.

Jakiś NAKĘSKI, nazywający się literatem, a czasem i doktorem, który się tu przywłókł z Warszawy, zagnieździł się w katolickiej farze w Cieszynie i ma pomagać w redakcji *Gwiazdki Cieszyńskiej*. Napisał on szereg artykułów i umieścił takowe w *Kurjerze Przemyskim* pod tytułem *Stańczyki w Księstwie Cieszyńskim* z podpisem Lud...wika. Podobne artykuły wyszły także w *Kurjerze Lwowskim* zapewne z tego samego pióra. Dalej w londyńskim *Przedświcie* pod tyt. *Ze Śląska austriackiego* kilka obszernych korespondencyj. Nareszcie w *Dzienniku Porannym* resp. krakowskim szereg artykułów pod tyt. *Niezdrowe stosunki w towarzystwach narodowych na Śląsku* z podpisem Doktor, tegoż samego pióra.

Otóż można powiedzieć „zebrały się dwie Marysie“, lub też: „jeden za ośmnaście a drugi za dwacet beze

dwóch“. Oba zgadzają się w tem, że wszystkie nasze towarzystwa na Śląsku nic nie warte, że nic nie pracują, że tylko Stalmach pracował, a wszyscy inni mu przeszkadzali, że nam tu nie chodzi o postęp, ale tylko o pieniądze, a dlatego ciągle zebrzemy i ściągamy na Śląsk grosz, któryby tam, skąd pochodzi, daleko lepiej i korzystniej mógł być użytym. Wszystko co na Śląsku zrobiono, można było bez pieniędzy zrobić, a tu ciągle krzyczą: dawajcie, bo zginiemy. Tym sposobem weszło do Śląska najmniej 300.000 złr., za które nic nie zrobiono. Obydwa misjonarze trzymają się wyroków *Gwiazdki Cieszyńskiej*, przekręcają wszystko i kłamią tak, jak Stalmach przekręcał i kłamał. Obydwa misjonarze przyszli do nas, ani się tu niezagrziali a już znają dokładnie cały rozwój narodowy od lat 50 na Śląsku. Całą mądrość swoją wzięli z *Gwiazdki* i „niedokończonych pamiętników“ Stalmacha, które im na farze (katolickiej) przez ks. Londzina, jako posiadacza wszystkich pism po Stalmachu, dostarczone zostały. Obydwa misjonarze zgadzają się w tem, że 1-o wszystkie towarzystwa narodowe na Śląsku trzeba zniszczyć, 2-o zabrać im ich majątki i obrócić głównie a) na wydawanie pisma odpowiedniego dla Śląska — bo pisma tu istniejące nie wiele wartają — i b) na ochronki pod zarządem tercjarek. Ta druga sprawa przybrała już kształty namacalne, bo ks. Stojałowski uczynił na posiedzeniu walnego zgromadzenia Macierzy śląskiej dnia 14 marca 1896 między innymi te wnioski: I. „aby wydział Macierzy oddał towarzystwu ochronki i bursy polskiej w Cieszynie wszystkie fundusze, które na te cele do wydziału wpłynęły“; II. aby wydział Macierzy udzielił towarzystwu ochronki i bursy polskiej pożyczki 5% do wysokości 50.000 złr. (sic, może tylko 5.000 złr.) na zakupno domu. Zaczem po przeprowadzonej dyskusji uchwalono na tem posiedzeniu: „Walne zgromadzenie przekazuje wnioski ks. Stojałowskiego wydziałowi z poleceniem, aby po zbadaniu stanu ochronki i jej rachunków najbliższemu walnemu zgromadzeniu przedłożył odpowiednie wnioski“.

Pierwsza zaś sprawa, którą patronizuje młodszy z misjonarzy Nakęski, nie była jeszcze na żadnem zebraniu, bo grunt nie jest jeszcze dostatecznie przygotowany. Dom

narodowy ma obecnie 20.000 złr., a to już jest pokaźna suma, aby z niej żyć, czyli założyć nowe pismo na Śląsku i być jego redaktorem. Nakęski (Doktór!) w swoim artykule *Niezdrowe stosunki w towarzystwach narodowych na Śląsku*, umieszczonym w *Dzienniku Krakowskim* w marcu 1896 r. między innymi tak o Domu narodowym w Cieszynie przemawia: „Idea Domu narodowego w Ks. Cieszyńskim jest zgoła bezużyteczną i bezcelową, absorbowanie zaś uwagi i ofiarności społeczeństwa na cel tak odległy i zbyt-kowy jest wprost zbrodnią nie do darowania. Budowanie „Domów narodowych“ tutaj, gdzie praca ludowa od lat 40 stoi ciągle na jednym i tym samym poziomie, gdzie nie ma prawdziwej pracy narodowej... gdzie kraj cały a zwłaszcza miasto toną w germanizacji, a okolice węglarskie nadto ulegają czechizacji — jest karygodnym szalbierstwem lub co najmniej — bzdurstwem. Gdybyż jeszcze ci panowie (wydział) na serjo myśleli o budowie takiego „Domu“. Ale im najwidoczniej chodzi o same pieniądze, o reklamę i sławę wielkich patriotów, tanim kosztem nabytą“. „Spółeczeństwo nie powinno ani chwili dłużej cierpieć podobnego lekceważenia opinii publicznej, takiego zaprzepa-szczenia sprawy narodowej przez kilku szalbierzy, wyzyskujących dobrą wiarę ogółu i ofiarność innych dzielnic Polski dla swoich osobistych lub ciasno koteryjnych względów. Obecny wydział powinien zwrócić ludowi śląskiemu zebrane fundusze, które użyte być winny na cele o wiele żywniejsze, np. utworzenie poważnej prasy ludowej, założenie księgarni polskiej w Cieszynie, ochrony polskiej, wydawnictwa popularne itp.“.

Otóż jasno widzieć, o co tym panom chodzi. Rozbić towarzystwa narodowe na Śląsku, zabrać ich majątek a obrócić go na własną korzyść a *sub rosa* na redagowanie jakiegoś pisma i na sprowadzanie tercjarek dla ks. Stojałowskiego. Tak, misjonarzowi z Warszawy chce się redakcji, bo nie ma z czego żyć, niema co robić, a ponieważ majątek Domu narodowego, chociaż już znaczny, bo 20.000 złr., mógłby później nie wystarczyć, tedy trzeba zabrać i Czytelnii ludowej fundusz żelazny około 4.000 złr. a potem towarzystwu naukowej pomocy fundusz przeszło 10.000 złr. Przyszły redaktor wzywał wydział Domu narodowego, aby

zebrane fundusze zwrócił ludowi śląskiemu — chociaż sam przyznaje, że Ślązacy nie wiele jeszcze dali i ofiarowali na ten cel, zaś pierwszy misjonarz ks. Stojałowski pisze i mówi, że tu nie potrzeba na Śląsk pieniędzy ściągać, że wiele można i bez pieniędzy zrobić (tylko on potrzebuje pieniędzy na ochronki i zakupno domu). Oba dążą do jednego: podbić nogi towarzystwom, zebrać ich majątek i hulać sobie.

Nikczemne artykuły tych dwóch bazgraczy przyniosły nam już niejedną moralną szkodę i uszczerbek w dochodach. A tak np. nadinżynier Monné z Przemysła, który Domowi narodowemu i Czytelni zawsze był życzliwy i przysyłał co roku znaczną sumę (około 100 reń.) na pomnożenie funduszów i zawsze z wielką gorliwością jednał dla nas członków i dawców — po przeczytaniu artykułu *Stańczyki w Ks. Cieszyńskim* w *Kurjerze Przemyskim*, napisał do mnie list z daty 29 maja 1895, że jest przy pracy swojej przez powyższe artykuły ubezwładniony, a po części skompromitowany, i że jest przymuszony zrzec się zawodu i tytułu delegata i dodaje, że gad rozkładu i trucizna niszczenia zupełnie jak w Krakowie się łęgnie. Również Dr. Dyboski, dotychczasowy sekretarz Towarzystwa, zrzekł się urzędu swego, gdyż jak pisze zmuszają go do tego krytyki działalności i sprawozdań naszych.

Że Dom narodowy w Cieszynie jest niezbędną koniecznością, niejednokrotnieśmy wykazali. Ale pies szczeka a wiatr niesie. Kto się strachów boi, niedaleko zajdzie.

Dalej chłopcy, dalej żywo,
Wszak nadejdzie kiedyś żniwo.

Cieszyn, 8 maja 1896.

PRZEPOWIEDNIA ZACZYNA SIĘ SPRAWDZAC.

Zdawało się, że po śmierci Stalmacha ujemna jego czynność wstąpi z nim do grobu, i że się skończą wszystkie jego szczwania na nasze towarzystwa narodowe, wszystkie klątwy na nas rzucone, wszystkie oszczerstwa i przekręcania faktów, któremi nam, ale też i sobie wielce zaszkodził. Możliwy mu przepuścić jego przechwałki, że sam wszystko na Śląsku zdziałał, że założył *Tygodnik Cieszyński*, założył Czytelnię ludową, wogóle że wszystko, co się od lat 50 na Śląsku stało, tylko za jego inicjatywę i z jego pieniężnemi ofiarami się stało. Chociaż to nie zgadza się zupełnie z prawdą, to przecież tego fałszu nie można mu przepuścić i przebaczyć, że wszędzie i we wszystkich krokach jemu ewangelicy przeszkadzali i całe życie z nim bojowali. Chciał on przez to wszystko otoczyć się jakąś aureolą bohaterstwa i męczeństwa. Gdyby przynajmniej w *Gwiazdce Cieszyńskiej*, przez niego redagowanej, w której zapisywał swoje zasługi i swoje grzechy, był choć jeden fakt takiego prześladowania wytoczył! Ale tego nie można się w *Gwiazdce* dopatrzeć, chociaż on był mistrzem w przekręcaniu rzeczy i robienia z komara woła.

Dwa razy tylko, o ile pamiętam, przez cały czas redaktorskiej czynności Stalmacha odezwali się przeciwko niemu narodowcy na Śląsku, a też tylko imieniem Czytelni ludowej, którą to Stalmach niby założył i jako swoje dziecko pielęgnował. Pierwszy raz w roku 1865 sporządził wydział Czytelni sprostowanie artykułów, które Stalmach w *Gwiazdce* umieścił. Ale Stalmach sprostowania nie przyjął i musiano go dopiero przez prokuratorję do tego zmuszać. To sprostowanie było następująco zakończone:

„Żałować należy, że pisarz orzeczonego artykułu (tj. Stalmach) pod pokrywką udanej troskliwości i pieczy o dobro i prowadzenie Czytelni tak bezwzględny i kłamliwego sposobu pisania się chwycił, który to sposób prawdziwie nie jest sposobny zdziałać co korzystnego dla Czytelni, lecz owszem jawnie podkopuje ją i na szwank wystawia. Cieszyn, dnia 14go października 1865. Podpisano: Dr. Klucki (adwokat i burmistrz w Cieszynie), Jan Głajcar (rolnik w Sibicy), Andrzej Franta (profesor), Dr. Josef Fiszer (profesor), Jan Śliwka (nauczyciel), Jerzy Cienciała (rolnik z Mistrzowic i poseł na sejm i do rady państwa), Andrzej Tomanek“ (rolnik w Sibicy). — Patrz *Gwiazdka Cieszyńska*, str. 332, rok 1865.

Między podpisującymi było 4 katolików a 3 ewangelików, wszyscy podpisani należeli do najlepszych naszych patriotów. To sprostowanie i przymuszenie Stalmacha do umieszczenia tegoż w *Gwiazdce* nie zmiękczyło atoli Stalmacha; umieścił on w *Gwiazdce* zaraz pod sprostowaniem artykuł podobnej treści jak poprzednie, w którym mianowicie obwinił prezesa Dra Kluckiego, że „do Czytelni oprócz wydziałowych posiedzeń wcale nie przychodził, a tylko do niemieckiej czytelnicy codziennie uczęszczał“. *Gwiazdka*, r. 1865, str. 334.

Drugi raz odezwał się wydział Czytelni ludowej w Cieszynie, w którym zawsze zasiadali tak ewangelicy jak i katolicy co rok wybierani, w *Pamiętniku*, wydanym z powodu 25-letn. jubileuszu tejże Czytelni w roku 1887 pod napisem „*W obronie Czytelni*“. Odezwa ta nie zawierała zgoła nic innego, tylko same wyjątki artykułów z *Gwiazdki*, w których Stalmach na Czytelnię szkalował. Z tych wycinków miał czytelnik powziąć przekonanie, że Czytelnia wobec takich obelg puszczanych w świat nie mogła się rozwijać. Na tę odezwę napisał Stalmach odpowiedź, którą wydrukował w *Gwiazdce* i w osobnej odbitce, gdzie nazywa cały *Pamiętnik* pamfletem, zaś jego panegirzystą Nakęski znalazł, że ta odezwa zawiera same fałsze na Stalmacha pisane. Fałsze to są wprawdzie, ale je Stalmach stworzył i w *Gwiazdce* umieścił, aby podkopywać byt Czytelni, a przynajmniej aby pokazać światu, jak to on tutaj

walczyć musi. Inne towarzystwa nasze, które Stalmach również jak i Czytelnię szarpał, zaś nigdy się nie odzywały.

Czy więc można twierdzić, że ewangelicy całe życie ze Stalmachem bojewali? O takich bojach nie ma też nigdzie śladów! Stalmach ani jednego podobnego faktu na swoje twierdzenie nie przytoczył, owszem ewangelicy, pomimo różnych szkalowań na nich, czytali jego *Gwiazdkę*, a gdy ją sprzedał katolikom, a ci to pismo chcieli nazwać katolickiem, nie uczynili tego zaraz, aby nie utracić sto prenumerat ewangelickich na Śląsku.

Ten fałsz, że ewangelicy całe życie ze Stalmachem walczyli, znaleźli i po jego śmierci hodowców w osobie dwóch emisariuszów polskich: ks. Stojałowskiego z Galicji i Nakęskiego z Warszawy. Ci patryjoci odgrzewają wszystkie rzekome zasługi Stalmachowe — zupełnie według wzorów *Gwiazdki* — biją na wszystkich narodowców śląskich, na założone przez nich towarzystwa i rozwodzą się nad niewdzięcznością, której doznał Stalmach nie tylko za życia, ale i po śmierci. Tak np. pisze Nakęski w artykule *Ze Śląska*, umieszczonym dnia 24 listopada 1895 w prospekcie *Dziennika Porannego* w Krakowie: „Doczekał się nareszcie Stalmach pomnika na grobie, który mu katolicy wystawili. Ewangelicy zaś nic nie dali, ale zato im przyznać trzeba konsekwentność, bo kto za życia ciągle ze Stalmachem walczył, ten dopuściłby się grzechu i obłudy, gdyby po śmierci dawał choć grosz na uiszczenia jego zasług pomnikiem. Smutne tu są stosunki. Jeśli gdzieindziej stawiają nagrobek człowiekowi tej miary co Stalmach, odbywa się to zwykle mniej więcej uroczystość. Tymczasem tutaj może zaledwie kilka osób wie, że nagrobek taki wystawiono.“

(A gdzież są katolicy?)

„Tem się tłumaczy, dlaczego podczas uroczystości otwarcia gimnazjum w dniu 10 października nikt, ale to literalnie nikt ani słówkiem nie wspomniał o Stalmachu. W karwińskiej piwiarni dużo się nagadano, wiele spalono kadzideł, ale o Stalmachu... było głucho.“ (A gdzież są katolicy?!)

Szkoda, że nie dodał jeszcze powyższy pisarz tego faktu, że na pogrzebie Stalmacha, który na łożu śmiertelnym na katolicką wiarę przestąpił, było wprawdzie czter-

dziestu (40) księży katolickich, ale tylko trzech ewangelików, żadnych katolików ani z miasta ani z okolicy — tylko trochę pospólstwa, chcącego się z ciekawości przypatrzeć niewidywanej liczbie księży. (A gdzie są katolicy?) Tak! można się zapytać, gdzie są katolicy, których Stalmach, będąc ewangelickim teologiem, całe życie pielęgnował a nareszcie sam z ciałem i duszą przeszedł do ich obozu!

Widać stąd, że Stalmach przez swoje postępowanie utracił zaufanie między ewangelikami a nie pozyskał go między katolikami, a ta walka wyznaniowa, która mu głowę zawracała, ale na ewangelików i katolików nie wiele oddziaływała, była przyczyną, że Stalmach na polu narodowym, z powodu tą walką wyczerpanych sił, nie wiele mógł zdziałać.

Ci, którzy chcą Stalmacha popularnym uczynić, nie powinnyby przynajmniej rozwodzić się nad podobnemi faktami jak powyżej przez nich przytoczone, które prawdziwe są bez wątpienia, ale z których poznać może każdy, że Stalmach ani za życia, ani po śmierci, między katolikami i między ewangelikami nie miał wzięcia. Ale nasi nieproszeni inaczej myślą. Przyszedszy do nas i przeczytawszy trochę *Gwiazdkę* i niedokończone pamiętniki Stalmachowe, znaleźli już po parotygodniowym pobycie na Śląsku, że Stalmach był wielkim człowiekiem i że skoro go nasz lud ani za życia ani po śmierci niczem nie uczył, należy mu się satysfakcja, a ponieważ całe życie walczył z ewangelikami i walczył też z *Czasem*, *Nową Reformą*, *Djabłem*, szlachtą polską itd., którzy wszyscy bronili ewangelików a bili na Stalmacha, *Gwiazdkę* i na katolików(!), tedy się nieborak strasznie zmęczył a tym sposobem został męczennikiem za wiarę. Nie był on wprawdzie ukrzyżowany, ani święty, ani ukamienowany, ani zagłodzony lub rozszarpany przez dzikie zwierzęta, ale zawsze się zmęczył, i był męczennikiem aż do samej śmierci, bo nawet przestąpienie na wiarę katolicką na śmiertelnej pościeli, gdzie już nie mógł pisać ani mówić, nie mało go zmęczyło.

Męczeństwo za wiarę jest wielką zasługą wobec Kościoła, za którą też musi iść wielkie uznanie, wprawdzie nie od niewdzięcznych Ślązaków, którzy nie przybyli na

pogrzeb Stalmacha, nie przybyli na odsłonięcie pomnika na jego grobie, nie głosili mów pochwalnych przy otwarciu gimnazjum polskiego w Cieszynie, ale wreszcie przyjąć musi od samego Kościoła katolickiego.

Taki stan rzeczy przewidział nasz zacny ziomek i kolega szkolny Stalmacha: radca dworu Jan Bujak, Wiślanin († 1886) już przed 39 laty pisząc do mnie ze Lwowa list z dnia 10 sierpnia 1857, który odczytać można w całości w *Silesjace*, a z którego tu tylko parę wierszy przytaczam: „...Zapisałem sobie *Gwiazdkę* w szczerzej chęci dopomagania redaktorowi... i przyczynić się do jej blasku; lecz wkrótce nabrałem cierpkiego przekonania, że droga, którą nam wskazuje redaktor, wbrew jest przeciwną tej, którą ja zwykłem od dawna za zbawienną uznawać — i sprzeciwiła się ona memu przekonaniu tak dalece, że już nawet prostym czytelnikiem tego pisma być nie mogę. Ubodło mię do żywego to skrzętne posługiwanie się sprawy papieskiej, na widok którego wierzyć wypada, że teolog niegdyś ewangelicki został żarliwym katolikiem i członkiem jakiegoś bractwa różańcowego, sodalisem Mariae. Zaleca on swoim czytelnikom żywoty świętych ks. Skargi, biblią Wujka, obrazki, święconą wodę... zaprasza swych czytelników na procesję do św. Jacka w Krakowie, Ślązaków szczególnie z naleganiem do tej pielgrzymki zachęca. To już za wiele, zważywszy, iż według obwieszczonego Breve papieskiego należy tam dopominać się u tego Jacka, aby wytępił do szczytu heretyków... Zgarnie się dużo gości, może sam redaktor *Gwiazdki*... wyprawi się na tę krucjatę z prawowiernymi swojemi tłumami... Niechże sobie tedy idzie teolog ewangelicki tym bitym gościncem, ma widoki, że dobrze na tem wyjdzie, bo choćby nie dokazał, co sobie zamierzył, nawrócenia 60.000 śląskich ewangelików do papiestwa, przecież zczasem przy terażniejszych sprzyjających mu do tego dzieła okolicznościach za same dobre chęci zleje się nań dużo darów od czarnej żandarmerji a po śmierci czeka go kanonizacja, i kto wie — za jakich 200 lat Ślązacy obok Jacka zanosić będą modły do byłego redaktora *Gwiazdki*.“

Otóż te przepowiednie ziomka naszego Jana Bujaka, wypowiedziane przed 39 laty, zaczynają się ziszczać,

a przynajmniej poczyniono już pierwsze kroki do uznania zasług Stalmachowych w walce z ewangelikami na Śląsku i poniesionego męczeństwa dla tej sprawy — zaczem nastąpi jego koronacja i kanonizacja.

Ciesz się Sarkandrze, będziesz miał braciszka w osobie męczennika Stalmacha a Śląsk będzie miał trzech świętych:

Sarkandra, Porcynkulę i Stalmacha.

Cieszyn, 17 maja 1896.

PRZEMÓWIENIE NA ZEBRANIU JUBILEUSZOWEM CZYTELNI LUDOWEJ W R. 1887.

Szanowne zgromadzenie jubileuszowe!

Było to w roku 1847, a więc przed prawie czterdziestu laty, kiedy zawiął na Śląsk polski wiatr, a młodzież gimnazjalna powzięła myśl założyć stowarzyszenie pod nazwą „Towarzystwo uczących się języka polskiego na ewang. gimnazjum w Cieszynie”.

Członkami tego towarzystwa byli, z małemi bardzo wyjątkami, synowie rolników śląskich, mówiący językiem polskim, jakiego nasz lud na wsi używa. Nie było tu tedy wielkiej trudności w nauce, jedyna trudność była ta, iż Towarzystwo nie posiadało żadnych ksiązek, ani gramatyki, ani słownika, ani wypisów lub jakiegokolwiek innej książki, z którejby języka polskiego i literatury uczyć się było można. Biblioteka gimnazjalna nie posiadała żadnych polskich ksiązek; w całym Cieszynie i na całym Śląsku nie można było dopytać się o książki polskie, bo ich wcale nie było; nawet w szkołach nie było polskich ksiązek, a w szkołach wiejskich uczono lud polski po czesku. Kupić zaś polskich ksiązek nie było za co, bo ani Towarzystwo, ani członkowie jego nie mieli na to środków.

Zwrócono więc oczy na Kraków, ten Kraków, który jest tak bliski, ale z upływem czasu stał się tak dalekim, że go Ślązacy przez kilka wieków nie oglądali.

Udało się więc podczas wakacyj 1847 r. do Krakowa dwóch młodych Ślązaków piechotą, bez odpowiednich środków podróźnych, bez paszportu i rekomendacyj, aby stamtąd dla Towarzystwa pomoc przynieść. Odwiedziwszy

w drodze dawnych swych kolegów ze szkół gimnazjalnych: tu nauczyciela, tam pisarza, indziej. zaś ekonomą, z przyczyn, których się łatwo domyśleć można, dotarli nareszcie do Krakowa i zebrali tamże sporą ilość polskich książek, które od różnych osób darowane zostały. Z tych zebranych książek ułożono dwa stosy, związane je sznurem, włożono na grzbiety i tak obciążeni wracali ciż młodzieńcy piechotą z Krakowa na Śląsk. Książki były ciężkie, sznur wcinął się głęboko w ramię, słońce gorące przypiekało, a ciężka, uzasadniona bojaźń towarzyszyła podróżnym, że książki polskie, jako towar dla Śląska zakazany, w drodze skonfiskowane zostaną, a podróżni jako przemytnicy ukarani będą, co w owych czasach bardzo łatwo stać się mogło. Książki szczęśliwie przyniesiono do Cieszyna w dniu 23 sierpnia 1847.

Wspomniałem tu o tym fakcie dlatego, bo książki w ten sposób w Krakowie zebrane i do Cieszyna przyniesione były pierwszymi książkami polskimi naukowymi na Śląsku, bo te książki stały się podwaliną Biblioteki polskiej dla ludu Księstwa Cieszyńskiego później założonej, a następnie stały się kamieniem węgielnym biblioteki naszej Czytelni ludowej w Cieszynie. Wspomniałem tu o tym fakcie i dlatego, ponieważ to były pierwsze po tylu wiekach odwiedziny Ślązaków w Krakowie i pierwszy dar, który Kraków Śląskowi ofiarował; był tu zawarty pierwszy węzeł po tak długim czasie między Krakowem a Śląskiem na polu oświaty ludowej.

Towarzystwo korzystało wiele z nabytych zasobów naukowych; uczono się pilnie gramatyki i literatury polskiej, historii Śląska, mówiono, czytano, pisano po polsku, kształcono się w śpiewie itd., a wszystko to bez uszczerbku w naukach obowiązkowych. Z tej pracy swojej zdawało Towarzystwo publiczne popisy, na które odezwaniami drukowanymi zapraszano celniejsze osobistości z miasta i okolicy.

Gdy zaś w końcu roku 1848 utworzono Towarzystwo cieszyńskie dla wydoskonalenia się w języku polskim, a gdy o rok później założono „Bibliotekę Polską dla ludu kraju cieszyńskiego“ a nareszcie gdy starsi członkowie towarzystwa młodzieży gimnazjalnej udali się na wysokie szkoły: Towarzystwo uczących się języka polskiego na

ewangelickiem gimnazjum w Cieszynie, które liczyło członków około pięćdziesięciu, rozwiązało się w roku 1850, a książki tegoż towarzystwa oddano do Biblioteki polskiej dnia 9 października 1850 r. w liczbie 207.

Wspomnieć o tem towarzystwie, które założono jeszcze pod rządami księcia Metternicha, uważałem za stosowne w dniu dzisiejszym, bo do jego założenia odnieść należy pierwsze przebudzenie się ducha narodowego na Śląsku, pierwszy ruch narodowy, a nawet pierwsze prace na polu oświaty ludowej, gdyż jeden z członków tego towarzystwa umożliwił pracą swoją rozpoczęcie wydawnictwa pierwszego pisma ludowego na Śląsku, pisma politycznego i naukowego, którego pierwszy numer wyszedł dnia 6 maja 1848 w Cieszynie pod nazwą Tygodnik Cieszyński. Tak to zaprawiała się młodzież śląska przed czterdziestu laty w naukach i w języku polskim, aby mogła służyć swojemu krajowi jako prawdziwi jego synowie.

Wspomniane już towarzystwo cieszyńskie dla wydoskonalenia się w języku polskim, zwane także Czytelnią polską, założone pod koniec r. 1848, i Biblioteka polska dla ludu kraju Cieszyńskiego, nie cieszyły się długo swem istnieniem, nie dla braku sił żywotnych, ale dlatego, że im zadano z góry cios śmiertelny. Towarzystwo bowiem rozwiązano, a bibliotekę skonfiskowano i oddano takową do zakładu Szersznikowego w Cieszynie.

I było u nas smutno, jak gdy szczęście minie. Jednym tylko tętmem ruchu narodowego na Śląsku było pismo, wychodzące od r. 1848 pod nazwą *Tygodnik Cieszyński*, a później *Gwiazdka Cieszyńska*.

Gdy po dłuższym czasie a mianowicie w latach 1860/1 prądy polityczne zmieniać się zaczęły, ożywił się także u nas ruch narodowy, a mężowie dbali o dobro ludu postanowili założyć nowe towarzystwo narodowe pod nazwą „Czytelnia ludowa w Cieszynie“. Czytelnię tę założono na szerokiej podstawie: czytelnię dla ludu, bez różnicy stanu, wyznania i zatrudnienia, czytelnię dla wszystkich, mającą za cel podanie środków oświaty dla tutejszej ludności polskiej; a gdy ustawy z dnia 31 maja 1861 przez rząd krajowy zatwierdzone zostały, poczyniono śpieszne przygotowania, aby czytelnia czempredzej otwartą być mogła.

W tym celu zwołano mężów zaufania na dzień 31 sierpnia 1861 i uchwalono wybrać komitet przygotowawczy, składający się z siedmiu członków, a mianowicie czterech z miasta a trzech ze wsi, z poleceniem wynajęcia odpowiedniego lokalu na czytelnię i poczynienia ostatecznych kroków przygotowawczych.

Wobec liczego zgromadzenia w domu „pod Lwem“ przy Głównym Rynku położonym, otwarto uroczyste Czytelnię ludową w dniu 7 grudnia 1861. Na początku garnęło się wszystko do Czytelni, lud wiejski i miejski, i pierwsze osobistości miasta zapisały się do Czytelni, a między nimi wymieniam pp. Rufa, c. k. starostę, Pospischila, c. k. prezydenta sądu krajowego, Gabriela i Kalinczaka, dyrektorów gimnazjów katolickiego i ewangelickiego, radców sądu, profesorów, doktorów i burmistrza miasta Cieszyna dra Kluckiego, który był współzałożycielem Czytelni. Niespełna miesiąc po założeniu Czytelni, to jest z końcem r. 1861, liczyła Czytelnia 12 fundatorów i 119 zwyczajnych członków.

Dziś po latach dwudziestu pięciu obchodzimy pierwszy jubileusz tej Czytelni, a z tego powodu zebraliśmy się tu wszyscy na tem miejscu. Witam wszystkich tu zgromadzonych, witam najstarszych członków Czytelni, którzy przy jej założeniu byli obecni i aż do dziś dnia pozostali jej wiernymi, witam i młodszych członków, którzy gorliwością swoją Czytelnię wspierali i budowali, witam też i nasze zacne gospodynie, które z mężami swymi ochotnie do Czytelni uczęszczają, witam zacnych gości z bliższa i z dalsza, witam, witam, całe zgromadzenie jubileuszowe najserdeczniej i najuroczyściej.

Dr. Andrzej Cinciała.

	195
	Str.
Alumneum	100
Stosunki szkolne	102
Seminarjum	103
Godności kościelne	105
Moi przyjaciele	106
Substytucja notarialna	107
Opuszczenie Cieszyna	109
SCHILDBERG	111—116
FRYSZTAT	117—124
CIESZYN	125—170
Powrót do Cieszyna	125
Podręcznik prawniczy	125
Podręcznik dla gmin	126
Słownik	126
Presbiterstwo	127
Haase i <i>Nowy Czas</i>	129
Otoczenie Haasego	132
Dalszy ciąg o Czytelni ludowej	133
Fundusz żelazny Czytelni	139
Biblioteka Bagieńskiego	140
Akademyści krakowscy w Czytelni	142
Jubileusz Czytelni	143
Towarzystwo naukowej pomocy	145
Polityczne Towarzystwo ludowe	148
Bazar Cieszyński	151
Dom Narodowy w Cieszynie	153
Towarzystwo rolnicze	156
Towarzystwo ewang. oświaty ludowej	158
Moje wydawnictwa	159
Silesiaca	160
Odezwa do ziomków	161
Polityczne Towarzystwo ludowe	163
Spór o granicę śląsko-morawską	163
Jakoby siły nasze pomnożyć	165
Przysłowia śląskie	166
Jako mi też dziękowali	168
* * *	169
DODATKI.	
Pierwsi szermierze na kresach śląskich	173
Emisarjusze	178
Przepowiednia zaczyna się sprawdzać	182
Przemówienie na zebraniu jubileuszowym	188
Wykaz nazwisk	197

WYKAZ NAZWISK

- Adametz 31.
Altmann burmistrz 119.
Antoniewicz 77.
d'Aubigné 159.
- Badura ks. 159.
Bagieński obyw. 141, 168.
Baranowski cieśla 1.
Bartelmus ks. 80.
Bartynowski kurator Uniw. 63.
Baumgarten księgarz 49.
Beker ks. 82.
Bielowski 77.
Borowka 151.
Bujak Jan radca 16, 38, 54, 64, 106,
174, 175, 186.
Bystroń dr. 126, 163.
- Cegielski 39.
Chmiel ks. 41.
Chrobaczek ks. 86.
Cichy naucz. 5.
Cieniała Jerzy poseł 100, 144, 156,
157, 183.
Cięciel obyw. 155.
Cinciała Andrzej ojciec 1.
— Anna 1.
— Jan 1.
— Jerzy 1, 42, 85.
— Marjanna 1.
— Władysław 114.
- Coghen malarz 72.
Czech księgarz 49.
Czerwiakowski prof. 49.
- Demel adw. 33, 34, 88, 107, 109, 125,
136.
Demel adw. syn, 108.
- Dłuski dr. 141.
Dombrowski (postyla) 7, 8, 9, 16.
Dunajewski prof. 74.
Dyboski dr. 181, 144.
Dzieduszycki hr. Eugenjusz 68, 69,
72, 77.
— Mieczysław 69, 70, 71, 77.
Dziwoński drukarz 28.
- Eisenberg adw. 123.
- Farnik notariusz 107, 123.
Feitzinger księgarz 160, 166, 167.
Fierich prof. 62.
Filasiewicz dyr. 134, 138, 141, 151,
169.
Fischer prof. 91, 93, 95, 144, 183.
Folwarczny prof. 42.
Fox 64, 66, 81.
Franta prof. 183.
Friedlein D. E. 22, 23, 24, 25, 26, 27,
28, 45.
— Józef 26.
- Fukała prof. 13, 14.
- Gabriel dyr. 95, 191.
Gabryś 133.
Galecki adw. 147.
Gaszek 96, 97.
Gazda prof. 54.
Gazda Paweł 82.
Glajcar 144, 183.
Glatz prof. 12, 13, 14.
Glässer starosta 44, 47.
Górczyński obyw. 39, 48, 49, 65, 70,
77.
Górniak 44.

- Górski akad. 142.
 Grabowski 49.
 Grocholski minister 123, 124.
 Grotger 70.
 Grycz 144.
- Haase ks. superint. 16, 17, 110, 127,
 129, 130, 131, 132, 133, 158.
 Häusler 66.
 Heczko Jerzy ks. 11, 12, 38, 52, 106,
 175, 176.
 — Paweł naucz. 11, 12.
 Helcel prof. 61, 62.
 Hennig prof. 49.
 Hesse notariusz 112.
 Hof ks. 25.
 Hopcas red. 150.
 Hubert prok. 93.
 Hudziec ks. 119.
- Jakubowski ks. 26, 45, 49.
 Jančo 47.
 Janik ks. 114, 144.
 Janota 77, 78, 79.
 Jerzmanowski 49, 79.
 John minister 115.
- Kadrnożka notariusz 123, 124.
 Kajzar 107.
 Kajzar prof. 11, 41, 42, 46.
 Kalinczak dyr. 95, 103, 191.
 Kalchberg 39, 44, 52, 53.
 Kaleta naucz. 11.
 Kasprzykiewicz 118.
 Kaszperkowa 80.
 Kątski muzyk 65.
 Klein sędzia 118.
 Klingner starosta 121, 149.
 Klucki Ludwik dr. 35, 36, 37, 38, 39,
 41, 43, 44, 47, 48, 51, 52, 53, 54,
 55, 56, 57, 58, 59, 77, 78, 79, 86,
 88, 89, 90, 91, 93, 95, 96, 97, 107,
 108, 110, 139, 148, 161, 176, 177,
 183, 191.
 Klucki Sobiesław 38.
 Klug Matylda 112.
 Kłapsia ks. 15, 20, 22, 25, 39, 40,
 42, 46, 55, 104.
- Koczyński prof. 89.
 Kołaczek prof. 46.
 Kotschy Herman ks. 4.
 — Karol ks. 4, 43, 49.
 Kotula Andrzej notariusz 38, 52, 54,
 86, 93, 115, 116, 117, 124, 125, 144,
 173, 174.
 Kotula Jerzy 40, 41, 57, 126, 160.
 Koziarska 49.
 Krawczyński 24.
 Krop 1.
 Kubisz 144.
 Kuczera naucz. 11.
 Kukucz 30, 31, 32, 35.
 Kulawski prof. 77, 78, 79.
- Lamatsch von Warnemünde 91.
 Larisch hr. (i rodzina) 83, 116, 120,
 121, 124.
 Lenartowicz poeta 65.
 Lieberda naucz. 10.
 Linde 127.
 Lippka prez. 93.
 Londzin ks. 179.
 Lumnitzer ks. superint. 6, 105, 132.
 Łepkowski prof. 48, 49, 77.
- Macherzyński prof. 74.
 Majer prof. 26, 45.
 Majeranowski cenzor 26.
 Makowski kupiec 134, 135, 151, 152.
 Małecki prof. 62.
 Mamica 144.
 Mattencloit bar. 120.
 Matuszek 96, 97.
 Mączka ks. 83.
 Metternich książkę 190.
 Miarka organista 82.
 Michejda Franciszek ks. 129, 144,
 148, 157, 159.
 — Jan adw. 147, 163.
 Michel adjunkt 108, 109.
 Molin prof. 150.
 Monné insp. 169, 181.
 Muczkowski prof. 26, 45, 48, 49.
 Nakeński 178, 179, 180, 184.
 Niemetz pisarz 34.

T R E Ś Ć

	Str.
Od wydawcy	V—XI
LATA SZKOLNE	1—59
Rodzina	1
Szkoła ludowa	2
Niemczyzna	3
Egzamina	5
Pogrzeby	7
Kolędy	8
Wychowanie domowe	8
Biblioteczki	9
Biblioteka kościelna	9
Literatura świecka	10
Strój nauczycieli	11
Przygotowanie do gimnazjum	11
Przyjęcie do gimnazjum	12
Wyprawa z domu	12
Pierwsze nauki w gimnazjum	13
Profesorowie	13
Klasy	14
Suplenci	15
Studenci	15
Preparanda	16
Nabożeństwa	17
Gry i zabawy	17
Klasyfikacje i egzamina	18
Instrumentenzimmer	18
Kalefaktor	19
Kostgängerzy	19
Alumniści	20
Opuszczenie gimnazjum	22
Księgarstwo	22
Gospodarka rolnicza	28
Pisarstwo u D-ra Demla	33
Pisarstwo u D-ra Kluckiego	35
Biblioteka D-ra Kluckiego	36
Moje nawrócenie	37

	Str.
Zbieranie piosenek i przysłów	38
Pierwsze głosy o piśmie polskiem	39
Rok 1846	39
Powtórne wstąpienie do gimnazjum	40
Profesor Kajzar	41
Filozofja w Cieszynie	42
Towarzystwo polskie	43
Dalszy głos o piśmie polskiem	43
Jak się u nas zapatrywano na język polski	45
Pierwsza podróż do Krakowa	45
Filozofi cieszyńscy	46
Towarzystwo uczących się języka polskiego	46
Druga podróż do Krakowa	47
Revolucja wiedeńska	50
Gwardja narodowa	50
Tygodnik Cieszyński	51
Towarzystwo polskie	56
Wykłady filozoficzne	57
POBYT NA UNIWERSYTECIE KRAKOWSKIM	60—87
Przyjazd do Krakowa	60
Nauki	61
Dymisja profesorów	62
Napomnienie dla akademików	62
Pierwszy akademik ze Śląska	63
Moje znajomości	65
Zajęcie w domu	66
Pożar	67
Dom hr. Dzieduszyckich	68
Wycieczka do Szczawnicy	71
Moje pierwsze pomieszkanie	72
Zycie koleżeńskie	73
Pamięć o Śląsku	75
Gwiazdka	75
Zabiegi około wydania dziełka	77
Pierwsza wędrowka po Śląsku	80
Druga wędrowka po Śląsku	81
Jak to ludzie uczeni po polsku pisali	84
Język polski w gimnazjach cieszyńskich	86
CIESZYN	88—110
Praktyka adwokacka	88
Teatra amatorskie	90
1050 rocznica założenia Cieszyna	91
Czytelnia ludowa	93
Towarzystwo rolnicze	96
Podręcznik in spe	97
Sprawy zboru ewang. w Cieszynie	98

- Nowak właśc. dóbr 28, 29, 30, 33.
 Nurkowski 58, 67.
- Otremba ks. 25, 49.
 Otto ks. 20, 106, 133, 159.
- Passendorf 146, 147.
 Piller księgarz 104.
 Pindor ks. 159.
 Plucar prof. 46, 54, 57, 58, 86.
 Pol poeta 62, 65, 69, 72, 77, 78, 79.
 Pospischil prez. 95, 191.
 Prażak minister 123, 124.
 Prochaska księgarz 50, 104.
 Prutek ks. 93.
 Pukalski Alojzy ks. bp. 146, 147.
 — Jan 147, 148.
 Pustelnik 153.
- Rańda 1.
 Raszka prof. 91.
 Redik aptekarz 27.
 Rej hr. 150.
 Ruff starosta 95, 191.
- Santarius notarjusz 64, 118.
 Schimko ks. 6.
 Schindler ks. prez. 26.
 Schmettan notarjusz 115.
 Schmidt 31.
 Schneider superintendent 132.
 Schneider Filip 60.
 Schröder kupiec 91.
 Schuster adwokat 91.
 Settig prof. 42, 46.
 Sikora ks. 146.
 Sikora Adam 134, 135, 137, 138, 142,
 144, 151, 169.
 Skalka 129, 130, 133.
 Smolka eksc. 123.
 Sokal adw. 139.
 Stalmach 38, 42, 45, 47, 51, 54, 55,
 56, 58, 59, 76, 77, 86, 88, 89, 93,
 95, 137, 140, 143, 144, 146, 149,
 154, 155, 166, 167, 168, 170, 174,
 175, 179, 182, 183, 184, 185, 186.
- Stanisławski red. 129.
 Staszewski fechtmistrz 74.
 Stojałowski ks. 178, 179, 181, 184.
 Stonawski (różni) 66, 100, 143, 144.
 Szczepanowski muzyk 65.
 Szłapa adjunkt 119, 120.
 Szygut naucz. 133.
 Szyryn obyw. 70.
- Sliwka naucz. 183.
 Śniegoń naucz. 11.
 Świegor szewc 91.
 Świeży ks. 144, 146, 155.
- Taaffe hr. minister 124.
 Teliga ks. kan. 140, 141.
 Terlitza ks. 11, 105.
 Tomanek 183.
 Trzanowski (kancjonał) 105, 106,
 175.
- Walewski prof. 63.
 Wałach 21.
 Wałach naucz. 129.
 Wascher księgarz 50, 167.
 Wąsowiczowa 67.
 Wieniawski muzyk 65.
 Wild księgarz 49.
 Winkler ks. 43, 50.
 Wiszniewski prof. 49.
 Wojnar 107, 133.
 Woźniakowski dr. 71.
- Zabystrzan 100.
 Zielonacki prof. 62.
 Zopot starosta 126.
- Żlik Andrzej ks. 12, 15, 17, 21, 25,
 39, 40, 41, 42, 43, 46, 51, 55, 96, 97,
 98, 99, 100, 102, 104, 105, 107.
 Żlik Arnold ks. 128.
 Żółtowski mec. 138, 139, 143, 150, 166.

WYDAWNICTWA MUZEUM ŚLĄSKIEGO W KATOWICACH

DZIAŁ I

- T. I. TADEUSZ DOBROWOLSKI
ŚLĄSKA RZEŻBA LUDOWA W DRZEWIE
na podstawie zbiorów Muzeum Śląskiego w Katowicach
Katowice 1930
- T. II. AGNIESZKA DOBROWOLSKA
 ŻYWOTEK CIESZYŃSKI
Ze studjów nad strojem i haftem ludowym
Katowice 1930

DZIAŁ II

- Nr. 1. STANISŁAW BĄK
PAMIĘTNIK ŻOŁNIERZA-LEGJONISTY
Przyczynek do znajomości gwary Polaków
w Morawskiej Ostrawie
Katowice 1930
- Nr. 2.
LISTY JÓZEFA LOMPY DO J. I. KRASZEWSKIEGO
Z LAT 1860—1862
Wstępem poprzedził Kazimierz Dobrowolski
Katowice 1931
- Nr. 3.
PAMIĘTNIK DRA ANDRZEJA CINCIAŁY, NOTARJUSZA
W CIESZYNIE (1825—1862)
Wydął i wstępem zaopatrzył Jan St. Bystrzeń, Prof. Uniw.
Jagiell.
Katowice 1931

DZIAŁ III

- Nr. 1. MARJAN KOCZWARA
SZATA ROŚLINNA BESKIDU USTRONSKIEGO
Katowice 1930
- Nr. 2. JÓZEF MOTYKA
MATERJAŁY DO FLORY POROSTÓW ŚLĄSKA
Katowice 1930
- Nr. 3. EDWARD STENZ
Z KLIMATOLOGJI ŚLĄSKA (ROZMIESZCZENIE
OPADÓW)
Katowice 1930
- Nr. 4. MARJAN KOCZWARA
BARANIA GÓRA JAKO REZERWAT PRZYRODNICZY
Katowice 1931

Odbito czcionkami
drukarni
PAWEŁA MITRĘGI
w Cieszynie.